

WŁADYSŁAW MACHEJEK  
« DZIEWCZYNY I CHŁOPCY  
WŁADYSŁAW MACHEJEK  
DZIEWCZYNY i CHŁOPCY  
OPOWIADANIA Wydanie 2  
WYDAWNICTWO „ŚLĄSK” KATOWICE

Okładkę projektował Tomasz Jura

Redaktor Józef Górdziałek

Redaktor techniczny Jan Frąckowiak

Korektor Jadwiga Radwańska

Naiasza

Wychodziła na bierieg Katusza... Pieśni zawodziła.; Zawsze ją widzę wśród ruskiego mrowia. Niewielu było u nas tych Ruskich, zresztą nie ze wszystkim Ruskich — a wymalowana naturą buzia Nataszy objawia mi się w głębi właśnie takiego mrowia w szynelach, wa-tówkach, papachach i całkiem bez szynelów, watówek i papach. A jeśli w rzeczywistości nie istniało mrowie ruskie, polskie i w ogóle wywodzące się z chłopów, no to co przypominało taką gęstość fizyczną zupełnie spojona z gęstością duchową? Ano chyba powszechne uwielbienie Nataszy równoznaczne z pożądaniem. Malowana twarz, niemalowane uśmiechy, śpiewny i wabny śmiech dzwoniący na mszę ciała. „I. nie wódź nas na pokuszenie” — sam sołtys żegnał się znakiem krzyża na serio, chociaż frywolnym gestem, gdy brał pod wąsy stakan spirytusu w zamian za mleko dostarczone na skraj bukowego lasu. No i nic dziwnego. Jeszcze raz się żegnał demonstracyjnie, mówił wcale nie zagadkowo, że jak Pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści, i że psi od ogona się wachają — i ostatecznie uciekał, do jutra. I słusznie. Wszakże widzę te wybrane z mrowia sytuacje, przecież jestem obok, tak obok, że w końcu źdźbła słomy nie wsadziłbyś między... Ramiona srebrzyste w poświacie księżyca walące się przez otwory w namiocie na posłanie z trawy i liści. Nogi wysmukłe, coraz dłuższe, im

dłużej rozkoszowała się zdejmowaniem jedwabnych pończoch pożyczonych u dziewcziczki na wieczne oddawanie. Ale teraz uśmiechała się do zgłodniałego żebraka ledwie lekko, a może nawet z trudem. Trawka mogła być zmiażdżona między nami, ale czy pomieściliśmy w sobie co byśmy chcieli pomieścić? W rzeczywistości powinienem mówić tylko za siebie. Tęskniliśmy coraz bardziej, na przekór rozkoszy, tęskniliśmy tak, że psim wyciem nie dałoby się tego zagłuszyć. Ona twierdziła, że tęskni za mną, ja, że tęsknię za nią, nie puszczała mojej ręki, nie rozstawałem się z jej piersiami, no więc jakże to? Przecież mieliśmy siebie, więc tęskniliśmy za kimś innym, albo przynajmniej za czymś innym. Znaliśmy swoje ciała — wobec tego może nie znaliśmy swoich tęsknot? Poglądów na przyszłość. Poglądy na wojnę i ostateczną okrutną śmierć Niemców Natasza wyrażała jasno, niezależnie czy przeżyjemy i chociaż zamykała oczy, gdy się ktoś w palec skaleczył. Niemniej łaknęła krwi.

Właśnie rozniosło się, że w wiosce N., gdzie nie obeznani z odwetem okupanta skoczkiwie urządzili krwawy napad na oddział hitlerowców — pożar niebawem strawił wszystko, pacyfikacyjna banda lubowała się w rzucaniu dzieciątek w płomień domostw. Zostały po nich maleńkie przypalone kosteczki, jak po jag-niątkach. Pomyśleć: dzieci — i od razu odechciewa się zaczepiania morderców wszędzie gdziekolwiek mieszka bezbronny człowiek. Spodziewałem się, że coś będzie, wypełzłem z dziurawego namiotu, machnąwszy z rezygnacją ręką komuś, kto złakniony podglądał — i z lnianym ręcznikiem na ramieniu, podwijając kołnierz koszuli, szedłem do koryta przy studni naprzeciw gajówki, żeby wyprychać się pod rzutami wody. Wtem dopędziła mnie Natasza na koniu, z rozwianym płowym włosom, w zielonej rubaszce przepasanej rzemieniem i wypeł-

nionej mocnymi piersiami. Zdarła tego siwego ogier-ka.

— Halo! — krzyknęła. — Nie czas na cackanie.

— Jakie znów cackanie?

— Pewnie będziesz się jeszcze golił?

— Nie lubisz mojej szczeciny, prychasz.

— Jeszcze nie wieczór. Teraz na germańców! Skacz do mnie i jedziemy do dowódcy.

— Ja mam inny pogląd...

— Właśnie, twoje poglądy nie wiadomo jakie. Czegoś mi brakuje. Może dziecka? Wyc się chce. Skaczesz? — Groźnie podwinęła rękawy u rubaszki, a w jej dłoni pojawiła się giętka wiklina, którą można ciąć w twarz na odlew.

Skoczyłem na zad zwierzęcia, uczepliłem się bioder dziewczyny i pognaliśmy olszynową ścieżką wprost do leśniczówki, gdzie urzędował sztab polsko-radziecki. Sojusz jak w naszym namiocie, psiakrew. Pogroziła mi ową wahlwią chabinką i rzekła:

— Dość się nabarłożyłeś, teraz powojuj. — I już skoczyła na ganek do sztabu, w słońcu rozwijającym się nad drzewami, promieniami, wśród krzykliwych ptaków i na urodzajnej rosie. Ja zaś trzymałem za uzdę ogierka, który patrzył za żołnierką fikającą po drewnianych schodach. Coraz smętniej, jak człowiek, który już nie wierzy w rzenie. Obudziła drzemiącego wartownika i wywarczała w jego zaspane oczy stare przykazanie: żołdat na wojnie śpi mało, w drodze zawsze, w obowiązku wachtuje często.

Wymokły wartownik poprawił karabin przewieszony przez plecy.

No i potoczyło się. Chociaż najpierw wysoki, czarny komandir w żółtych włoskich butach opierał się. Było to w kuchni. Zapinał guziki w swoim ubiorze, gdzie się tylko dało, i krzyczał, że dość ma rzezi niewiniątek.

I

Sprowowana Nacią wyrwała „tete” z pochwy przy prawym biodrze. Ale tego Siergiej nie przeląkł się. Dopiero gdy związali się spojrzeniem, jak uściskiem, Siergiej huknął na powolnego porucznika Jana w berlin-gowskim zrzutowym mundurze.

— Czego się gapisz? Nie bój się, po kolei wszyscy się wykończymy. Teraz na koń!

Przed konnym dwuszeregiem żołdatów radzieckich miał gromkie przemówienie kapitan Siergiej, zaś to samo uczynił przed polskim dwuszeregiem wyczyszczony na glanc porucznik Jan.

Najbardziej strzygły uszami konie niedawno zabrane od pańskich wolantów, fornalskich i chłopskich pługów. Chłopom płaciło się za konie zrzutowymi dolarami, o których nie wiedzieli, że są fałszywe, ale to nic — i tak w handlu znaczyły tyle, co prawdziwe. Nad lasem już zjawił się „bocian”. Zakołował, odleciał. Wiadomo, że najwyżej za kilkanaście minut zjawią się bombardujące „krowy”. Porucznik Jan zarządził, żeby pozorować ucieczkę stąd — na zawsze. W popłochu. Krył w tym jakiś zamiar, skoro nie nalegał, żeby związać nasz nędzny dobytek, który każdy by zmieścił pod pachą. No więc — szybciej, szybciej... Partyzantom rzeczj'wiście zdawało się, że jeszcze uratują kogoś z mordowanych. Nurtował żal, że oni tu barłożyli, a tam na nich czekali zabijani. Szybciej, szybciej. Poganiała nadzieja — splaszczonych na koniach trzydziestu paru Ruskich i sześćdziesiąt polskich sylwetek prawidłowo odbijających się od końskich grzbietów. Słyszałem sapanie ogierka Nata-szy na moim karku, czułem wojenne popędzanie — i nagle już tylko, cień dziewczyny zamigotał z tyłu. Ona została, ponieważ nie mogła znieść krwi. W plecaku miała aparat radionadawczy, wystarczyło, że wysyłała w świat wieści o grozie i triumfach. No dobrze, przecież zobaczymy się niebawem.

Oddział nieprzyjaciół był niewielki; po wszystkim zdawało się, że na placu boju zostawiliśmy roztrzaskanych głów, rozharatanych brzuchów więcej niż w ogóle było wrogów.

Taką urządziliśmy mściwą jatkę, pakując całe magazynki w kruche łepetyny, końskim kopytom i kolbom przyzwalając na resztę.

Przeokropnym sokiem pulsowała murawa koło zagajnika za spaloną wsią, gdzie zmorzył sen spitych najeźdźców w samych koszulach, a często bez butów. Na pewno prócz wódki uspiły ich szumy czołgów pełne na- " dziei — sunące z zachodu na wschód przeciwko nawałnicy ze wschodu, która została zatrzymana w sierpniu. W ostatnich godzinach huk na głównej trasie kilkanaście kilometrów stąd wzmogły się, jakby potężna rzeka wyrwała się ze skał i runęła w doliny, siejąc grozę — zniszczy wszystko, Fihrer znów popędzi czerwoną zarazę, tym razem na Ural.

Proponowaliśmy powrót do co dopiero opuszczonych namiotów, byliśmy przekonani, że Niemcy uznali naszą ucieczkę z tych stron za ostateczną. Siergiej wróżył inaczej i zapowiadał chwalebą przyszłość, jeśli pomaszerujemy jeszcze trochę dalej na wschód, będziemy świadkami mocarnego

odepchnięcia niemieckich odwodów i tym samym znajdziemy się na wyzwolonej ziemi. Zdawało nam się, że na pewien czas dwie krainy rozdzieli rzeczka szerokości może sześciometrowej, ale pokryta głazami czarnymi i porowatymi. Żegnaliśmy się tutaj, częstując się czym się dało i ze smutkiem patrzyliśmy na grzbiecie wody, zwycięskie, butne — i zaraz wpadające w szczeliny złych kamieni wydzielających ślinę. Szybko przepiwszy do siebie, całowaliśmy się, jeszcze raz dawała znać o sobie przyjaźń, od nowa a zupełnie po staremu rozkwitała w długich całowaniach.

Tuliłem Nataszę do serca. Kiedy wzruszenie dosięgło zenitu, a słońce zaczęło gwałtownie spadać na horyzoncie, jeszcze raz błagaliśmy, żeby wrócili z nami na stare legowisko. Na wszelki wypadek namioty okopiliśmy rowami, a przy każdym drzewie postawiliśmy butelki z benzyną, gdyby hitlerowcy parli czołgami. Sztukę wojowania „coctailami Mołotowa” dokładnie przestudiowaliśmy w naszym piśmie „Armia Ludowa”. Ale Siergiej podniósł rękę, jego chłopcy ruszyli za nim po kolana w wodzie. Natasza krzyknęła z drugiego brzegu, że niebawem przyjdzie mnie wyzwolić. Zaciśnięm zęby jak człowiek niesprawiedliwie zdradzony. Oj, ludu, ludu, cóżem ci uczynił — zawodziła we mnie gorąco pulsująca krew. Aha, wróci mocniejsza, żeby z pozycji rozkazu dopasować moje poglądy do swoich. Czegóż ona chciała? Aha, myśleniem dogonić rozkosze, które ją zaskakiwały. — Rozejdziemy się na chwilę — powiedziała — żeby tęsknić od nowa. Przebaczone, ale ja za czymś tęsknię.

Błagałem bogów, żeby przy Siergieju zaczęła tęsknić za mną. Wtedy będzie moja cała. Moje ramiona dławili ją jak ściany ciasnego pokoju.

Soldaty i Natasza zniknęli w wysokim, rzadkim lesie, za nimi powlokły się ślady krwi zebranej z trupów niemieckich. Było mi duszno i głucho. Po godzinie na ziemię spadła ciemność. Natomiast nad dalekim wysokim lasem trwała czerwona jasność słońca. Z burzy obserwowaliśmy jak korony tamtych drzew zakółsały się, stawały się coraz ciemniejsze, od szosy leciały żelazne wiatry, za nimi brnęły transportery wypełnione ludźmi w mundurach feldgrau. Tu krótkie trzaski piorunów łamały konary, tam w przerażającym wyciu opadały czubki drzew jak czerwone błyskawice.

Wieczór porywiście chlustał dwoma deszczami. Rzuciłem się do

10

rowu machinalnie, aha, radziłem tak zrobić Nataszy. Byłem z nią, daleki od naszych chłopców.

Tam uciszyło się szybciej, na naszym niebie dopiero nad samym ranem wyszła pierwsza gwiazda, za nią udałem się na zwiady, nad rzeką już rósł świt. Zdjąłem ubranie, związałem i rzuciłem na drugi brzeg. Na mieliznach pod krzakami spotykałem ukrwawionych boj-ców. Bez słowa kreślili tragiczne kręgi w powietrzu. Przyleśna droga była rozmiarzona gąsienicami. Brnąłem przez gałęzie, przez liście. Wśród zamartwych szczątków ludzkich. Serce biło gwałtownie. Nie spodziewałem się, że mam tak potężną klatkę piersiową, której nawet młot nie rozbiłby.

Uspokoilem się nieco dopiero wtedy, gdy zobaczyłem Siergiej a z roztrzaskaną głową.

Wyprostowałem się, oddałem hołd żołnierzowi-bra-tu. Nie wiem dlaczego, ale coraz energiczniej wstępowała we mnie wiara, że dziewczyna żyje, tylko wstydy się klęski i kryje się gdzieś w sągu omszałego drzewa. Rzeczywiście od sągu do sągu podrywał się cień. Wreszcie nie mogła już dalej uciekać, stanęła przed olbrzymim czerwonym mrowiskiem. Patrzyła na mnie wskroś cieni pomieszanych z promieniami i nuciła wyzywająco: wychodziła na bierieg Katiusza... Czyli pójdzie znów bojować... Niesyta i mdlejąca na widok krwi. Ale już roz-burzyła włosy, spływały na ramiona i na policzki, i od policzków brały różowość. Natasza jeszcze raz rozbu-rzyła włosy, aż zrozumiałem, że znajduje się w stanie pokuty. Klęczeliśmy naprzeciw siebie; zanim ja zdążyłem, ona przemówiła jak zazdrosna małżonka:

!— Gdzieżeś był? Nie wróciłeś na noc.

Powoli, powoli rozstętniło się w nas szczęście. Miała skrzydła, nie ramiona — po to, żeby mnie unieść jeszcze wyżej, nad siebie. Ani przedtem, ani potem nie było już nikogo — i o taki jej chodziło pogląd na przyszłość.

11

Żydówka

Żydówka, nasza Żydówka... Szczupła, wychudła, spojrzenie wystraszone. Tylko sterczące piersi i

wilgotne usta wskazywały, że jest młoda. W niewoli u „Żbika” także nazywano ją Żydówką, ale z akcentem szyderstwa i pogardy. Faszyci tymczasem nie pastwili się nad nami, bo sąd jeszcze nie ukończył śledztwa. Potem będzie wyrok. „Na dwoje babka wróżyła — komu życie, komu gnicie”. Ale Żydówkę — wiadomo — zastrzelą, albo łupną kolbą w ciemię. Więc przedtem można pofiglować z nią na tym zimnym klepisku w głębi wsi. Nad klepiskiem ulokowali się trzej wartownicy wparci plecami w zboże. Każdy ich ruch wywabiał kurz i mysie zapachy z zastronia. Piłowali i piłowali obelgami Żydówkę, potrząsając automatami. Nie wytrzymała i położyła się na brzuchu. Jak to zrozumieli? „Mam was gdzieś”. Bo co miała zrobić? Przecież dwa dni zaklinała się, że będzie inna, patriotyczna, faszystowska, będzie ułańską podkładką do wszystkiego. Śmieli się z idiotki. Przecież Hitler nie dał Żydom żadnej możliwości poprawy, więc dlaczego „Żbik” ma być lepszy?

Żydówka i Żydówka... Ten epitet towarzyszył jej nieodmiennie jako zapowiedź śmierci. A ona: Mam was gdzieś! Mówcie mi tu!

Właśnie otwarła się wrótnia i wszedł oficer z ryngrafem Matki Boskiej na piersiach, rozejrzał się z na-

12

poleońską miną, oparł dłoń na biodrze. Czyja kolejka na przesłuchanie? Wartownicy zeskoczyli na klepisko i kilkoma kopnięciami w brzuch, w płaski zadek, pod żebra, obrócili Żydówkę na łopatki. Beknęła „giewał” i zaraz bek poprawiła na wysoki jęk: „Jezus, Maria!”

W tej chwili powstał niezwykły rumor na wiejskiej drodze, trwał, piętrzył się i wwiercał w uszy jak tysiąc spirali; rozróżniało się hurkot chłopskich furmanek, świsty batów, niemiecki szwargot i nieprzytomne ukraińskie przekleństwa. Rozległ się niecierpliwy klakson samochodu, dźwięki wrzynały się w sierpniowe rozgrzane powietrze. Kwik. Zda się, zarzynano świnię.

— Niemożliwe! — wrzasnął oficer. — Czyżby już front? Niemcy uciekają ze Skalbmierza! To po co im była potrzebna pacyfikacja?

Kiedy wracaliśmy przez miasteczko, na ulicach leżały dziesiątki trupów. W oczach wirowały koła krwi siekane przez słońce. Na cmentarzu ksiądz rzucał się wśród drzew z takim impetem, jakby ciągle uciekał przed strzałami. I on umknął grabarzowi spod łopaty. Teraz modlił się za dusze swoich parafian zarżniętych tu właśnie przed chwilą. Mur był obluzgany krwią. Partyzanci wydobywali spod trupów w niemieckich mundurach karabin maszynowy, którego pracę przerwał czołg z czerwoną gwiazdą; hulał jak pijany wod-ległości wielu kilometrów za zastygłym nagle frontem i właśnie przed chwilą zjawił się tu, obwieszony plutonem żołnierzy AL.

Żydówka objęła się wśród partyzantów w zapamiętaniu. Pot już przesiąkł przez jej sukienkę na plecach. Przerazenie jeszcze bardziej wyostrzyło rysy twarzy. Wszyscy wzruszali ramionami. Nie lubili chudych dziewczyn. Co innego przygarnąć taką w obronie przed

I

pobożnymi dzikusami, karmić, nawet po<sup>^</sup>jep<sup>^</sup>ć i przytulić, a co innego żenić się. Wiadomo, <sup>^</sup> partyzantce ślub brało się pod krzakiem.

Było ich w oddziale cztery. Ta z włosami<sup>^</sup> zwiniętymi w gruby węzeł, pulchna, już znalazła chl<sup>^</sup>p<sup>^</sup> „na stałe”. Budziła zaufanie. Zaś tamta, z peł<sup>^</sup>a mleczarnią przed sobą... coś od rana wiedziała — z<sup>^</sup>brała brudną bieliznę od wszystkich partyzantów z c<sup>^</sup>waftego plutonu, wyprała, właśnie ułożyła ją jak sąg <sup>^</sup>j-zozowego drzewa... O, już rozwiesiła na gałęziach, <sup>^</sup>o reszty wyschnie na gorących ciałach. Taka dziewo-ja cieP\*a dziś i pożyteczna, może się przydać także <sup>^</sup>pj-zyszłości. Natomiast trzecia, szefowa kucharzy, zaw<sup>^</sup>ze <sup>^</sup>obwódka tłuszczu koło ust, pokazała dowódcy nasz<sup>^</sup> grtipy świadectwo zawarcia ślubu w mieście, do kój>eg0 mieliśmy dotrzeć po sforsowaniu linii niemieckich.

— Tam czeka na mnie mój chłop — po<sup>^</sup>e(jziała wyzywająco i nagle pod spojrzeniem dowódcy gpokornia-ła. — Tu tylko kucharzyłam, prawda? Bęc<sup>^</sup>e pfościć o takie zaświadczenie, bo męża mam kata.

Dowódca — wysoki, z karkiem jak piei<sup>^</sup> zciągający z ukraińska Wołyniak — zasłonił twarz gr'ub/mi dłońmi; rękawy na łokciach świeciły dziurar<sup>^</sup> Lmiał się. Lecz po małej chwileczce od nowa grz<sup>^</sup>J, patrząc z niepokojem na chylące się nad lasem <sup>^</sup>jonce i czerwony blask rozlewający

się po trawie.

— A ty nie masz swojej połowy, więc szukaj... szukaj! — pogroził Żydówce. — Bez męża nie pójdziesz z nami.

Żydówka patrzyła na dowódcę tak, jakbym n<sup>e</sup> rozumiała słów, tylko jak pies wpatrzona w ruch w<sup>rg</sup> człowieka starała się złowić ich sens.

— Nie żartuję! A może lepiej tu zostać\*\_\_proponował bez złośliwości. — Może niepotrzebni<sup>^</sup> p<sup>^</sup>ebijamy się, bo o n i przyjdą tu już jutro. Zginąć dzi<sup>^</sup> wfiocy nie-  
14

trudno. Na nasze sto karabinów — tamtych milion kul, granatów, kartaczy. Kartaczy... — walił w pochyłą głowę Żydówki jak z kulomiotu. Co za pomysł go opętał? — Szukaj se chłopie, no!

— A nie będziesz się potem gniewał? — dosłyszałem. — Panie dowódco — poprawiła się.

— Nie. Zresztą zostań tu.

— Nie! — Wolała dostać w czoło, serce, w brzuch kulą czy odłamkiem pocisku niż znów męczyć się jak sto-rturowane zwierzę w powrozach gdzieś na klepisku. —Nie! Nie!

Partyzanci leżeli na wilgotnej trawie grupkami — zakurzeni, zmęczeni, rozrzucili szeroko nogi, wszak nawinęli na nie sporą taśmę dróg, uchodząc przed zwierającymi się kleszczami wehrmachtu i „Żbika”. Cmiii papierosy, dym pełzał do góry i po chwili ściekał po gałęziach ocieźzałymi smużkami. Chcieli wypocząć. Każdy z nich miał na tę noc zadanie: na jedną kartę rzucić los, ale ocalić życie... Niechże ta nieszczęśliwa cholera zamknie parszywe łyzy na kłódkę. Ale w odpowiedziach byli uprzejmi. — Oho, nie przysądzisz mnie do żeniaczki, jeszcze się taka nie urodziła.

Podbiegła do mnie, właśnie rozmawiałem z dowódcą, bo denerwowała mnie sytuacja wytworzona jego pomysłem: wydanie za mąż czterech bab obozowych — i to już, jakby się paliło.

— A pali się, pali, żebyś wiedział — orzekł gwałtownie i z jakimś strachem. Miał oczy nawiedzonego.

Żydówka popatrzyła na dowódcę, ten zaraz odwrócił się.

— Ożeń się ze mną — powiedziała. — Ożeń się! Zatchnęło mnie. Zdawało mi się, że cały las słucha. Ten

i ów żołnierz wsparł się na łokciu. Pokasływali, s pluwali.

— Ożeń się, błagam!

Odezwał się we mnie niepokój i jednocześnie gdzieś

15

spod przykrywki wojennych niedoli wychynęła przyczajona nadzieja szczęścia. Radość z powodu zbliżającego się końca wojny koncentrowałem tam, gdzie zostawiłem moją dziewczynę. Samo oczekiwanie pulsowało potężnie i burzyło się jak żądza. Bałem się, że za Żydówką przemówi także głód prawdziwej miłości i trzasnąłem jak z bicia:

— Przecież ja cię nie kocham.

— Ja wiem. Ale jest rozkaz. Ja muszę cię kochać.

— Mnie?

— Wszystko jedno. Kogoś. Jak Boga kocham, nie chce mi się, ale muszę. Dowódca zwariował, przecież słyszałeś.

— Przemocą miły ci nie będę Przemocą ty mi też miła nie będziesz — odpowiedziałem przysłowiem, bo nic rozumnego nie przyszło mi na język. Zaraz jednak wbrew woli zmieniłem decyzję, przypląnęła fala współczucia dla bezbronnej dziewczyny. Oto stała przede mną z zamkniętymi oczyma, otworzyła usta, już, już zaczęła wrzeszczeć.

— Dobrze — zgodziłem się — ale...

Ścisnęła mi rękę uszczęśliwiona, mrugnęła dyskretnie. Złączyła nas nie żądza, lecz niemy sojusz. Wykiwamy dowódcę.

— Przecież i ja wolałabym spać z innym — oznajmiła szorstko i od razu pobiegła do dowódcy.

Pogłaskał ją, jakby mu przyniosła bezcenny podarunek. Później popatrzył w moją stronę wzrokiem nie wyrażającym zbyt gorących gratulacji i złapał komara w powietrzu, żeby go zmiażdżyć w palcach.

— Dowódcy plutonów — zawołał pracując mocno szczękami — zarządzić zbiórke!  
Zebrali się migiem. Słońce już opadło za las. Dowódca po raz ostatni pozwolił sobie na uciechę mówienia z konia, pięknego araba, oto rozpętał go, wepchnął mu wę-dzidłOj rzucił na grzbiet siodło i wskoczył nań bez ni-

16

czyjej pomocy. Z tej wysokości obwieścił, że żołnierze powinni jeszcze trochę wypocząć, każdy dostanie suchy prowiant, radzi zjeść od razu, bo diabli wiedzą, czy będą jeszcze mieli ku temu okazję. Palić papierosów od tej chwili nie wolno, ponieważ faszyci węszą z trzech stron lasu... Wymarsz w kierunku pozycji niemieckich godzina przed północą. Do tego czasu narzeczem zdążą się poślubić, poczubić. Tylko bez. lipy...bez lipy! On sam sprawdzi. Nie chce, żeby po drugiej stronie frontu wyszło na jaw szachrajstwo. Rozpusty w jego grupie nie było i nie będzie. Baaaczność, spocznij, rozejść się!

Kraina piaszczystej gleby, a jeśli gdzieniegdzie gliniastej, to podmokłej. Kraina wietrznych wyżyn i lasów świerkowych, lilipucich jezior. Tu i chłopca zobaczyłeś w łapciach, i drewnianą sochę za stodołą wgniecioną w ziemię, łopian i pokrzywy. Zdawałoby się, że ta część świata stanowi ciągle resztówkę piastowskich włości. W myślach krajobraz łączył się z historią stojącą jak woda w stawie. Jeśli można było wyobrazić sobie tu przemarsz historii, to najwyżej w postaci piechoty zaopatrzonej w staroświecką broń.

A tymczasem w sierpniu tego roku historia zakuta po zęby w żelazo ruszyła i w te ostępy.. Front falował, jednostki rosyjskie i niemieckie przemieszczały się z dnia na dzień, że nie poznałbyś, gdzie już nasze dziedziny, a gdzie jeszcze wroga. Pluton pod dowództwem mocnego, ale niezbyt sprawnego umysłowo „Byka” — specja od minowania, wysłany w okolice Wiślicy celem wysadzenia mostu i uniemożliwienia Niemcom zorganizowanego odwrotu, powrócił z niczym, a „Byk” meldował dowódcy, że byłby rozkaz wykonał, ale... Ruscy nie pozwolili. Front od wschodu wmiesił się brzuchem w nie-

2 — Dziewczyny i chłopcy

%\*\_-

J

mieckie wały i umocnienia i niespodziewanie zastygł. Niemcy wracali głodni zemsty. Akowcy uchodzili z zajętych miasteczek, brocząc krwią, biało-czerwone opaski walały się po ulicach, żandarmi i własowcy szukali bezwzględnych zwycięstw nad bezbronną ludnością.

Czołg z czerwoną gwiazdą wymykał się osaczeniem, wybrał marszrutę na nasze lasy, ale tu zabrakło mu paliwa. Czołgista bronił się do ostatniej kuli, automaty przeważały... Jeszcze dziś widzę trupa z głową prawie odciętą, zwieszającą się na bok. Nasz spóźniony atak był już niepotrzebny. Przypominam sobie nocny pogrzeb z udziałem księdza, któremu ten oto bolszewik uratował życie na cmentarzu skalbmierskim. Rozległa się cicha modlitwa: „Przyjmij go, Panie, do chwały swojej”. Pochowany został na skraju lasu. Przez wiele dni następnych dzieci, nieświadome rzeczy, przybiegały tu z kwiatami. To był pretekst, właściwym zaś celem było wtajemniczenie jeszcze młodszych dzieci, ledwie łąjących po tej ziemi, w zagadkę niepojętego obrotu spraw tego świata: — Tu leży bolszewik. Nie chrzczony, jak Żyd, ale poszedł do Bozi. Przeżegnajcie się: w imię Ojca i Syna... No, ręce masz czy grabie, ty smrodzie? Mów paciorek!

Tego czołgu nie mogliśmy odżałować. Mimo zakazu chłopcy przywlekli z piątej wioski konewkę benzyny, wlałi do zbiornika. „Byk” próbował uruchomić maszynę. Szamotała się, szamotała, i nic z tego. Tylko całą okolicą wstrząsnął diabelny huk, naokoło dymiło jak piekielna siarka. Kto wie, czy właśnie tym faktem nie sprowokowaliśmy polskich faszystów. Na drogach od wsi pojawiły się patrole w mundurach polskich, lornetki kierowały się na nasz las. Prawe skrzydło było zagrożone. Z tyłu niosło się echo ognia karabinowego i rozrywających się granatów. Coraz bliżej i bliżej. W końcu miało się wrażenie, że na blaszany dach są-

18

siada pada bez przerwy żelazny grad. Niemcy też przystąpili do trzebienia partyzanckich oddziałów. Co robić? Dać się ścisnąć niby łupinka? W pogodnej nocy słyszało się huk czołgów, ale nie od

wschodu. Mgła na ustach smakowała jak karlsbadzka sól. Ci i owi dostali rozwolnienia. Chrapy nosa dowódcy rozdymały się nerwowo. Wszyscy pod jego okiem chodzili wyciągnięci jak struna. Ale on patrzył tylko na kobiety. A kobiety — jak to kobiety. Myślą, że mężczyzna zawsze chce je widzieć w zmiennych kreacjach, ponieważ czeka na nowe odmiany pożądania. Więc co chwila przebierały się za krzakami i pojawiały się w nowych sukienkach, których wiele otrzymały z rąk wdzięcznych zdobywców. Za każdym razem coraz piękniej uwydatniały się biodra i piersi. Czyżby się gniewał za to, że uśmiechy miały dla niego, a oczami strzelały na wszystkie strony? Tylko Żydówka, której niewiele pomagały sukienki, patrzyła na dowódcę wiernie, jakby urzekł ją jego duży kształtny nos i wyraźnie zarysowane chrapy.

Wreszcie zdecydował, że będziemy się przebijać przez front... Powiedział:

— Jak nie zaryzykujesz, to przepadniesz. Przypomnijmy sobie wszystkie akcje. Zamiast czekać na atak uderzaliśmy pierwsi. Zostawiamy tu więcej mogił Niemców niż naszych.

Wszystko zrozumiałe, wszystko mieściło się w granicach męskich decyzji. Dowódcy nie zbywało na odwadze. Kiedy spokojnie komenderował w najgorętszych, niebezpiecznych okolicznościach i tym swoim dudniącym basem opanowywał każdą panikę, to byłeś pewien, że masz do czynienia z opoką. Zaćmiło mi się to pojęcie w atmosferze krzątań grupy koło przygotowań do nocnej eskapady. Dowódca nagle popadł w panikę. Przynajmniej świadczył o tym jego głos, nerwowy i skaczący.

2«

19

— A baby niech sobie do wieczora poszukają mężów. Muzułmanami jesteśmy, psiakrew, czy co? Dość, koniec burdelu! Nie chcę po drugiej stronie odpowiadać za burdel. Może już jutro przyjdzie mi zdawać sprawozdanie. — Następnie ruszył w stronę kobiet, przed każdą machał energicznie palcem —| nosy im chciał po-utrącać czy co? — i krzychał, że jego rozkaz to nie przelewki. — Żebyś mi dziś siedziała pod jednym krzakiem, zrozumiano? Będziesz miała męża, to cię nie puści do drugiego krzaka!

Odciągnąłem dowódcę na bok, trochę zdumiony, trochę oburzony. Mówiłem jak do opoki i jak do człowieka, który wszystkie wolne chwile, nie zajęte walką, ćwiczeniami, wykładami i jedzeniem, zużywał na czyny przeczące purytanizmowi. Jego zadowolenie płynęło nie z serca, lecz z jednorazowych kogucich zwycięstw. Mało mu było tu, to ledwie obóz się uścił, budził mnie i omijając warty prowadził na wsie, do dworków, plebanii i młynów. „Odświeżyć się i popić — mawiał. — Bo jak się ma do wyboru grę w durnia lub w świnię i tylko przepisowe sto gramów na dzień, to można zdechnąć." Na głowę wdziewał pilśniowy kapelusz, a przed wsią już luzował szeroki pas z szeroką kłamrą, na której widniał napis: Gott mit uns.

— Co ty wyprawiasz? — spytałem cicho, lecz ostro.

— Kłopot sprawiają te baby. A jeszcze jaki mogą sprawić, ho, ho!

Powtarzam: oczy miał nawiedzonego. Co za strach go opętał, rany, rety!

— Tyle czasu się nie bałeś i nagle...

— Puknij się w głowę! Ja się nikogo nie boję — zastrzegł obrażony i po chwili dodał: — Tylko partii się boję. Ja jestem kandydatem partii. Jak się te baby pożrą za frontem, to rozbeblają Bóg wie jakie rzeczy. Każdy może za nie oberwać, nie tylko ja... W końcu spyta

20

naczalstwo: czymżeście wy wojowali tam na tyłach wroga, odkądżeśmy cię tam zrzucili z samolotu? Nie, nie. Nie chcę być uważany za pełnomocnika od tych bab, niech każda ma osobnego pełnomocnika.

Zostałem pełnomocnikiem od Żydówki.

Nie trudziłem się szczególnie ze znalezieniem wygodnego legowiska. Nie obchodziło mnie, czy nas ktoś podpatrzy czy nie, bo przecież nie myślałem poważnie o miłości. Przynajmniej ja. A Żydówka? Diabli wiedzą, gotowa ze strachu gwałcić. Powiedziałem sobie, że może mnie wziąć, ale nigdy przeobrazić. Jak zaznaczyłem, moja wyobraźnia była nasycona widziadłami wspomnień i oczekiwań obracających się wokół innej dziewczyny. Co ona robi? Czy gestapo przestało ją niepokoić? Była u niej rewizja. Tamta... antyteza tej. Wysoka, wysoko osadzone biodra, plecy

proste jak pion. Jak złapie w tańcu, to zdaje ci się, że wszystkie bebechy jej oddasz. Leżeliśmy z Żydówką, ubawieni fuszerką, jaką mieliśmy odegrać. Ścisnęła mi rękę i chichotała. W pewnym momencie ściągnęła z siebie sukienkę, żeby nie budzić żadnych podejrzeń, gdyby dowódca zachciało się przyjść na kontrolę.

— Jeżeliby mnie jednak napadło... — żartowałem. — Nie ma obaw — stwierdziła.

— A gdyby się tobie zachciało? Wiadomo, w babie diabli palą.

— Nie ma obaw — gorąco zareplikowała. — Kocham jednego — zwierzyła się i posmutniała. — Ale on żonaty.

— Znam go? — pytałem, żeby jakoś pokonać czas.

— To nieważne — odpowiedziała. Na tę powściągliwość nie zwróciłem jednak uwagi.

21

I

Zielona osina pachniała jak toaletowa woda, to znów lekki wiaterek wdmuchiwał w nozdrza gorzki zapach świerkowej kory. Spod zielonego parasola widzieliśmy tylko kilka gwiazd, ale wokoło było widno od świateł nieba i księżyca.

Wznowiłem rozmowę:

— Dawnoś w oddziale? Przedtem nie widziałem cię. Ja tu zaglądałem co pewien czas, żeby trochę pogadać o polityce i partii. Boby zapomnieli, o co się biją.

— Takiś ważny? Wiedziałaś, żeś ważny, ale nie aż tak... — Próbowła wyrazić wielką radość, lecz głos zbyt przejrzyście zdradzał obojętność. Myślni była gdzie indziej, w oczach Żydówki widziałem rozpacz. W granatowych lśniących włosach zapalały się błyski jak ogniki świętojańskie. Jednak rychło ocknęła się i nawiązała do mojego pytania. — Ja tu niedawno. Może miesiąc.

Jechałem z transportem do Niemiec, na aryjskich papierach. Partyzanci odbili nas, ale to był „Żbik"... On od razu poznał, żeś Żydówka. „Oho — powiedział — jam tu lepszy jak gestapowski pies." Bawić się długo mną nie chcieli, bo mówią, żeś taka drzazga... I byłabym już gryzła ziemię, gdyby nasz dowódca nie skroił im skóry i nie odebrał mnie... — Mówiła coraz szybciej, goręcej, jakby chciała przekonać, że ktoś nareszcie poznał się na jej wartości.

— Specjalnie dla ciebie zrobił dowódca akcję?

Zachnęła się i zagryzła wargi. Sprawilem jej nieświadomie przykrość. Zaczynałem coś rozumieć...

Zaczynałem coś rozumieć... Zanim jednak zdążyłem rozwinąć plan śledczy, misterny, nieobraźliwy, usłyszeliśmy ostrożne kroki. Poznawało się chód mężczyzny. Moment — i oto stał nad nami dowódca, skrzyżował ręce na piersi i kiwał krytycznie głową.

Twarz Żydówki wykrzywiła rozpacz.

22

i

— Poślubieni? — spytał dowódca.

— A nie wszystko jedno? — zakpiłem.

— Nie wszystko jedno — zdenerwował się. — Dla mnie nie wszystko jedno.

— To połów się ty — odpowiedziałem hardo.

— Ja?

— Chodź — wyszeptwała modlitewnie i bojaźliwie — będziemy leżeć w trójkę.

Dowódca już opanował się. Powiedział złowieszczo:

— Ja? Puknij się w głowę, to ci się wreszcie rozjaśni. Miałas sobie znaleźć męża, taaak? Nie podoba ci się? Ja ci nie wybierałem.

Przestraszona objęła mnie konwulsyjnym uściskiem. Oczy mówiły: Nie gniewaj się, nie gniewaj się... A głośno raportowała:

— Już będziemy poślubieni. Nie widzisz?

Uspokojony dowódca odszedł. Czułem żebra dziewczyny, ale w jej piersiach panowała głucha cisza. Dziewczyna szeptała błagalnie:

— Nie gniewaj się, nie gniewaj się. Jesteśmy poślubieni. Bo przecież ja tu nie mogę zostać. A on

nie chce, żebym była ciągle do wzięcia.

Odrażająca była ta fikcja miłości. Lecz pomaleńku, pomaleńku w jej głos i ruchy poczęły się wplatać drobinki namiętności, które rosły w gorącą górę, oświetloną lampkami oczu i ust. Nie wiem, jak się to stało, że obudziliśmy się na krawędzi parasola z zieleni. Widocznie po pierwszym gniewnym zapaleniu ciał odeszliśmy od siebie. Niewątpliwie zdarzył się nonsens, jednak nie było czasu analizować przygnębienia, bo do szpiku kości przeraził nas widok wyiskrzonego nieba, ogromnego jak suchy step,

J

23

i lęk. I ta cisza, ta cisza. Zerwaliśmy się, by biec, zegarek wskazywał już godzinę dwunastą, północ. Biegliśmy przed siebie, zewsząd ziało pustką, wszędzie droga otwarta, a jakby zatrzasnęły się wszystkie bramy do świata. Nie było nikogo. Po drodze potykaliśmy się o naczynia kuchenne, o kupki brudnej bielizny, o siodło. Ciekawe, gdzie błąkał się koń, przecież dowódca nie poprowadził go na linie niemieckie.

Już nie było żadnej nadziei, między świerkami hulał tylko wiatr. Zdrętwiali wparliśmy się w drzewa. Co za sens biegać tam i z powrotem jak nad urwiskiem? Żeby serce pękło? Wtem w dali echo przyniosło nawałnice eksplozji, rwały się granaty, wybuchały artyleryjskie pociski. Boże, Boże, nawet cień istnienia nie uratuje się z takiej piekielnej opresji. W oka mgnieniu na niebo wtargnęła ogień taki jak przy zachodzie słońca. Niebieski dach łamał się w płomieniach i podnosił w dymach. Twarz Żydówki rozpełzła się w bladeści, zginęła w przerażeniu, zostały tylko czarne oczy. Bezwładnie osunęła się na kolana i zaczęła wyć głosem dzikiego człowieka, który wie, że cierpi, strasznie cierpi, a więc umrze. Rzuciłem się na nią, jedną ręką ścisnąłem za gardło, drugą zatkałem usta. Szarpała się, śliniła, w końcu już tylko targało ją. Wreszcie i moje rozedrgane dłonie osłabły. Rozluźniłem uścisk. Wtedy łapczywie zaczerpnęła powietrza.

— Ale nie ożenisz się ze mną? — spytała niesamowitym głosem.

— Nie. Zależy ci na tym, żeby nie, prawda?

— Zależy — złożyła ręce błagalnie\* — On przecież wróci, on nie zginął. On nie może zginąć. Bo gdyby zginął, to po co by mnie miał oszczędzać i zostawiać tu? — Zwiesiła głowę i dodała ostrym szeptem, z akcentem

repliki: — A swojej żony wcale się nie bał, tylko udawał. To co, że czeka na niego nad Wisłą?

Uciekła spod noży banderowskich i to jej powinno wystarczyć.

Dopiero teraz przygnębienie i podziw powaliły mnie na ziemię.

Jadwiga

Bratysława w październiku 1959 r. Szarpnąłem za story w hotelu „Carlton”, miasto odwijало się z mgły, już widać przysadzistą restaurację węgierską naprzeciw — tylko przebiec między kilku domami i dorównującymi im drzewskami; kiedyś zaprowadziła mnie tam Hedwig, Jadwiga, żebym się przyzwyczaił do potraw gęstych od papryki i do czardaszowego buntu miłosnego, wrywanego ze skrzypków czarnego pana charakteryzującego się czerwoną kamizelką i pełnym brzuszkiem. Wczoraj wieczorem jeszcze opierała się przed wycieczką na Węgry. Mimo że nie zawsze traktowałem poważnie jej uwagi, niezmiennosc słów i głosu, znów mnie wzruszyła, oto słowa Jadwigi:

„Tam wszystkie kobiety czarne, a dziewczyny żarłoczne jak kruki... Po co ci jeszcze jedna taka?”

„Nie zawracaj mi głowy Cygankami, ty jesteś najlepsza. Nie zostawię cię tu, jesteś ciągle młodziutka, wbrew doświadczeniom. Każdego wieczoru byle kto narzuci ci inne potrzeby.”

„Nie tak łatwo”.

„Nie przypominaj mi, wiem. Każde zwycięstwo muszę wyharować. Pamiętasz krakowski Lasek Wolski?”

„Nie kpij” — prawie warknęła.

Ach tak! Na skraju lasu. W jej oczach zapaliły się

26

\$jgb |H Śtk uśmtmL

czerwone iskry i pierwsza weszła w ciemną, najeżoną gęstwę nocy, była to noc szukania kwitnącej

paproci, z tradycji Jadwidze nie znanej.

„Przepraszam... ale nie szydę z niekończącego się faktu. Chciałem tylko powiedzieć, że nigdy nie wtopisz się w jakąś litanię kobiet trudnych do odróżnienia...”

Z kolei ona przejęła się moją miłością, już szybko zadecydowała, że jedziemy wczesną rano. No więc poganiałem ją teraz, patrząc z czwartego piętra na ruch wzmagający się wokół pętli tramwajowej i przy drzwiach baru mlecznego. Wzywałem, wzywałem, wreszcie podniosłem głos, niechże się wreszcie ubiera.

— Do diabła, przecież sama napędzałaś, żeby skoro świt... Co cię tak piliło? Nie musiałem wstawać.

Melancholijnym, niechętnym głosem odpowiadała spośród zadymki bielizny i pościeli w łóżku.

— Chciałam zwiedzić jak najwięcej naszych miejsc...

— Po co?

— Nie wiem.

— No to ubieraj się szybko. Pomóc ci?

— Nie świeć! Zgaś!

Kiedy w ledwie rozrzedzonej pomroce zapinała stanik, wyglądała jak chłopak wyrosnięty nad wiek, niezdarny i niezadowolony z tego, że już musi zbierać się do szkoły. Ale tu ważyły inne powody, które wyjaśniły mi się dopiero z biegiem dni. Tymczasem myślałem, że Hedwig znów buntuje się przeciw posądzeniu jej o uległość wobec mężczyzny, który funduje jej wiele dobroci. W imię swojej chimery nie raz wyrwała mi się z rąk. Natomiast wprost zapadała się w miłości galopującej we wzajemnym wyrównaniu fizycznym i umysłowym, pogardzała kobietami oddającymi się w podzięcie za utrzymanie, na domiar dopłacając jeszcze opierunkiem. Tej zasadzie podporządkowała sprzeczną z nią teorię nowoczesności, ani się troszcząc o jej praktycz-

27

ność. Mianowicie drwiła z obłudy takiej nowoczesności kobiecej, która szczyli się honorem samodzielnego zdobywania środków na życie jakoby w imię namiętności do pracy zawodowej takiej samej jak u mężczyzn. Oczywiście bzdura, twierdziła, takie pożądanie. Kłamstwo wynikało z fałszywej interpretacji równouprawnienia z mężczyznami. Czuliła się kobietą najbardziej nowoczesną, jeśli ani przez chwilę nie zaprzętała sobie głowy tym, co będzie jutro.

Ciągle patrzyłem na nią tylko jako na kobietę i w tym się grubo myliłem. — No, już? Można dowolnie patrzeć? Zaśmiała się swoim śpiwnym, łapczywym głosem. — Patrz sobie dowolnie i swawolnie. Naprawdę cieszę się, że ciągle jesteś młody i niezaspokojony. — Była w obcisłej sukience w niebieskie kwiatki. Nie pasowały do wilczego lśnienia oczu i włosów utlenionych na barwę wilczych jagód. Zdawało mi się, że czeka na pocałunek, ale odwróciłem wzrok ku szafie szeroko otwartej, w której dwie lub trzy sukienki wisały na ramiączkach, a kilka leżało na deskach pokrytych kurzem. Powiedziała:

— Jedziemy.

— A tego nie sprzątniesz? Nie widzisz?

— Widzę. Nie martw się, przecież ktoś sprzątnie.

— Kto?

— Zawsze przecież ktoś. Nie wiem.

Zgryzłem jakieś słowo, na pewno by mnie ośmieszyło. Zmusiłem się do chłodu, pozornie, to właśnie uciszenie po pompującej, prawie wulgarnej nocy właśnie w tym momencie ulotniło się. Znów pograżyła mnie fala wrzenia, od głowy — to najgorsze, bo czasem równoznaczne z samounieszczęśliwianiem, bez wyraźnych powodów.

Szybko wywikłaliśmy się z krętaniny szyn tramwajowych i w ogóle z Bratysławy. W wodach Dunaju w oddali już pławiły się rude słoneczka. Lubię

poranki wrześnie w szaroniebieskim dymie i rześkie od obfitej rosy. W szaroniebieską mgiełkę wyparowywał Dunaj. Dobrze, że ściągnąłem dach na moim oplu, wiaterek i jego furkotanie dziewczęcymi włosami, moim pulowerem, jej kwiecistym z piekła rodem sweterkiem świetnie usprawiedliwiało milczenie. Chociaż nie wypowiedziane słowa grały nawet na ustach. Obie ręce położyłem na kierownicy, manifestując lubość i wolę wypoczynku. Czasem nie wytrzymuję i

naigrawam się z siebie, nie przypuszczając, że pogwizdywanie przez zęby i wychylenie wolnej ręki za szybę wozu ujawnia właśnie udrękę. Pędziliśmy co się zowie, w różnym sensie, po gładkim asfalcie — ledwie zauważyłem dwujęzyczne napisy przy wjeździe do miast, na sklepach i instytucjach. Nove Žamky — Ersekujvar, Restaura-cia — Vendeglo, Kaviaren — Kavehaz. Raz po raz znów migały wyraźniej sze słoneczka na szerokich wodach Dunaju. Jadwiga dotąd naprężona (niby przeciw wiatarkowi) i z twarzą jakby obleczoną śniadą patyną, poruszyła się naocznie — jeśli można tak powiedzieć — dopiero wtedy, gdy motor wozu zaszwankował przy szlabanie granicznym, i wysiadła, żeby pomóc zielonym i młodym strażnikom słowackim w podepchnięciu maszyny pod ręce ciemnych strażników węgierskich.

— Lengyel, Lengyel, Polacy... Polacy...

— O nie! — gorąco zaprotestowała. — Ja jestem... ja jestem... — jednak zaplątała się, znów coś zataiła — jestem chyba internacjonalistką. Co tam Polacy! Tacy sami jak Węgrzy.

Niegrzeczna, nietaktowna! Omal nie zatkałem jej ust, już wyciągnąłem rękę. Ale tylko ostro przypomniałem:

— Nie mów o polityce! Sama mnie besztłaś za to, że przy Kochaniu mówię o polityce. Użyłaś krańcowego

porównania: mężczyzna zamyka się z pożądaną kobietą w zacisznym ustroniu i zamiast ją ścisnąć, rozbija miękkie usta pięścią.

Nie dała się zreflektować, przeciwnie — wzburzyłem rój bolesnych, a może zjadliwych wspomnień — przeciw samej sobie, była w pełnym rozpędzie. A przy tym prowokowała, nie bacząc na niesprawiedliwość swego postępowania.

— Dawno tu nie byłam! Wstąpimy do Győr, tam zamordowali moją matkę. Ja nie wiem czy nie znajdę się znów wśród morderców? Kto? Zaraz... zaraz... dojdę także do tematu, tego z rozbijaniem ust pięścią. Mordercy nie dzielą się na narodowość, tylko na tych co dłużej i krócej zabijają, strzelają celniej i mniej celnie. Czy ja policzę ilu istnieniami ludzkimi obciążyć sumienie gestapowców, ilu policjantów Horthy'ego a ilu szturmowców ze strzałami Szalasięgo? Jak dziś stwierdzić do-kumentalnie, kto kazał stracić pół miliona Żydów węgierskich, a dwieście tysięcy ocalał w getcie budapeszteńskim? Kto całe grupy Cyganów wysyłał do Oświęcimia, a drugim grupom kazał paradować w umajonych taborach przed zagranicznymi delegacjami? Wystarczy bezradność zamiast odpowiedzi? Otóż uciekłam do Pecs, na samym południu, bliżej serbskich partyzantów. Złuda. Tam na ulicy przyczepił się do mnie przystojny facet, pełnej krwi mężczyzna. Są takie kare, lśniące ogiery. Właśnie on tak wyglądał. Tak pomyślałam (konie dobrze znałam), chociaż żadnych złudzeń nie wiązałam z tym skojarzeniem. Ten kary facet powiedział, że jestem Żydówką. Wymuszał w bramie, żebym się przyznała. Dziś nie umiałabym mu odpowiedzieć, a co dopiero wtedy... Jeżeli w taborach cygańskich chowały się Żydówki, to może rzeczywiście byłam Żydówką. Dziś na pewno nie... Jestem ka-to-licz-ką. Mimo wszystko to najbezpieczniejsze od czasów gdy zwolenników Chry-

30

stusa rzucono dzikim zwierzętom na pożarcie. No więc ten ogier wmawia we mnie... Tak, tak, od razu widać, że uciekłaś przed łapanką, zaraz sprawdzimy skąd. Tyś nietutejsza. A przy tym mrugał siarczyście... siarczyście... tak się dzieje w teatrze, podobał mi się coraz bardziej. Zaprowadził mnie do pięknej garsoniery, przekręcił klucz. Pierwsza zarzuciłam mu rękę na szyję. Do tej chwili nigdy tak... Wziął mnie. Miałam wtedy szesnaście lat. Rozbolała i wniebowzięta... Nawet ośmielić chciałam, żeby nie czuł się winien z powodu szantażu. Ile razy tak można? Proszę bardzo... A on mnie w zęby. Przestraszyłam się — i znów mnie wziął. Podobnie w następne dni. Ja go pragnę rozbudzić, a on mnie w zęby. To był zboczeniec. Dla zboczeńców rajem wojna. Rozmijaliśmy się. Ja jednak... proszę panów, lubię wracać na miejsce zbrodni... Przecież brałam udział w samobiczowaniu. Widocznie lubię t a m t o...

Przysadzisty mężczyzna z kruczym wąsem szybko oglądał paszporty, jeszcze szybciej pieczętował kartki i zaraz rozkazywał:

— Jedźcie, jedźcie, bo zaraz zamykamy granicę. — Przy tym znacząco spojrział na trzech strażników, którzy bezbłędnie poprawili kabury przy szerokich pasach, jakby zapowiadając obronę

przed wszelką agitacją za przeszłością. Urzędnik był blady, oczy zastygły w dzikim wyrazie, zaś jeden ze strażników kopnął buciskiem w oponę. Jedźcie.

Wóz zerwał się, jak w ucieczce. Zaraz napadłem na Jadwigę.

— Nie myśl, że nie poznałem się na kłamstwie. Znów wyciągałaś ramiona. Bądź delikatna, przynajmniej nie rób tego przy mężczyźnie, z którym nieźle spędziłaś noc... Mam nadzieję...

Przecież nie jesteśmy tu po raz pierwszy od tamtych okrutnych czasów. Kołowaliśmy

33

tutaj rok temu. Wspomnienie było ci potrzebne dla przynęty...

Kłamała w tym samym stopniu, co niewierną była. Za „politykowanie” zganiła mnie w Stalinvaros, kiedy porównywałem słoniowate budownictwo mieszkaniowe do monumentów w Nowej Hucie i cieszyłem się ze zwrotu ku lepszemu dzięki zastosowaniu koloru i szkła.

— Tak, tak — z kolei ona krzyczała. Czasem zdawało mi się, że nagromadziło się w niej tyle ciężkich przeżyć, iż nie wy eksploduje nigdy do końca i tylko stara się jakoś usprawiedliwić, za brak pełni. — Wariacie, do kogóż ja ręce wyciągam? Może przeszkadzam tobie? Szaleję do woli. Przecież tamten był zboczeńcem, musiał się rozgrzać. — Potem mówiła wolniej i o ton niżej. — Rzeczywiście, coś tam opowiadałam już rok temu. Przejeżdżaliśmy przez górskie lasy Bakony... Pograżała się we wspomnieniu.

Zapadał zmierzch. Sunął z boków wraz ze szmerkiem spadających liści. Odezwał się pojedynczy głos sygnaturki na Anioł Pański. Zaś z Bakonów wydobywały się zrudziałe barwy, niby zwięzłe kępy, spod rozbłysku reflektorów. Tam gdzie droga — rozrzewniła się wówczas Jadwiga — rosły drzewa grube na dwa metry. Nie trzeba było namiotów. Pewnego dnia wziął ją ojciec za rękę i zaprowadził do szkoły w Papa. Pokłócił się z Cyganami, ponieważ zarzucali mu, że podrobił sobie papiery wicekróla. „Kto umie czytać? Kto?! — krzyczał. — Nikt z nas. Czy ja nie wyglądam na Cygana? Córka przeczyta wam prawdę.”

Tak było, ale Jadwiga nie usprawiedliwia się z powodu kłamstwa, tylko z desperacją brnie w swoje wspomnienia.

— O co ci właściwie chodzi? O ojca jesteś zazdrosny? Że nie jesteś do niego podobny, ani do cikosza, który

32

asystował mi na puszczy? Zresztą każdego o coś podejrzewasz. W czardzie przysiadł się do nas chłopak idealnie spokojny — jakież podejrzenie, jeśli nigdzie nie było miejsca? Ale tobie nie podobał się zielonkawy płaszcz z paskiem i podniesiony kołnierz. Od razu zaatakowałaś ze źle ukrywanym grymasem niezadowolenia.

„Towarzysz z bezpieczeństwa”.

„Z milicji” — sprostował nadzwyczaj spokojnie. — • „A po czym poznajecie?”

[„Jest jakaś cecha, która się przylepia do was na całym świecie”.

„Może prawda, może nie, ale towarzysz to na pewno jest dziennikarzem. Na całym świecie macie ręce brudne... od atramentu. Przepraszam, przecież Polacy nie brali udziału w węgierskiej kontrrewolucji”.

— Rzeczywiście, tak było.

— Co ty wiesz o moich przeżyciach!

— Nie o przeżycia chodzi.

— Cikosz? Jeszcze jeden konkurent? — Naigrawała się pewna satysfakcji kobiecej czy tylko krytykowała moje sobkowskie, prowincjonalne zacofanie? — Przez pusztę uciekłam z Pećsu, wiesz od kogo... Może ojciec tego cikosza pomógł mi, podrzucając mamę tej klaczy, która właśnie uklękała przede mną? Złapałam się grzywy i wio! Z tyłu kule. A tamta klacz przy każdym świcie kuli klękała... Daj pyska i wstań, to ty powinnaś jeździć na ludzkim stworzeniu, ale dziś pomóż... Ukryły mnie zakonnice, ochrzciły, potem szukałam tu ojca. Opuścił matkę, ponieważ także twierdziła, że nie ma prawa być wicekrólem. Więc ostatecznie zerwał z Cyganami, gdy zaczęli ich zabijać na równi z Żydami, i ukrył się tu. Ale nie był podobny do wzoru człowieka, jakiego malowali Niemcy, ani do konia, ani do capa, więc go i tu znaleźli. Gdybym wiedziała gdzie jego grób,

zatańczyłabym... lekko, żeby go nosło tak lekko po śmierci.

No tak... udawałaś, że urzekły cię tylko stroje ciko-szów — pastuchów od koni, w obrzędowych czarnych pelerynach i kapeluszach, zagięte fantazyjnie jak słoneczniki. A poza tym dwaj okrągli cygańscy dziadkowie — ale czerstwi; porównywałaś skrzypce do gałązek z diamentu i krwi. Patrzyłaś na ich synów, a bardziej na zadziornych wnuków. Zimny, twardy wiatr pracował za oknami wokół rozśpiewanej czardy z naftowymi lampami, pełnej zapachów przypalanej słoniny, pstrągów, gór i wina. Trzymałem dłoń Jadwigi tak samo przez całą noc. Spod olbrzymiego, kamiennego mostu dochodziły jęki wiatru. Zrywałaś się, żeby biec ku czyjejś tęsknocie, nie popuściłem, narzuciłem swoje ramiona. Rankiem zobaczyliśmy jak całą dookolność pożarł szron. Kwiaty przy pomniku Armii Czerwonej zostały ostatecznie zwarzone. Po śniadaniu z chleba i kilkudekowych kawałków przypalanej słoniny ze skórką pojechaliśmy w stepowe bezbrzeże, prześwietlone zimnym słońcem i towarzyszące błękitnemu niebu. Przy żurawiu stały dwa konie, przewodnik w baraniej czapie już dosiadł jednego, mając się grzywy, nie mocniej niż powietrza. Swobodnie przechylony do tyłu pognął przed siebie. Po chwili poruszyły się na stepie małe punkciki, przewalił się ostry krzyk oraz rozległ się stukot, tętent z setek końskich kopyt. Punkciki zwały się w tabun z coraz widoczniej szymi zakrętami ogonów. Zaryły, zafalowały przed żurawiem... Malowniczy ci-kosz o cerze zbliżonej do koloru ognistych wąsów wyplątał się z batów i sznurów, pochylił się do ucha gnia-do-lśniącej klaczy, coś zakrzyczał, a potem patrzył obiecująco na Jadwigę, opartą o maskę wozu. Mojego. Widocznie dostrzegł w jej oczach wieczne niezaspokoje-nie. Ewentualnie coś słyszał o jej zapamiętaniu w ezar-

1.....HL

dzie. Nu! — świsnął batem i klacz pokornie podreptała i uklękła przed Jadwigą na przednich kolanach. Z kolei dziewczyna schyliła się i ucałowała kobyłę w mokre chrapy, jak własną mamę rozmazaną wzruszeniami. Odpowiedziało jej rzenie. Coraz wyżej i wyżej się wznoszące, zda się głoszące tryumf nie tylko swój. Czym prędzej pociągnąłem Jadwigę do samochodu.

Teraz w drodze do Budapesztu zarzuciła mi zazdrość o owego cikosa, z którym zresztą mogła się spotkać w dowolnym czasie. Ale wiem, że śmieszne jest przyjmować każde podejrzenie za dokonany fakt i obwieściłem z kłamanym lękiem:

— Mnie chodzi tylko o to, że się ciągle narażasz na niebezpieczeństwo. Strażnicy mogli cię przytrzymać, bo właściwie plułaś na nich.

— Tam przystojnych nie było.

— Nie wybierasz. Nie ma tylu przystojnych na świecie, ilu...

— Wątpisz?

— Żartuję. — Znów kłamałem, ale nie wierzyłbym w kłamstwo i lęk, gdybym nie czuł drżenia kierownicy. I bardzo się wstydzę jak bardzo pragnąłem być choćby tylko jednym z tych wielu przystojnych i pożądanych, chociaż wiele dowodów już doświadczyłem. Ale w owej chwili nie miałem dowodów. W rzeczywistości stwierdzałem zmienność w fizycznym charakterze Jadwigi. Na przykład... jeszcze śpi w łóżku ciepła od pieścizot, z rozmierzwionymi długimi włosami, a nasz świat już spłonął — dla niej zaczynał się nowy, i znów tylko moim zadaniem było, żeby nowy jej dzień zawojować dla mnie. Zaciskając zęby i nawet wywołując pożądanie. W imię nadziei, że dziewczynę odkryję do końca.

Już dawno minęliśmy Dunajec i nawet Rabę... Dziewczyna — myślę — gra prawidłowo, w zasadzie

nie uznaje gry na przykład w ping-ponga, w której nie odbiera piłeczki. Ale tym razem przetrzymuje ją, bardzo niebezpiecznie. Mam czas do woli pokontemplować, to znaczy podenerwować się ze strachu, żeby nie zaczęła mówić o mężczyznach, wypierając się ich po kolei. Robi jedno i drugie zbyt pospiesznie. Niby nie wierząc, że miała lata kudłate i uda z udami spletały

się świadomie. Rzeczywiście tęskniła za jakimś prawdziwym kochankiem? Jakim on był? Drażał z łapskami goryla? Nie czuję zazdrości i poniżenia, chociaż i ja nie należę do ułomków. Ewentualnie chwaliła sobie intelekt króla lasów, drwała mieszkającego całymi tygodniami wśród drzew. Musi być także sążnisty na podobieństwo właśnie sągu dębiny. Zapuszczała się w głąb zielonych splątń, gdy padał deszcz, brodziła na kolanach do niego, a on brał ją nie do baraku, w którym panowała atmosfera zbyt intymna i kusząca, lecz niósł pod pióropusz z liści buków i wiązów, siadał na miejscu suchutkim, ona na jego kłocowatych kolanach, zaraz opowiadał o świecie zapadłym, szczęśliwie nie zmieniającym się od początków świata. Gdyby nie umarł, prawdopodobnie zdobyłaby prawdziwy świat szczęścia. — Miej że rozsądek, Jadwiga — upomniałem. — Z twoją urodą i chęcią użycia...?

Śmieje się rozkosznie. Czy nie może być dzieckiem? Czasem jednak udaje, że gubi się i wspomina szlachetnego mężczyznę o ustalonym charakterze i szronięjących włosach. Już milczę, bo wiem, że to ja nim byłem lub jeszcze jestem. Do reszty uspokoiłem się w budapeszteńskim hotelu na jej piersiach, co trwało krótko, bo... niebawem odezwał się telefon z Bratysławy. Chyba spodziewała się tego głosu, bo w mig chwyciła słuchawkę i przez pół godziny kwiliła i wdzięczyła się pta-szęco do mikrofonu, na domiar drwiny nie przestając mnie łaskotać wolną lewą dłonią po plecach, i pobudzać

36

do powtarzania żarliwości. —! Mój ty kochany, najukochańszy — szeptała kilka razy, po wszystkim.

Szumiały opony, zuliśmy w nieskończoność twarde salami, sprzedane jako „przedwojenne”. Melancholii i intensywności ruchu wozu dodawało rozkołysanie łańców pożółkłej kukurydzy i końskiego zębu oblatywanych przez wiatr i siekanych przez czerniejące, mosiężne promienie słońca. Na zżętych połaciach błdziły grupki krów, cieląt, wołów z pyskami do ziemi. Na horyzoncie ukazał się cygański tabor, kolejność barw na wozach stwarzała wrażenie tęczy. Jadwiga poprosiła, żebym przystanął.

Znów kłamała, że ma nadzieję spotkać kogoś z rodziny taty, miał braci młodszych, zapominała, że tata zapał się pochodzenia cygańskiego. I tym razem nie pomógł apel do rozsądku.

— Nie pożałujesz — powiedziała.

Przystanęliśmy naprzeciw taboru, Jadwiga wyskoczyła z samochodu, cygańskie wozy zatrzymały się jak umówione. Jadwiga zakreśliła się koło nich, wywołała z siebie jakieś nie znane mi akcenty, Cyganichy sfrunęły na asfalt, te młodsze obróciły dziewczynę niczym bąka — patrzeć a zacznie tańczyć... Patrzeć a wywoła tańcem wiersz Tuwima.

...Za górami, za lasami

tańcowała Małgorzatka z Cyganami.

...Przyszedł ojciec, przyszła matka,  
chodź do domu, chodź do domu Małgorzatka!

Przez otwarte drzwi popatrzyłem na Cyganów. Który z nich mógł być bratem lub choćby kuzynem ojca Jadwigi? Kiedyś opisała go dość dokładnie: po prostu kawał chłopca o szerokim czole, krzaczastych brwiach i zuchwałych oczach. Właśnie moje myśli krążyły kiedyś wokół takiego ideału Jadwigi. Na fioletowym wozie siedział podobny, ale obłapiał swoją kolorową żonę.

— Nie odwracaj kota ogonem — zgromiłem potem. — Obiecałaś, że nie pożałuję... natomiast chętnie pozwoliłabyś zapakować siebie do worka i uprowadzić. Porzucasz mnie tak jak większość z nich porzuca miejsce pracy.

Odbiła piłeczkę dopiero wtedy, gdy ukazały się kontury rozległego Budapesztu. Najpierw delikatnie rysowała usta kredką.

— Zdaje się, że to ty ostrzegałeś mnie przed drażnieniem niebezpieczeństw. Właśnie to! — Wzięła głęboki oddech, zda się robiła podział między przekomarzaniem a... — Może ja mam dość takiego życia?

— Cóż ci brakuje? No... powiedz... może...

— No właśnie — urągliwym głosem przedrzeźniała — cóż mi brakuje... Ulica, przy której mnie

zastała w Budapeszcie katastrofa jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku, przechodziła z rąk do rąk. Może złożysz wizytę w ambasadzie polskiej; to zahaczysz o tę ulicę i jeszcze zobaczysz podziurawione panienki, które podtrzymują dachy domów. Robiłam sobie gruntowne upiększanie we fryzjerni, w której pracowała znajoma kosmetyczka. W świetle rozrywających się pocisków i granatów wypełniała swoje zamówienie, stary fryzjer uciekł, już wybito szyby, z drzwi sypały się drzazgi. Ryzykowałyśmy... Co? Diabli wiedzą. Raz wpadli jedni, pytając jaka to firma, to znów drudzy, nudząc o to samo. Na przekór odpowiadałyśmy — komunistom, że prywatna, zaś tym drugim, że socjalistyczna. Rozkładali rękami bezradnie. Fajtlapy. Wyć się chciało, taka nuda dla dwóch młodych kobiet.

— Co chcesz przez to powiedzieć?,

38

— Może dowiesz się niebawem.

Czas kończyć wspominki i poznać i tę wycinkową prawdę. Rzeczywiście zbliżaliśmy się do końca... Może niepotrzebnie dałem się zaprowadzić do teatru na impresyjną składankę pt. „Sto dni małżeństwa”. Dwoje studentów osiedliło się ciepłutko w pokoju pobiurowym jako para tworząca coś w rodzaju małżeństwa koleżeńskiego. Od czułości do konfliktów... Sala wybuchała śmiechem. Ubiegłem wynik owych stu dni i zaszepotałem do ucha Jadwigi:

— Sto dni małżeństwa... a ile miłości?

— Ty rachujesz?

— Nie, pamiętam — odparłem z dumą, żądny pochwały i nagrody. — Nie pamiętam, gdzieśmy się poznali: w Krakowie, Bratysławie czy Berlinie...

— Pod pomnikiem w Treptow? Byłam tam... z tobą? Zagryzłem wargi, lecz niebawem opanowałem się

i wyliczyłem niez mordowanie: — Najpierw było dwadzieścia dni miłości, drugi raz dziesięć, trzeci raz trzynaście, w Budapeszcie i w Hortabagy poprzednim razem pięć dni i pięć nocy...

— Właśnie dni i nocy — wtrąciła.

Chrząknąłem z satysfakcją. — Wczoraj w Bratysławie... Hoho, ledwie dobijamy pięćdziesiątki. Do stu dni bardzo... bardzo daleko.

— Tego się nie liczy jak pieniądze.

— Ma się rozumieć.

— Ja liczę podwójnie. Dziś minie sto dni. Nie żałuj siebie ani mnie.

Drgnąłem nieprzyjemnie.

Po przedstawieniu poszliśmy na kolację do lokalu drugiej kategorii, w którym równocześnie odbywa się dansing, co w Budapeszcie jest prawie regułą. Wśród kobiet ubranych skromnie, a nawet tych prezentują-

i

39

cych się jak modelki z wystawy, Jadwiga wyglądała naprawdę wspaniale. Nie miała drogich upiększeń, ale każdy wycinek śniadego i gładkiego ciała, udostępniony oczom przez świadome rzeczy krawcowe, z naddatkiem zastępował najbardziej olśniewającą biżuterię. Ledwie usiedliśmy, zanim rozejrzałem się po sali i skontrolowałem muzykę, już została porwana do tańca. Owszem, spytała czy pozwalam, ale nie czekała na zgodę. Dopiero potem lekceważąco skinęła głową, żeby wszyscy widzieli... Nie mogłem jednak nie patrzeć jak tańczą. Pragnąłem przewiercić oczami ómę na sali, niestety nie udało mi się obejrzeć dokładniej tancerza. Widziałem tylko okrągłe wiosłowanie ramionami. Chyba ten nagły taniec wiązałem z groźbą rzuconą przez Jadwigę w teatrze. Kiedy wrócili po dwóch kawałkach, a on dziękował, ujrzałem młodzieńca typowego dla serii zepsutych chłopców produkowanych jednorazowo przez wygodne i forsiaste małżeństwo, a potem polujących na mężatki. Chciało mi się śmiać z umiejętności rozpoznawczych chłopaka. Ale twarz gorzała mu sympatycznie i loki miał jak bóg pogański, świadomie wyhodowane.

— To twój nowy typ? — zapytałem ostrożnie i szyb-ko tyknąłem kieliszkiem wina w jej kieliszek.

— Nic z tego — powiedziała z obojętną twarzą, potrafiłem jednak wyłapać w jej głosie nutę żalu.

A potem dodała pogardliwie: — Tacy umieją w tańcu zawiązywać tylko ruchy kopulacyjne. Obja-

wie-nie, phi. Chodźmy do domu. Tu przeważnie przychodzą pary, które się rozchodzą, i takie, które się wiążą... Rozwodów dużo.

Pozornie wszystko w porządku, mogłem się czuć nie-, zastąpiony, i to mnie zbałamuciło. Nocy nie spędziliśmy daremnie, tym bardziej, powinniśmy pamiętać i szukać się wzajemnie. Rano oznajmiła, że chyba nie będę się trudził towarzyszeniem jej, gdy będzie odwie-

40

dzać swoich znajomych. W to mi graj, ja także pragnąłem złożyć wizytę w ambasadzie, potem w dwóch redakcjach, w końcu dom polski przy Vaci-utca. Nie-obowiązująco umówiliśmy się późnym wieczorem w Bu-dapest Variete. Na stoliku w pokoju hotelowym leżał prospekt nowego programu i Jadwiga prawie z wypiekami na twarzy przyglądała się sylwetce wysokiego konferansjera i zarazem felietonisty, nazwiskiem Dar-vas Szilard. Przemykała oczy, przewracała kartki i powracała do sylwetki mężczyzny, jakby chciała coś potwierdzić.

— Wiesz — przypomniała uspokajająco — przed wojną tańczyłam w cygańskim zespole dziecięcym.

— Szczęść Boże, niedługo zdziecinniejemy.

No więc, po dziesięciu godzinach jestem na miejscu... Program trwał. Śpiew, muzyka, taniec, humor i satyra. Ryk lwa w menażerii. Zasłona rozsunała się: tam ryczała konduktorka tramwajowa. Rozglądałem się gorączkowo po sali. Nie widzę Jadwigi. To nic, na pewno nie puściła się, ubiegła noc z piętnem groźby jako ostatniej, będzie długo pamiętać... Na scenie święci triumfy z kolei komik. I cztery dziewczyny, zgrabne, piękne — stworzone chyba na zamówienie. Miękkie, uczuciowe, zażenowane i swobodne. Zdaję sobie sprawę z tego, ile kosztuje te dziewczyny kontrola nad wyglądem. Kogo kosztuje? Wiem, wiem. Przesiadam się z rzędu do rzędu, widzowie sykają. Nowy punkt programu, rewia mody jesiennej. Ubiór młodej kobiety przed południem, przy obiedzie, o godzinie drugiej. Mienia się kolory, natomiast — myślę — mało zmieniają się ceny tych wytworności. Ktoś musi płacić za fason żakietów, sukni i modelowanie kształtów. Aż tu... grdyka podskoczyła mi do gardła i powoli pofolgowała; grdyka moich wielu doświadczeń. Na scenie zjawiała się ona... Wyprostowana i giętka. W żakiecie z angielskiej dzianiny, zauważy-

41

ji Jt

łem taką na wystawach. Uśmiecha się, kryguje. Kogo zamawia? Mówię bez słów: — Coś ty zrobiła, Jadwigo? Na długo? Nie wierzę, że na długo. W każdym razie nie tak krótko, żebym Cię mógł zabrać w drogę powrotną, jutro lub nawet za tydzień. Ja znam te twoje odpływy i przypyły. Spotkamy się za jakiś czas. Może tu, a może w Bratysławie, a może w Warnie? Na pewno. Jeszcześmy nie popełnili wszystkich grzechów. Musimy je poznać, żeby je popełnić.

Jadwiga zademonstrowała nową odmianę uśmiechu i spojrzenia na tle nowego stroju. Złośliwcy twierdzą, że wraz z tym odruchem kobiety zmieniają także duszę. Kto to napisał?

— To na piątą godzinę — mówi konferansjer z malowanego programu, elegancki i świecący, i patrzy na zegarek.

— Na pewno — odpowiada Jadwiga, zbyt pośpiesznie, jak zawsze, gdy nawiązywała lub rozwiązywała swoje sympatie. — Na pewno.

Konferansjer odwrócił się do publiczności i ogłosił bez cienia drwiny, że oto zobaczyliśmy w nowych strojach żony skromnie zarabiających urzędników. Oto oni... Usunął się w fałdy kurtyny. Przez scenę — jeden za drugim — w posepnym milczeniu przemaszerowali mężczyźni w więziennych strojach. Twarze mieli jak blacha statku w czasie korozji. Sala klaskała obficie, ja wyszedłem czym prędzej, żeby nie spotkać się z Jadwigą.

...Dochodziły wieści, że pracuje w którymś z teatrów bratysławskich. Pojechałem. Owszem, ostatnio pracowała w Statne Zajazdove Divadlo. Zmieniała kontrakty. A właściwie nie zależało to od niej, od Jadwigi, zależało czy chciało jej się pracować systematycznie czy też zniknąć bez zwolnienia na kilka a nawet kilka-

42

naście dni, czy w końcu chciało jej się zatelefonować do znajomych, że jest tu i tu... Przeważnie wśród wi-nogradników na przedmieściach — potomków husy-tów. Przyjaciele odnajdywali ją

zmiętoszoną i przepiętą. Kobiety nie przejmowały się jej losem, kobiety nie lubią powodzenia koleżanek, nie mają także dobrej opinii

0 koleżance, która nie jest tak ubrana jak modna lalka na wystawie lub w żurnalu, lecz inaczej niż inne. Jadwiga właśnie swobodnym dobozem strojów wysuwała się na pierwszy widok i budziła zazdrość.

Bywało, że dwa i trzy miesiące była bez pracy. Wreszcie u któregoś z dyrektorów brał górę podziw dla jej talentów artystycznych nad obawami. Tym razem już dorobiła się wilczego biletu, wyjechała. Dokąd?

...Pognałem do Koszyc. Od razu odpowiem dlaczego akurat tam. Do Cyganów. Tu jeszcze dzielnica cygańska tętniła życiem. Jeszcze żyła gwałtownymi odpływami i przyływami śniadych ludzi — rój, kłębowisko ni to na ziemi, ni to pod niebem. Wpadłem ze świstem

1 gwałtownie zahamowałem, ponieważ ukazał mi się widok jakby zamówiony dla użytku historii, żeby ocalić coś masowego z niedalekiej przeszłości. Kłębowisko dzieci... Oberwanych dzieci, które napastowały siebie w nauce zebrania. Dzieci liczne jak borówki w lesie. Naskakiwały na siebie odpowiednio znając podział swoich ról.

— Panie... daj na chleb... panie... parę groszy... życie uratujesz...

— A na co ty chcesz?

— Panie, życie ratujesz.. — dorzucił drugi umorusany szkrab.

•— Pytam, na co chcesz.

— Panie... daj i rozkosz cię nie minie... Żeby nie umrzeć... Żeby świat miał prawdziwych Cyganów... Że-

43

by ludzie jak ptaki fruwali.... Żeby mieli czas kochać... żeby...

Na pewno nieważne tu były słowa, nauka koncentrowała się na rzeźbie słów i gestu, na tonacji wyrazu twarzy. Żeby ludzie jak ptaki fruwali... żeby kochać mieli czas. Boże, bogowie! Głos rozpyłał się nieukojoną tęsknotą. Ciągnął mnie magnes wyobraźni i instynktu. Chyliłem głowę, cały tułów, przylegałem do siedzenia, żeby uwagi dziecięcej bandy nie odwrócić od nauki i rzeczywistej tęsknoty. Równocześnie pragnąłem widzieć naocznie owe młode tęsknoty, sztukę ratowania przeszłości, w imię której tylu ludzi buntuje się. Wyjrzałem dyskretnie i oto zatchnęło mnie. Bez przesady. Najpierw z racji niecodziennego widoku — wśród dzieciarni, jak w procesji poruszała się majestatycznie dzie-, wczyna płonąca rozlicznymi kolorami — czerwonym, żółtym, zielonym, borówkowym, wszystkie na groteskowej piźniamie. Z łóżka powstałaś, do łóżka powrócisz... Uczyła sztuki zebrania i nagradzała. Krucha w ruchach... Oczyszcza wilczych jagód. Na jedną rączkę rzuciła monetę dwudziestohalerzową, na drugą pięćdzie-siąthalerzową, postępowała jak jednoosobowe jury nagród pochwalające dobre wyniki. Wśród nor, z których wyglądała brudna pościel jak wiechcie z butów. To ona...

Serce skoczyło mi do gardła jak zaba, a potem doświadczone opadło. Uspokoilem się, będę już zawsze spokojny o Jadwigę. Nie narzucałem się, była obrócona do mnie plecami. Ale zawsze czuła zbliżanie się mężczyzny jak wyjący pies — pożar. Odwróciła się gwałtownie, popatrzyła i majestatycznie podeszła do wozu, żeby powiedzieć:

— A więc krzyżyk ze mną. Już nie będziesz zazdrosny.

J

44

Pomyślałem naiwnie, że uhonorowała mnie specjalnie.

Kazała jednak powrócić do naszej historii od początku. Zaraz dodała: — Każdemu to mówię, kto mnie szuka. Wszystkich zaproszę na mój ślub. Chciałabym, żebyś mieszkał w hotelu „Carlton”.

Przyjdę po ciebie.

'45

^g^^^^J&i 1 ^^^^HB|^raL^Hfl^Hj^^HH|^jH^

Mahmud

Mahmud?

Na drugi dzień, już po wyjściu z Antwerpii, Kapitan określił nowego pasażera z techniczną,

niełaskawą precyzją:

— To może jest Indonezyjczyk, ale jakiś niedorobiony. Mahmud. W poprzednim rejsie wiozłem także Indonezyjczyka, to był prawdziwy człowiek, rozumiał świat. Nie chwalił się, że ma wyższe, europejskie wykształcenie, natomiast żył... — Kapitan o łysej głowie i kościstej chudej twarzy, nie w uciechach formowanej, szukał odpowiedniego wyrażenia w swoim skarbczyku słownictwa — żył na poziomie. Laliśmy wino, to on sam pytał czy to sok... Pachniało mu sokiem. Niechże będzie sok, a nie wino. Steward podał mu kotlet ładnie przysmażony na maśle, ten powąchał, podziękował uśmiechem, dobra kura, powiedział. Widzicie, panowie, jaka różnica. Niebo i ziemia! —

Ascetyczny Kapitan zaniósł się zachwytem, jak swawolny bibosz — patrzcie, patrzcie. I jeszcze dodał tonem człowieka protestującego przeciw gwałtom na własnej naturze. — To się dopiero zaczęło, zobaczycie dalej. Każdy dostanie krzyż Pański... odcierpi kawałek piekła tu na ziemi.

— Amen — zakończył Inżynier prześmiejem, zapalając papierosa, ale nie trafił w ton Kapitana, który i tym razem w nowej swojej kreacji nie żartował i nie chciał, żeby jego spostrzeżenia traktowano lekko. Otarł serwetką usta, łypnął na stolik Inżyniera i Starszego Oficera, usadowiony bliżej salonu, przy drzwiach, pokręcił nosem.

— U nas się przyjęło, że nie pali się w messie. Inżynier zgniótł nerwowo papierosa. Był chłopięciem

śniadym, przystojnym, z białostockich piasków, zawodu i tytułu dorobił się prawie samodzielnie, nie lubił patronów i pouczeń, ale wrodzona delikatność często na zewnątrz zastępowała mu subordynację. Dopiero po chwili zauważył, czerwieniąc się:

;— A na co są popielniczki? — mruknął, jakby nie do Kapitana. Stary połapał się, próbował prowadzić rozmowę w koleżeńskiej atmosferze, nie odstępując jednak od swojego „ja”.

— Mało panu tego, coś pan nabroił z naszym pupilkiem? Z Mahmudem.

Inżynier milczał, nie przyznał Kapitanowi racji, ale widać, że był zadowolony ze swojego czynu, który mu się zdarzył. Idąc do salonu mrugał do mnie i Tadka. Razem odbywaliśmy podróż tym dziesięcioletnim-kiem naokoło świata, w roku sześćdziesiątym. Poszliśmy za Inżynierem na papierosa i w obłoczkach dymu, spelzających w stronę baru, rozpamiętywaliśmy co dopiero przebytą awanturę z indonezyjskim pasażerem.

Płynęliśmy przez La Manche, kołysało, fale wzbijały się do naszego piętra, oblewały szyby, jednak to nie przeszkadzało widzieć białe skały Dover, które przemycają myśli o kombinacji siły, legendy i duchów. Na tym tle pojawił się nasz Indonezyjczyk, nie wiadomo po co, akurat z tej strony, przecież mieszkał z przeciwnej, niebo jeszcze bardziej pociemniało, Indonezyjczykowi wypełniło wiatrówkę jak balon, pochylił się, spojrzął ku nam ciekawy obcych mężczyzn i zaraz czmychnął przegoniony przez pierwszy grad.

— Płanetnik — zaśmiałem się i poczułem wzbierającą sympatię, a może tylko człowieczą litość dla tego Mahmuda (przyjęło się to przezwisko), który cierpiał... cierpiał na rozstanie tam w Antwerpii, ciągle zanurzony w łzawe uśmiechy pięknej swej siostry, żegnającej go na przystani. I zanurzony w łagodne, jesienne słońce. Szwagier nowego pasażera, modnie ubrany, trochę kuso, ale w cylindrze, podobno dyplomata, konferował z Ochmistrem przy trapie. Raz po raz spoglądał w stronę brata i siostry wzruszających się własną miłością. Mam wrażenie, że Ochmistra bardziej interesowała owa kobieta w płaszczu haftowanym złotą nicią, z czarnymi włosami przylegającymi ściśle do czaszki niby lśniące skrzydła kruka.

Bomby obróciły się z rozmachem, uderzono w klang, zacharczało w kluzach po obu stronach burt, w głębi wody poruszył się piach rozrywany łapą kotwicy. Marynarz zwany Ganiastym szykując się przed innymi do kręcenia żurawikiem, krzyczał na Trzeciego, żeby jeszcze raz uderzył w klang, a kiedy to nie pomogło, zamachnął się, trap drgnął nad brudną wodą i dopiero wtedy facet wyglądający na dyplomata rozłączył parę rodzeństwa i wpędził szwagra na pokład. Nowy pasażer w brązowym lekkim płaszczu i kapeluszu takiegoż koloru — widać strój dobierał — stał na pokładzie i kiwał na przemian, obu dłońmi, gdy holownik targał statkiem z takim zapamiętaniem, jakby rzeczywiście jego zamiarem było dokuczać. Indonezyjczyk cierpiał, jego siostra ocierała łyzy barwną chusteczką.

Taki mi się wyryśował obraz pożegnania już z wypustką wyrozumiałości i sympatii dla Indonezyjczyka. Łzawy on i bojaźliwy. Osiem lat nie był w ojczyźnie, osiem lat nie widział mamy i taty, a mimo to uciekał na obczyznę. Było to tym dziwniejsze, że Indonezyjczyk każdą tkanką zdawał się być powiązany ze swoją

48

ziemią i jej tradycjami, których żadne oddalenie nie przekreśli. Które nie są dla oka, lecz dla serca. Ochmistrz wyznaczył mu miejsce obok mnie i Tacka, stoliki w zasadzie były czteroosobowe. Przy tym pierwszym obiedzie prezentował się mniej elegancko niż w Antwerpii, miał na sobie szarą koszulę i spodnie jakieś brezentowe. Grube, sinawe usta, wypukłe policzki, ulepione jakby z lessu, i małe oczy potęgowały wrażenie szarości. Spytał, czy rozmawiamy po angielsku. Tadek zrobił głęboki oddech, Mahmud patrzył podejrzliwie na mnie. Kiedy przytwierdziliśmy, powiedział, że on skończył wyższe studia filozoficzne w Szwajcarii i historyczne w Gandawie i chętnie będzie prowadził z nami rozmowy na wyższym poziomie bez ubliżających człowiekowi przesądów nowoczesności, (Tak, nowoczesność). Powiedział jeszcze, że tylko historia może stworzyć nowoczesność, to znaczy doświadczenie — wbrew niewolniczym snobizmom, które są zbiorem kompleksów niższości. Proszę bardzo. Któż nie chciałby być tylko samym sobą, a nie zwykłą pospółą mieszaną przez całe otoczenie — może ojca i mamy... Faktu, że obwąchał mięso i poprosił o inne, wołowe, jeszcze nie uznaliśmy za zaprzeczenie jego pysznych zapowiedzi. Tylko Steward... Popatrzył uważnie na Mahmuda, później po wszystkich nas, jakby szukał świadków swej niewinności, wziął talerz i przełożył w pentrze to samo mięso, zresztą wołowe, na drugi talerz i danie przykrył jarzynami. Indonezyjczyk podziękował brylantowym uśmiechem i złożeniem dłoni, jakby Steward uratował go rzeczywiście przed wiecznym potępieniem. Teraz Indonezyjczyk poszedł do swojej kabiny i stamtąd przy włókł dwa słoje — jeden olbrzymi, drugi wielkości normalnego weka — przez szkło przebijała czarno-krwawa zgranu-lowana masa i zielonoszare kluski. Zagłębił w to łyżkę, wyrzucił kupkę miazgi na mięso; zaśmierdziało. Z weka

4 — Dziewczyny i chłopcy

49

Wyciągnął jedną kluskę, która zdawała się ruszać jak dżdżownica. Wetchnąłern piekielny żar pieprzu, zaraj-bowało w gardle. Pragnął i nas uraczyć tymi przyprawami, już się zamachnął łyżką, ledwie uratowaliśmy się przed jego uczynnością. Jego oczy mówiły, że dużo tracimy. Skończyliśmy obiad szybko, niepewni, czy wytrzymamy do końca. Z powodu tych zapachów. Mahmud odprowadził nas wzrokiem pełnym pretensji, wszak uciekaliśmy mu od rozmowy. Musieliśmy jednak „wytrzeźwieć”.

Kulinarne mikstury ustawił Steward w pentrze między garnuszkami Inżyniera, który często przenosił pracę w maszynowni nad regularne posiłki. W tym dniu także spóźnił się na obiad, a świadom swoich przekonań, nie obciążał Stewarda powtórным zastawianiem stołu i w pentrze po prostu zjadał, co mu wpadło pod rękę. W tym dniu zakichał potężnie, zaszarpało między pokładem przy drugim kichnięciu. Zanim zaczął jeść, już odłożył widelec.

— Co tu u pana tak śmierdzi, panie Steward?

— Nie widzi pan? — Steward, pan pod sześćdziesiątkę, nienagannie czysty, z muszką u białej koszuli, powolny dla zasady, której na imię ostrożność i grzeczność nawet na przekór grubiańskości.

— Właśnie widzę. Po co komu potrzebne takie świństwo?!

— To indonezyjski przysmak.

— Dość się na to napatrzymy w Dżakarcie. Proszę to natychmiast wyrzucić.

Steward widocznie uczynił ruch wzbraniający się, żeby dać wyraz rozterce. Inżynier zagroził, że sprowadzi komisję sanitarną. Wtedy Steward udał przerażenie. Zapytał:

— Na pana rozkaz wyrzucam, tak?,

— Na mój rozkaz.

Steward ledwie ukrył radość, ale gorliwość, z jaką porwał mikstury z półki i wyrzucił je za burtę jeszcze przy brzegach Belgii, miała świadczyć tylko o bezwzględnym posłuszeństwie wobec rozkazów. Nazajutrz przy śniadaniu Indonezyjczyk nie zabierał się długo do swojej porcji sera i

dżemu. Na nasze zachęty dziękował uśmiechem i składał ręce na piersiach, potem mówił, że jeszcze chwileczkę poczeka, mówił jakoś w przestrzeń, bezosobowo, potem wprost zaglądał do Stewarda, coraz częściej go nagabywał, blady, źrenice rozszerzały mu się napastliwie. Ale Steward był zaafekowany Kapitanem, któremu coś nie pasowało przy sterze, i wpadł do messy jak po ogień.

— Spieszę się! Co tam pan ma?

— Jajka... — odpowiedział po namyśle Steward.

— Na miękko czy...

— Może być jajecznicą — Steward dziwnie manewrował, jeszcze nie wiedzieliśmy dlaczego.

— Daj pan na miękko.

Steward po chwili wniósł jajecznicę, Kapitan niecierpliwił się, pieklił, nic więc dziwnego, że alarmujące gesty Mahmuda nie zostały dostrzeżone. A może zostały zlekceważone? Dopiero przy obiedzie doszedł do głosu i niestety do feralnej dla siebie prawdy. Mówił do Stewarda, żeby mu przyniósł zaprawę. Za pierwszym razem Steward miał prawo zachować się tak jak człowiek, który nie rozumie po angielsku. Przy drugim monicie zawiesił spojrzenie na niepokalanie białej bluzie, śledząc rozpryski śliny wystrzeliwane ustami Indonezyjczyka, pomieszanej z sosem, i odsunął się z wyraźnym prze-irachem w oczach. Jednak kolorowy pasażer nie dał ię wziąć na uniki. Nie jadł drugiego dania — dominowała kurza pierś — i po raz dziesiąty atakował. Atak wyrażał się nawet w nieklamany obrzydzeniu, gdy

widelcem obracał nagą pieczeń kurzą. Steward z głupia frant zwrócił się do nas o pośrednictwo, my już przewidywaliśmy, co się święci, i milczeliśmy. Indonezyjczyk zaapelował do Kapitana.

Pierwszy po Bogu zdumiał się, że do niego zwracają się w byle sprawie; tego brakowało! Stuknął nogą w podłogę, co było równoznaczne z poddaniem się życzeniom pasażera. Dopiero po chwili syknął:

— Nie rozumiesz pan tych paru słów po angielsku? Przynieś pan szybko zaprawę, bo popluje nas wszystkich.

Na stole pojawił się cały zestaw zapraw, prawdziwa bateria. Pieprz reprezentował najłagodniejszy odcień możliwości kolonialnych używek. Ach, mieć to do tataru w kraju, o wódkę nie byłoby trudno. Ale Indonezyjczyk podniósł się wzgardliwie i kazał to zabrać.

— Moje dać — powiedział.

Steward trzymał się starej taktyki — nie rozumiał, wzruszał ramionami, ale kiedy Indonezyjczyk znów zwrócił się z interpelacją do Kapitana, pomaszerował do pentry, słychać było stamtąd rzegotanie talerzy, szklanek, łyżek. Po chwili ukazał się w drzwiach i z tej bezpiecznej odległości oznajmił:

— Nie ma.

Można sobie wyobrazić, co się stało ze zgłodniałymi oczami Mahmuda. Łkały i piorunowały. Dopiero po minucie z jego śmiertelnie rozbolelej krtani popłynął głos:

— Gdzie... gdzie...?!

— Wyrzuciłem.

— Co powiedział? — Indonezyjczyk błagał Kapitana, który tym razem z wielkim frasunkiem komentował.

— Żeby tylko nie było na mnie, że ja kazałem wyrzucić. Ostatecznie odpowiadam za samopoczucie pasażerów? Za to mi płacą. W dewizach. Co panu przyszło do głowy?!

52

tHHgh m

Steward stał nieporuszony i milczał, może czasem zerknął na Inżyniera, który akurat dziś zdążył na obiad. Ale tenże białostocki chłopak załatwił się do końca z kurzym udkiem i dopiero wtedy wyznał, że on kazał wyrzucić owo śmierdziastwo.

Kapitanem szarpnęło, skrzywiło mu szczękę:

— Dlaczego? Co panu przeszkadzało? Przecież nie pan to musiał jeść. — Nie tał irytacji, jakby i ten zabieg w pentrze powinien odbyć się za jego wiedzą, ale już zreflektował się, przybrał ton tolerancji, w stosunkach z Inżynierem gładził kanty.

— Ktoś przecież musiał kazać wyrzucić — oświadczył Inżynier spokojnie i jakby z wyrzutem.

Kapitan nie darował tego i przy sposobności odplacił uwagą  
o papierosach.

A tymczasem Mahmud szalał. Nie wierzył, że ktoś był zdolny popełnić tego rodzaju bezceństwo, graniczące ze świętokradztwem. Pobiegł do pentry, niuchał, wrócił jeszcze bardziej rozbolewały, żądał od Kapitana, żeby mu wyjaśnił, co on teraz będzie jadł. To, co zostało wyrzucone, stanowiło religijny dodatek do potraw chrześcijańskich, poza tym miało wartość niejako dezynfekcyjną. Jego siostra, która także posiadała wyższe wykształcenie, wpakowała w większe szklane naczynie czystą, surową koninę porzniętą w maszynce

i zakropioną żywą krwią barana. To zostało pomieszczone z kilku garściami pieprzu. Powinno starczyć na cały miesiąc, dopóki nie dojedzie do Dżakarty. Straty nie da się odrobić. Umrze z głodu. Musi natychmiast telefonować do siostry, co ma robić.

Ponieważ jednak spotkał się raczej ze współczuciem i zawstydzeniem, przeto wybiegł z głową wciśniętą w ramiona, zniknął w swojej kabinie i stamtąd raz po raz słał sygnały dzwonkiem do pentry — że jest głodny. Słyszeliśmy z salonu alarmy i bieganinę, Steward  
-JUM1

i jego pomocnik czuwali na przemian. A w końcu zobaczyliśmy Mahmuda przy burcie. Może zamierzał popełnić samobójstwo w zimnych falach wzburzonego morza, naprzeciw skał Dover, ale przeszkodziła mu w tym nasza obecność za szybami i pierwszy jesienny grad?

Takie były pierwsze kontakty z Mahmudem. Tak, trochę z niego pokpiwaliśmy, skorzy do szukania rozrywki kosztem byle nadarzającej się okazji. Każdy słaby punkt był dobry do szarży, dzień na morzu musi być wykorzystany do działania, choćby to była tylko namiastka działania, na marzenia i kontemplację wystarczy długa, bo samotna noc. Ale szybko zorientowaliśmy się, że zwycięstwa nad Mahmudem nie dają zadowolenia, rzeczywiście: jakiś niedorobiony, zgodnie z plastycznym ludowym określeniem Kapitana, dziecka ludu zagłębia górniczego. Ale to niedorobienie miało charakter przykrego wyobcowania i pogłębiającej się samotności zdążającej ku samozatraceniu. Staraliśmy się ustrzec go przed dalszymi przykrościami. Na każdą potrawę sypał pieprz i paprykę centymetrowej grubości, zdawało się, że w końcu zapomniał o ekstra przyprawach zrobionych przez piękną siostrę. Ale nie zawsze udawało się ochronić go przed nieprzyjemnościami, mimo teoretycznej neutralności Kapitana. Twierdził on mianowicie, że żaden nieszczęśliwiec z tego Indonezyjczyka, tylko zwykły nabieracz, mahmud. Przyjmuje takie pozy, jakie mu wygodne. — Tylko popatrzcie na facjatę.

To prawda, Mahmud otrzymał chyba od samego Boga zdolności zrażania sobie ludzi. Śmigły pomocnik hotelarski przyzwyczał się do tego, że przez parę dni witał go wywieszony język Indonezyjczyka w jego kabinie — biegł więc od razu do „lekarza” po termometr, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego facet tyle żre na noc,;

54

a później bolą go brzuch i głowa, akurat nad ranem, i trzeba koniecznie szukać lodu na okłady. Inaczej umrze — tak grozi pasażer.

— Trzeba może delikatniej jeść — zwróciliśmy mu uwagę. Na to on zacisnął małą dłoń i pokazał, jak ma ściśnięty żołądek. Właśnie z powodu złego odżywiania i jazdy. Będzie telefonował do siostry, żeby przysłała do Port Said telegraficznie lekarskie świadectwo nakazujące dalszą podróż samolotem. Kiedy na Biskaju statek pruł fale lekko przechylony, Mahmud dzwonił po Ochmistra, który zgłosił się niebawem, żeby usłyszeć prośbę o telefon do siostry w Brukseli. Maszty dotykały chmur, Ochmistrz pokazał na tę przeszkodę w łączeniu się ze światem. Akurat statek wziął na łeb fale, zakolebał się, coś jęknęło, Indonezyjczyk pytał, czy to coś poważnego — nie, nie, to tylko radiostacja pękła. I my pękaliśmy z podziwu dla sprytu flakowatego Ochmistra. Koło brzegów Hiszpanii z pustynnymi skałami, gdzieś tylko z prześwitem zieleni, natomiast z miękkim słońcem wyłożonym jak na patelnię, Mahmud otrząsnął się z trwogi przed rzeczami ostatecznymi, i żądał od Ochmistra pożyczania dwudziestu dolarów potrzebnych na taksówkę z

Port Said do Kairu, skąd zatelefonuje do Dżakarty w bardzo ważnej sprawie. I tu nagle wykazał się pewnymi zdolnościami filozoficznymi.

— Nie mam dolarów... Nawet na ważną sprawę nie mam — tłumaczył Ochmistrz stojąc przy drzwiach kabiny i wzbraniając się przed poczęstunkiem w postaci soków.

, — Ważna sprawa, sprawa istnienia, rozumie pan — nalegał Mahmud.

— No to co ja mogę zrobić? — Po czym Ochmistrz mruknął po polsku: — Mógłbym rozpruć brzuch i dać ci część bebechów.

55

"&\*mmm

i

•MAM^k^l^ Isfnlflissm. -

— Pan się nie przejął moją sprawą i dlatego...

— Nie mam dolarów. A gdybym miał, to kto mi je zwróci?

— O, spokojna głowa. Tylu zwróci, ilu wierzy w Allacha — powiedział butnie i zagadkowo śniady pasażer.

— Nie za dużo tego?

I tu Mahmud wystrzelił ze stwierdzeniem, że siadać i myśleć. Co powiedział?

— Pan myśli, że marzenie? Marzenie u wyznawców Mahometa jest też spełnieniem nie dziś, to jutro...

— Za gadanie nic nie kupi — odpalił Ochmistrz, ale dopiero za drzwiami. Uciekł, bo czuł, że zostanie wciągnięty do jakiejś metafizycznej, ba, wojowniczej sekty. Był zaś przekonany laickich i pacyfistą, chociaż nie zawsze udawało mu się to w praktyce.

W ucieczce natknął się na nastroszonego Kapitana, nie spotkał się ze sprawiedliwością, tylko z naigrywaniem:

— Cackacie się z nim i tyle. Chory? Ja bym go przegonił na gimnastykę! Własnej żonie to też mówię. Już Hotelarski się skarżył, że Mahmud przewraca się do góry dupą, jęczy i -chce, żeby go masować. Dupodaj jakiś i tyle, pfu! Przyślijcie go do mnie, jak se nie możecie dać rady. Pan się nie nadaje.

Ochmistrz przełknął pigułkę z grymasem na twarzy, oczekiwał odsieczy, machnął ręką — koła go myśl o spokoju. Nie wiem, czy cieszył się tą nadzieją choćby przez dwie godziny. Po obiedzie — który to czas aż do podwieczorku przeważnie poświęcaliśmy na sjęstę — zaszedłem do Ochmistrza, żeby wziąć trochę papierosów, akurat mi brakło. A tam już siedział nasz Mahmud i beznamietnie, z dłońmi bezwolnie złożonymi na brzuchu, wydmuchiwał i wystękiwał swoje tyrady. Tak, tyrady, z ust ciągnęła mu się jakby taśma z węzłkami

56

monotonnych słów. Ochmistrz siedział przy małym biurku, na którym było rozrzuconych kilka nie zapisanych pocztówek, i ocierał chusteczką pot z czoła.

— Zdaje mi się, że ja tego nigdy nie skończę. Zwariuję — poskarżył się Ochmistrz. — Nie dał minutki odpocząć.

Wiedzieliśmy, że Ochmistrz lubi poleżeć trochę z ramionami złożonymi „na chrabąszczyka”. To kpiarskie określenie pochodziło od marchewkowatego Elektryka.

— W Antwerpii — ciągnął Ochmistrz — już mi siedział na karku, nie zdążyłem żonie wysłać pozdrowień. A teraz dobrał się z dopytywaniem, co mówił ze mną jego szwagier. To podobno ichni ambasador. Ładna familia. Odsyłam go do Kapitana, a ten, że Kapitan nie chce. Nie nadaje się do drobnych spraw. A ja się nadaję? — Złapał się za głowę, bez przesady znękany, rozżalił się i wzruszył swoimi tarapatami. Przypomniał sobie nie w porę niesprawiedliwość, jaka spotkała go w wojsku, a charakteryzująca sytuacje powtarzające się w życiu: wsadzili go na karuzelę i kręcą... — Jeszcze ci nie opowiadałem. W czterdziestym szóstym stawał mój rocznik poborowy. Odbierała mnie taka starsza lekarka, widać człowiek na miejscu. „Wy się, obywatelu, nie nadajecie do niczego. Macie zwolnienie z wojska na zawsze”. A za głupie dziesięć lat znów mnie wzywają; bada mnie ta sama baba, tylko już zrobiła się z niej stara prukwa, nie na miejscu, powinna iść dawno na grzybki; mówi, że pójdę do wojska, szlus, nie ma gadania. Ja próbuję na zdrowy rozsądek — jak to

jest. A major na to: „To przebrzmiała piosenka, dziś nadajecie się do wszystkiego. Potrzebujemy do saperów. Nie chcecie? No to będziecie grzebać się po pas w błocie. Więc lepiej po dobru — obrona przeciwlotnicza, będziecie tam takimi kółkami obracać”.

Mahmud bacznie przyglądał się nam obu, pragnąc

wyczuć o czym mówimy. Ochmistrz zastosował obstrukcję w stosunku do gościa i petenta.

Oderwać się od nieprzyjaciela puszczając mu w nos dym i — nie pozwalając mu dojść do głosu. A może rzeczywiście pragnął wyładować przed kimś swoje kłopoty, skoro już otworzył zbiornik żalów. Chyba jedno i drugie. Więc opowiadał

o tym jak go niesłusznie obarczono karą za coś tam, zdjęto z funkcji Ochmistrza, pozbawiono honoru, bo ma smole w rękach i sercu, i zaraz wezwano go do PLO

1 kazano jechać drugim statkiem, ponieważ można polegać tylko na jego czystych rękach i sercu głęboko czułym dla marynarzy. I tak dalej, i tak dalej. No i jak prostemu człowiekowi się wyznać w arkanach sprawowania władzy i wymierzania sprawiedliwości? W końcu już — wiedziałem — Ochmistrz wynajdował historyjki na siłę, język mu kołowaciał, przeciągnęło się do podwieczorku, rozległ się dzwonek, byliśmy przy przyładku Ciepłych Gaci, niedługo będą Słupy Herkulesa — jednak nie zmógł Mahmuda. Ba, Mahmud zaczął podejrzewać, że gospodarz zwierza mi tajemnice, które zataił przed nim. Chodziło ciągle o ową rozmowę szwagra Mahmuda z Ochmistrem przy trapie w Antwerpii. Dystyngowany szwagier muskał wąsiki i słońcu także poddawał do muskania swoją ozdobę, to znów przypominał sobie, z jakiej przyczyny znalazł się tu i wprost kładł się na Ochmistru w prośalnym akcie, żeby Mahmu-dem opiekować się po ojcowsku, bo on nerwowy, jakiś nie bardzo... nie bardzo... Słowem: dowieź go całego do ojczyzny.

— Co mówił szwagier? — jeszcze raz upomniał się Mahmud.

— To, co już mówiłem.

— On się chciał mnie pozbyć z Brukseli — oświadczył Mahmud głosem o ton wyższym, podenerwowany tym, że sami nie przejrzelśmy chytrej gry. A może

58

rzeczywiście dobrze wnioskował? Dlaczego jego siostra tak płakała? Sine łzy spełzały z jej czarnych oczu. — Chciał się mnie pozbyć! Ja nie chciałem jechać, mogłem pracować w ambasadzie albo wrócić do Szwajcarii i szukać zajęcia na uniwersytecie. — Wyciągnął rękę błagalnie do Ochmistrza: — Niech pan powie, co on mówił? Że przeszkadzałem mu? W czym? Że siostra mnie bardziej lubiła od niego? Że mnie masaż robiła, a do niego posyłała najemną? Tylko dla zatarcia śladów twierdziła, że chodzi jej o oszczędność na masażystce. Czy ja jestem winien, że mogłem z siostrą prowadzić rozmowy na wyższym poziomie i malować przed nią naszą ojczyznę taką, jaka powinna być, a nie jest? Że mogłem ją przekonać o przywiązaniu mężczyzny do kobiety, jako do człowieka. Natomiast szwagier wprost wypychał się ze swoją samczością. — Wyraźnie się zacierzawił. — Szwagier potrafił wszystko zmieścić w oficjalnych szablonach i planach finansowych, bez romantyzmu, bez ognia świętej religii, i dlatego przegrywał w oczach siostry i zazdrościł mi. Czyż nie o tym mówił?

Ochmistrz patrzył na mnie wzrokiem, który kazał mi z kolei patrzeć na Mahmuda (tym razem we wzorzystej popelinowej koszuli i cienkim wełnianym sweterku — stroje zmieniał częściej niż panna) jak na pomyłonego. Był zirytowany i ledwie powstrzymywał się od nakreślenia palcem kółka na czole.

— Nie — zaprzeczył w języku angielskim, powoli dobierając słowa. — Pański szwagier tylko prosił mnie, żebym się panem opiekował jak dzieckiem. A pan zachowuje się gorzej niż dziecko. I więcej kłopotów niż z dzieckiem. — Ochmistrz nabrał kolorów, wstał weń wigor; patrzcie: odetchnął z ulgą, sapnął zwycięsko, przekonany, że raz na zawsze odepchnął od siebie zmore nieuzasadnionych interwencji, pretensji, próśb. Oczekiwał odejścia Mahmuda, gotów ponieść konsekw-

59

ncje ewentualnych skarg a potem sarkania Kapitana za to, że nie dba o pasażerów dewizowych. Próżne jednak nadzieje i bohaterstwo. Mahmud zachował niezmacony spokój, owszem potwierdził głową, zrozumiał słowa Ochmistrza... i zaczął od nowa swoje dopytywania. Chyba podejrzenia

umotywowane czymś, czego nie znaleźliśmy, a kładliśmy tylko na karb nienormalności faceta, górowały nad rozsądkiem; choremu brakowało słońca i powietrza. Mahmud liczył na dobre wychowanie rozmówcy i zawiódł się. Ochmistrz nie wytrzymał, popatrzył na zegarek i poderwał się.

— No, już po podwieczorku, czysty zysk... — Nie patrząc na Mahmuda ani uciszając jego wykładu, sięgnął ręką do etażerki i ze stosu płyt wygrzebał jedną. — Chodźmy do salonu posłuchać, kupiłem w Rotterdamie. — Cofnął się o krok i otworzył lodówkę, wyjął butelkę eksportowej. — Wypijemy po jednym. Należy mi się na nerwy.

— Do salonu z tym?

— Do baru. Do czegoż służy bar?

Dopiero teraz Mahmud zdecydował się wstać z wyrazem zdumienia i zawstydzenia na śniadej i okrągłej twarzy. Byłem pewny, że wstydzi się jednak za nas, a nie za siebie, i powiedziałem:

— Niech idzie z nami.

— Będziesz go bawił?!

— Mieliśmy go strzec przed przykrościami — odparłem.

— Może i ugłaskać?

— Może.

— No to bierz go, edukuj... Pomasuj... No? Może i w tobie odezwie się jakieś wyższe powołanie.

W salonie już gospodarowała duża grupa podoficerów marynarki, których — że tak powiem — łączyła wspólna messa podoficerska. Podciągali się na wyższy poziom

60

na wszelki sposób, zachwyty nad zagranicznymi nagraniami stanowiły dość łatwy, ale i widoczny szczebel do awansu umysłowego. Każdy z własną płytą pchał się do radioaparatu. Jeśli któryś spotkał się z oporem ukochanej melodii z okrutną siłą wykonywał ruch w kierunku swojej piersi, wyrażając tym: „Biorę to na siebie, nie potrzebuję poparcia”. Właśnie krzykliwie i niestojnie zdzierała się płyta na cześć BB.

Usunęli się na widok Ochmistrza, bądź co bądź wypłacał zaliczki i pensje, poza tym mógł czasem udzielić trochę wódki. Elektryk w szarym obcisłym sweterku, kupionym u Moszkowicza w Hamburgu, który miał wszystko najtańsze i najlepsze (choć z przeceny), zatkał uszy przy ostatnim akordzie na cześć BB i orzekł, że coś trzeba przewinać. Nie jestem pewny, czy rzeczywiście nie dostrzegł Ochmistrza.

— Ciebie trzeba przewinać — huknął Ochmistrz, którego bynajmniej jeszcze nie opuściła złość.

— Odwał się, ty...

— Co za ty?...

Wszyscy wiedzieli, że ci dwaj wieczni oponenty rychło się przeproszą, przeto nie próbowali nigdy ich godzić, żeby nie wplątać się w kabałę. Butelka eksportowej zresztą zapowiadała rychlejszą zgodę. Część podoficerów wyszła, część odsunęła się do okien z widokiem na dziób i samoloty w pakach dla Indonezji. Zapadł zmierzch, pięknym manewrem braliśmy Trafalgar. Na masztach błyszczały światła pozycyjne, o parę mil przed nami jarzyła się luna Gibraltaru. Po chwili wahania ktoś przeskoczył z tematu nagrań na wrażenia z Portugalii, którą właśnie minęliśmy.

Wspominam o tym tylko ze względu na niespodziewane skojarzenie, jakie w tej pogwarce ujawnił nasz Mahmud.

— Oni są braćmi Holendrów? — zapytał.

— Niektórzy są dla niektórych kuzynami — oświad-

61

czyłem, gdy Tadek zwrócił się do mnie o rozstrzygnięcie.

— Religijni? — ciągnął Mahmud.

— Jak diabli. Każdy po swojemu. Ale o Matkę Boską się pobijają.

— A z Belgami o tę Matkę się pobijają?

— No, nie wiem... Obowiązuje sąsiedzka uprzejmość. — Szarżowałem zbulwersowany trochę dociekliwością Mahmuda i gatunkiem tego zainteresowania.

Zwiesił głowę, coś kombinował, wahał się przez chwilę, wreszcie zaryzykował twierdzenie:

— Komuniści nie lubią religijnych ludzi?

— Zależy jak gdzie...

— Boję się... — Udawał albo rzeczywiście zadrzał. -r- Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie... — Trudno mu

było to przetłumaczyć. Wreszcie pokazaliśmy na palcach — jeśli się zetknęły — to dobrze, a źle, gdy się rozminęły. Zaprotestował i w końcu jeszcze spytał tonem apelu, jakby od naszej odpowiedzi zależała jakaś jego decyzja:

— Ilu może być komunistów na świecie?

— Kto to porachuje — odparłem z rezerwą.

— A ilu katolików?

Miałem na języku odpowiedź, że świat się nie składa tylko z komunistów i katolików, w każdym razie nie dzieli się tak bezwzględnie — miałem to powiedzieć, podejrzewając Mahmuda o masochizm ideowy i torturowanie się, gdy on zadał drugie pytanie:

— Wy komuniści? — spytał pokazując wzrokiem na Tadeka i na mnie.

Tadek nie był przygotowany na tak ostateczną decyzję.

— Ja tak — powiedziałem.

— Ja bezpartyjny, ale... — zwierzył się Tadek. Popatrzył na Tadeka jakby z pewną nadzieją — tak

62 to rozszyfrowałem po tygodniach — i odszedł z paluszkami w grubych wargach.

Na drugi dzień byliśmy już w śródziemnomorskim sektorze Nelsona, przy kadłubie pojawiły się delfiny, słońce zmagало się w walce o swoją moc, ale pory roku nie przewalczy, wobec czego Kapitanowa, gładka na twarzy, z dobrze wbudowanymi biodrami, próbująca leżakowania na pokładzie szalupowym, ściągnęła sukienkę na białe rozchwiane kolana i przeniosła się na nawietrzną — „choć i twarz osmałem”. Kochana przez wszystkich z jednakowym skutkiem. Powietrze było ozonowe, łyżką jeść. Oparty oburącz o reling zmuszałem siebie: „Wdychaj, wdychaj, za to płacisz, wprawdzie nie dewizami, ale każdy pieniądz jest tyle wart, ile jego posiadacz. No więc wdychaj”. Na południu brązową, szeroką krechę rysowały się brzegi Afryki, już Algeria, w nocy rozproszone ogniska świateł zwiastowały królowanie żółtej pustki wokół. Samoloty z francuskimi znakami na skrzydłach otaczały nasz statek bezwzględnymi zakosami, zniżając się, cholerniki uwadzą o maszty, widziałem głowę lotnika, wychylał się, pstryknął zdjęcie, samolot pomknął do bazy z meldunkiem, ale zastąpił go drugi w tej samej robocie. Niecierpliwa ciekawość pożerała nawet namiętność ozonowania się: przyplynie wojenna motorówka czy nie przyplynie? Rozlegnie się głos Kapitana: „Maszyna stop!” Wejść francuscy oficerowie na pokład i zameldują Kapitanowi:

„Mamy obowiązek przeprowadzić rewizję na pańskim statku”.

„Protestuję kategorycznie. Rząd Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, którego na tym statku jestem suwerennym przedstawicielem, złoży stanowcze demarche w tej sprawie”, —•

'63

„Pańskie prawo. Proszę nie utrudniać nam wypełnienia obowiązków”.

„Czyniąc to, gwałcicie, panowie, prawo międzynarodowe”.

Francuzi będą uprzejmi i nie zrobią takich min, które wskazywałyby, że obejdą się bez pozwolenia. Raczej będą pytać niż grzebać w lukach. Resztę dopowiedzą i wyjawiają ostre reflektory, zawieszane na piersiach. W całości rzecz wyglądałaby w pełni na wyreżyserowaną grę, gdyby nie świadomość sympatii i antypatii do walczącej Algierii. Uśmiechy i przymrużone oczy miały zawsze „znaczenie” tylko honoracyjne, w rzeczywistości zaś spełniały rolę ostrzegawczą. Ale do strzelaniny ani do wojny nie dojdzie. Pragnąłem byle jakiej namiastki, oby tylko z dreszczykiem. Ale los poskąpił nam tego. Samoloty zawróciły bezpowrotnie. Mahmud śledził ruch nad naszym statkiem z jeszcze większą uwagą niż ja. Zdawało mi się, że lekko podnoszą mu się ramiona. W utajonym zewie ratunku? A po całym tym zetchnieniu podszedł do oniemiałego Tadeka rozkładając ręce. Tadek nie wiedział, o co chodzi. — Widzisz — naśmiewałem się — znalazł bratnią duszę. Boi się komunistów i zdaje mu się, że tylko on i ty jesteście tu ludźmi broniącymi się. Widzisz, jak

zrozumiał słowo „bezpartyjny”. — Na potwierdzenie mojej opinii Mahmud całkiem się odwrócił ode mnie, jakbym to ja — ohyda świata — wyzuł go z jakiejś nadziei.

Przyznam się, że od poprzedniego dnia już przestałem być tak całkiem pewny, czy zachowanie się Mahmuda trzeba kłaść na karb jego nienormalności i zachwiania równowagi po rozstaniu z ukochaną siostrą i urzędowym szwagrem. Potem jeszcze pomyślałem, że Mahmud zbyt się streszcza i prezentuje swoje uczucia za bardzo w formie domyślników i dlatego naraża się z ko-64 lei na moje podejrzenia. Więc — jak określał Ochmistrz — starałem się biedną sierotę ugłaskać. Pardon, w sierocych oczach pojawiły się błyski dumy — bogactwa na widok żółtych świateł w Port Said pod milionem gwiazd nocą, które za dnia jakby spłynęły księżycami na sztandary egipskie. Miejscowe władze portowe obsłużyły nas sprawniej niż to zdarzało się statkom przedtem. Kapitan zauważył brak imperialnych gestów i że Egipcjanie ruszają się z pewnym tempem, przekonani o konieczności swoich ruchów. Rzekomo secesja Syrii ze Zjednoczonej Republiki Arabskiej miałyby podzielać na ostudzenie marzeń i zadufania. Tylko musku-

j lamy i smętny Nubijczyk przy trapie, z gumą przy boku i w kusym mundurze, zachowywał podobno niewzruszoną obojętność, on nic nie stracił i nic nie zarobił. Ale Lekarz także nie zmienił stosunku do życia. Jechał motorówką na statek, smukły, ze ślicznie przyczesaną czupryną, żeby stwierdzić — już „stwierdził” a priori! — lekarską legalność wjazdu statku do portu. Nikt nie jest chory na zakaźną chorobę. Z daleka wyciągał ręce — cieszył się, w myślach już obejmując bakszysz w formie kilku pudełek „amerykanów” i butelki eksportowej. Wzruszający przyjaciel. Nie zmienił się także Ali, agent Agenta. Ciągłe szeleścił wargami, jak Żyd przy Talmudzie, żalił się, że jest biednym Ali, który nie umiał czytać ani pisać, spał przykrywając się workiem, lubił Polaków od czasu wojny, byli tu („Bolonia”). Allah jednak użyczył mu trochę urody i męskich zdolności, obdarował żoną, ona go ubrała i wyjednała zarobek, za co zrobił jej dwoje dzieci; chwala Allahowi, nadarzyła mu się druga żona, młodsza, którą musi utrzymywać on. Ali opowiadał o swoim życiu z wiarą w aprobatę jego manipulacji nie zawsze czystych. Dostał polecenie przewozu pasażerów do miasta. — Ali right — powiedział, ale na gest niepewności

5 —: Dziewczyny i chłopcy

65

ze strony Mahmuda, dodał: — Kosztuje dwa dolary. Motorówka kosztuje dwa dolary... Dawać. Podle kantował, ode mnie i od Tadka nie ważył się nic żądać. Na zmieszane spojrzenie Mahmuda, który zresztą nie miał pieniędzy, zareagowałem napaścią na Alego. Może nawet małe świństweczeko niewarte było aż takiego zaangażowania z mojej strony. Prawdopodobnie pragnąłem odwrócić niechęć czy bojaźń Mahmuda i zdobyć go do... diabli wiedzą, w jakim to wszystko celu. Ale któż nie lubi równać frontu do siebie? Frapował mnie wspólny front z Mahmudem. Dlatego ująłem mocno w dłoń brodę Alego i skierowałem jego twarz w stronę szlauchu, którym na pokładzie manipulował dumny marynarz Graniasty. Na ruch mojej ręki ukarałby każdego. — Widzisz, Ali? Ostudzimy twoje złodziejskie zapaly.

Ali skapitulował przy dotknięciu go ręką, Mahmuda pchnąłem do motorówki, mówił z przejęciem:

— I thank, I thank — poddał się mi całkowicie, i ja się poddałem jego niezaradności i znów wróciłem do teorii o porażeniu Mahmuda samotnością i do fobii sieci, w jakiej się rzekomo znalazł. Teoria narzucała obowiązek opieki nad tym więźniem na wolności.

Opiekę musieliśmy przerwać na dwa dni, ponieważ za bramą celną czekał na nas attache handlowy z samochodem. Zmobilizowaliśmy go depeszami via Warszawa.

Uwiozł nas mercedesem w obszary działalności historii. Mogliśmy przeżywać wiele obrazów podanych nam w szkole i młodości przez książki, fotografie starożytnych rzeźb. Egipcjanie byli smukłobiodrzy i napięci jak łuk, a nie sflaczali. Kobietom bogaci mężowie nie kazali pić rano, jak współcześnie, szklanki roztopionego masła, żeby biodra i brzuch obwaliły się tłuszczem,

66

lecz zalecali im sport, żeby dorównały ich sprawności. Być może pomawianie dzisiejszych mieszkańców Egiptu o ciągłość historyczną z podwładnymi faraonów jest tylko uprzejmą brednią. No tak... ale mieliśmy czas, żeby myślami przerzucać się do Port Said i na statek. Czy naszego

pupilka nie pożarł Ali? W nocy w hotelu, którego nazwy nie pamiętam, ale któremu do klasy „Hilton” tak daleko jak księżycowi do słońca, muezzinowy śpiew z głośnika na ulicy długo wyganiał nas z tego przeklętego miejsca do zacisznej, ciepłej kajuty. Po północy okropny ziąb wstrząsnął mną, wraz ze mną poruszył łóżkiem; niewiele pomogła obrona — spodnie, skarpety, czapka, prześcieradło — dalej się trząsałem, szczękałem potężnie zębami, mimo woli obudziłem Tadek. On był trochę mniej wrażliwy na zimno i poradził:

— Pomyśl, co by się tu działo z Mahmudem, a zrobi ci się cieplej.

— Kiedy szkoda by go było.

— Pupilek?

— Pupilek.

— Zobaczmy — orzekł Tadek, pod przekorą nie całkiem ukrył zawiść.

Zmusił mnie, żebym pragnał nad wszystko swojej racji. Do diabła, po co mi był- potrzebny Mahmud? Uspokój się, nigdy nie wiadomo, co się przyda do rachunku. Byle to nie był twój rachunek.

W attachacie dużo poświęcili wódki, wina i herbaty, żeby mnie rozgrzać. Po południu przebijaliśmy się wśród pustyni asfaltową szosą, kawałkami zasypaną piachem. Od czasu do czasu zdarzały się stacje benzynowe podpierane kilku palmami i to na mapie nazywało się oazą. Inaczej wyobrażałem sobie oazę. Cóż, marzenia dokonują cudów. Milkliwych nie stać na cuda.

W sam raz zdążyliśmy na statek. W Zatoce Sueskiej

67

formował się konwój. Pilot-Polak dążył z dzielnicą willowej dla cudzoziemskich speców przy porcie Tewfik. Tu chyba zwieziono palmy znad całego Kanału, a biedne wielbłądy sterczą w piachu przy kamiennych domach bez żadnej osłony. Robotnicy w pasiastych koszulach po kostki chronili głowy przed żarem koszykami, z których na boku wysypywali piasek. Nasser pogłębiał kanał sueskiej wody biegnącej od Drogi Su-eskiej do Kanału Ismaila. Tysiące robotników prawdopodobnie wiedzą, że ich praojcowie nie inaczej niż oni w XX wieku przy pomocy koszyków uprzętały miejsce pod rzekę obiecaną sytości.

Okutaliśmy się w swetry. Po północy wjechaliśmy w kicę Kanału, ze skał Arabii wiało czerwonym kurzem, w tej części Kanału już było parno, nieznośnie; gryzło. Zrzuciliśmy swetry, narzuciliśmy lekkie płaszcze. Mahmud ukazał się w długiej, szarej koszuli i starał się, żebym ręką sprawdził, że nic więcej nie ma na sobie. Won, wbiłbym ci knutla w tyłek!

— Czy islam toleruje nierówność? — spytałem rano Mahmuda, znów patrząc na słony trud robotników. — A może islam uważa to za zasadę życia i stosunków ludzkich?

Był zdziwiony moim smętnym tonem. Rozłożył ramiona, machając gitarą, którą wydobyl z dziesiątego kufra.

— Czy widział pan równość?

— Nie — wyznałem szczerze. — Ale...

— To czego pan żąda od wiary Mahometa?

— Ale...

— Dobrobyt? — ubiegł mnie. — Widziałem Europę, dobrobyt nie wyrównuje różnic. W Indonezji różnice nieuświadomione... Były kiedyś w ustroju religijnym fundamentem równowagi.

— To dobrze?

68

— Dobrze.

t- To dlaczego pan tak kurczowo się trzyma Europy? Zrobiłem mu przykrość, spuścił oczy, przez policzki przebiegło drżenie. Szepnął:

— To inna sprawa.

Zainteresował mnie od nowa i zagrałem jak świnia:

— A gdyby siostra jechała, to nie żałowałyby pan Antwerpii? Ona jedna działa na pana.

— Nie, nie, nie! — ukrył oczy w dłoniach, palce sięgały mu czubka włosów na głowie, paznokci nie obcinał od dwóch tygodni.

Nygus przebrzydły. A jednak nie pomogło wybrzydzenie, nie mogłem sobie darować wulgarności.

Zwią-dłem w sobie; żeby w pełni odpokutować, trzeba by chyba uklęknąć. Raptownie powróciłem do pierwszego tematu.

— I pan się zgadza z tym wszystkim?

Z kolei on był potulny i zrobiło mu się wyraźnie głupio, że wyrządza mi przykrość, mnie — też porządnemu giaurowi, któremu Allah zezwolił być dobrym, jednemu z niewielu.

— A cóż to za filozofia nie zgadzać się z tym — tłumaczył z ogniem w głosie — co jest i co nie zmienia się od wieków? Nie zmienia się istota rzeczy. Dekoracje nieważne. Ktoś rządzi, ktoś słucha, ktoś pada... Zmiany? Rewolucja? Oszczędźcie... To zmuszanie do tego samego męczącego biegu, tylko w odwrotnym kierunku. A czyż człowiekowi nie jedno, czy jedzie przodem, czy tyłem?

Mahmud miał przekonania ugruntowane, hołdował filozofii fatalistycznej, gdyby nie był taki ospały i płaczkliwy, słowem, gdyby był aktywistą, strzelałby się o tę filozofię i może oddałby życie. Ja znów twierdziłem, że dla dyskusji czas nie istnieje i po drodze do Dżakarty zmuszałem go do oglądania wielu haniebnych widoków, żeby obudzić w nim wstręt do rzeczywistości.

W cieśninie Perim minął nas „pasażer” radziecki z serii „Feliks Dzierżyński” wiozący klientów do Mekki. Ostatnie czerwone płyty wybrzeża egipskiego i zaraz Morze Czerwone. Rozprężeni i melancholijni marynarze, osłabli po kąpieli, przypominali sobie wykład okrętowego Cieśli, który wiedział, którądy Mojżesz przeprowadził Żydów i gdzie Kain zabił Abła. Dostawał za to butelkę piwa, aż misyjną robotę i zarobek raz na zawsze przerwał mu chluzt wody z góry z rąk KO-szczaka. — Nie zabieraj mi, dziadu, chleba. I gadaj, że woda nie była głęboka i że rozczynionym chlebem i winem nie nakarmili się, ot! — Śmieliśmy się śmieliśmy się — a dlaczego? Z Cieśli? Przebijaliśmy się koło skał czerwonych jak po pożarze świata, zaraz będzie najdalej wysunięty cypel Afryki, jakiś Fuj. Pojawiły się mewy.

Dżibutti. Do miasta odległego od portu o parę kilometrów mogliśmy wyruszyć dopiero późnym wieczorem. Tu już Afryka nie na żarty. Gorący mrok, dziki mrok. Księżyc jak umierająca głowa na szarym kołnierzu, gwiazdy tworzyły białe morze, oparte na skałach. Koncert cykad. Kiedy już zawiodły nadzieje, że do miasta tylko dwa, trzy kilometry, jakiś czarny taksówkarz zmusił nas do zajęcia miejsca w jego otwartej, wygodnej limuzynie. Krzyczał: „Communistes, ici ici!” Już się zwiedzieli, że przybił polski statek. Spytałem Mahmuda, jak mu się podoba ciemnota kolorowego człowieka. Przecież zauważył protekcyjnalno-pogardliwy ton w głosie taksówkarza. Komuniści chcą rozkuć jego kajdany, a on gryzie rękę... Prowokowałem.

Mahmud odpowiedział ze stoickim spokojem. — To znaczy, że on jest gotów walczyć przeciw wszystkim ludziom wtrącającym się w jego sprawy. Może jemu dobrze? Nie wtrącajcie się, nie popierajcie światowej zgni-

70

lizny tam gdzie tradycja jest niezastąpiona siłą dającą spokój i szczęśliwą śmierć. — Gadaj sobie, mruknąłem coraz bardziej przekonany, że mam do czynienia ze spadkobiercą skarbów zdobytych przy pomocy potu tysięcy niewolników.

W Dżibutti dominował bezruch. Nawet policjanci, ci podkasani, ale w pelerynach i w wysokich czapkach na głowie, jak koguciki, stali przed knajpami i na rogach ulic w towarzystwie potężnych prostytutek, zamurovani niemożnością służbową. Na placu targowym w koszach po jarzynach, rybach i mięsie spały Murzyniątka z otwartymi ustami, obok pod czarnymi chustami wzdychały ich matki, mężczyzn tu ani śladu, koło jatki wysoki Murzyn wyciskał pot z turbana, rozebrany do naga, widocznie co dopiero wywiął z dżungli Somali przed drapieżnikami.

— Tak ma zostać zawsze? — znów napadłem na Mahmuda.

Uśmiechnął się z zażenowaniem, sprawiałem mu kłopot swoim rewolucyjnym „dogmatyzmem”.

— Ja pana poproszę... jeśli dobrze pójdzie... na Sumatrę, do moich rodzinnych okolic, spyta się pan tamtejszych ludzi.

— A czy czas pozwoli?

— No, widzi pan, nie wszystko da się na siłę... Byłem wściekły, Mahmuda nie można było ugryźć z żadnej strony. A tym bardziej naruszyć.

Rankiem znów wybierałem się do miasta, żeby pokazać Mahmudowi rzeczywistość obnażoną przez słoneczną jasność. Ale ranek na zegarku to tutaj już nie ranek, w powietrzu przewalał się upał, tworząc kopułę z przejrzystego dymu nad budynkami, także asfalt ślimaczył się i dymił. Kapitan z żoną wracali już z miasta i odradzali podróż.

— Co wy tam zobaczycie? Murzyni siedzą na pię-

71

tach przed urzędem gubernatorskim, na targu miliard much i innego robactwa krąży nad krwawą baraniną, krewetki uciekają przekupkom z koszyków, mozesz na chodniku nadepnąć na generalskie wąsy tych krewetek i musisz kupić, boś uszkodził...

Z dwojga złego, wybraliśmy plażę. Murzyni, przeważnie chłopcy, zagrzebywali surowe jajka w gorącym piachu, po chwili wyjmowali ugotowane. Natomiast skorupiaki i mięczaki wydobywane z morza nurkowaniem, zjadali na surowo. Przyszedł policjant i zabrał chłopcom kupę wiktuałów, na dodatek pogroził pałką. Poszkodowani najpierw oniemieli, zastraszyli się, ale potem pobiegli za policjantem.

— To wariat? — spytałem. — Wariat przebrany za policjanta?

— Dlaczego? — zdziwił się Mahmud. — Każdy żyje na swoim poziomie. Policjant nie kradnie. On bierze. Chłopcy natomiast nie mogą zabrać policjantowi. Świat tak został stworzony. Kradzież to rzecz względna.

A po pewnym czasie nagiął się nieco.

— Pan umie genialnie wyszpiegować, gdzie co się stało niezgodnego z pańskim poglądem na dzieje — powiedział, gdy siedząc z nim w chłodnej restauracji w Adenie, pociągając coca-cole, zabierałem się do napisania kartek z pozdrowieniami i z przerażeniem odkryłem, że odwrotna strona widoczków jest zapisana i zaadresowana w angielskim języku, a różnym charakterem pisma.

— Co tu jest do szpiegowania?! To rozbój. Popatrz: miały być wysłane przez sklepikarza do Hongkongu, do Melbourne, do...

— I nie poszły — dodał Mahmud. Zdawało mi się, że jego twarz jest przepojona wrogością.

— Może ktoś tam czeka na wiadomość.

— Może.

72

— Złodziej! Raz sprzedał kartkę normalnie, przypuśćmy, że z wygórowaną marżą, faceci — Anglicy — zapłacili za znaczki, żeby przylepił i wysłał, ten drań zaś nie wysłał i na dodatek sprzedał kartki mnie! Dziesięć kartek!

— Przy kupowaniu chyba trzeba patrzeć także na drugą stronę — zauważył. Błogi uśmiech nie schodził mu z twarzy. — Poza tym drugie, dlaczegoż coś ma być złe dlatego, że wasze zwyczaje inaczej uczą? Łamanie innych zwyczajów, a narzucanie swoich ja nazywam przemocą, a mój ojciec (mieszka nad jeziorem Tobą) nazywa bezbożnym komunizmem.

— To koniec! — wykrzyknąłem i poderwałem się.

— Co „koniec”? — zdziwił się.

— Chodźmy! Opowiem ci pewien fakt, nareszcie wycelowałeś, błądziłeś, błądziłeś i trafiłeś w to, co cię bolało. Wsiadłeś na pełnym morzu.

— Nie rozumiem.

— Chodźmy. A ten fakt to brzmi tak, rozbił się statek, uratowało się dwóch pasażerów, jeden był ślepy, ale miał ręce zdrowe, za to drugi miał jedno zdrowe oko, a był bez rąk. Wpadli w szalupę i ten drugi powiedział: ja będę na sterze, bo widzę, a ty wiosłuj... I tak jechali. Ten ślepy wywijał wiosłem bez umiaru i w pewnym momencie wybił sternikowi oko. „To koniec” — powiedział pokonany ostatecznością. I wtedy wiosłarz wysiadł na pełnym morzu...

Mahmud zastanowił się i wreszcie spytał: — Kto wiosłarz, a kto sternik?

— Nie wiem. Już płyniesz sam. Na dno.

Z tego miasta Aden o nowoczesnym kamiennym centrum i niechlujnej, ruinnej, spieczonej otoczce z garbatymi krowami na ulicach, które nie przepuszczały samochodów, wracaliśmy na statek pogniewani na siebie. Kozy miały obwiązane wymiona. Większość kobiet

jl.....m

zasłaniała twarz kolorowymi czarczafami, raczej te brzydkie. Gdyśmy się przyglądali natarczywie jednej damskiej parze, one objęły się za biodra i przytuliły do siebie, jakby zapowiadając, że wiedzą, co byśmy z nimi robili. Mahmud pochylił się ciałem do moich bioder, jakby w ucieczce przed napaścią; otrząsnąłem się. Słońce waliło z nieba i z ziemi. Żeby się tylko nie zapaliły te olbrzymie składy z oliwą i benzyną. Statki angielskie wyładowywały żołnierzy. Byli bez broni, ale strzegł ich lotniskowiec. Ostrożność wydawała mi się śmieszna. Nie wiem, dlaczego robotników w spódniczkach nie uważałem za groźnych. Ochmistrz zauważył: — Może premier Kassen idzie z Iraku? W nocy było duszno, ciągle myślałem o nie wysłanych kartkach: nie wypełnię planu pozdrowień. Księżyc był jak zheblowany. Cisza. Fanatyczna cisza. Wyszedłem na pokład. Tę ciszę czasem rozdarł krzyk kruka. Krążąc nie miały gdzie usiąść i zahaczały o bomby. Zda się rzadkie — jedno na kilometr — czerwone drzewa, olbrzymie, były dla nich za wysokie. Przyczłapał także Mahmud. Znów w długiej koszuli.

— Gniewasz się? — spytał.

— Nie — odparłem zdawkowo.

— Zaraz w Dżakarcie zwrócę ci tę stratę. Przyjadą po mnie jachtingiem. Siostra pisała. Zapłacę.

— Nie o to przecież chodzi. |— A o co?

— Żebyś mi dał już spokój.

Rzeczywiście dał spokój. I mnie, i wcześniej jeszcze Ochmistrzowi. Tylko Steward i jego pomocnik twierdzili, że im dokuczają. W sposób bezzwzględny egzekwował dewizy. Płynęliśmy niebieskim Morzem Arabskim^ gładko, jak sankami po pastwisku z lodu, niebawem pochłonał nas Indyjski. Obręcz wodnego horyzontu narzucała wnioski o więziarskiej sytuacji. To uczucie

74

pchało nas do kajuty, to znów wyganiało na pokład, jakby w poszukiwaniu wyjścia z klatki. Po każdej kolacji Kapitan mówił do żony: „Kupiłem bilet do kina, idziemy na film...” Do messy marynarskiej. Marynarzom w to graj... Żeby tylko zobaczyć kawałek niewieściego ciała. Aż Kapitan zorientował się, że ten sam film idzie już czwarty raz. „Nie kupiłem dziś biletów do kina” — oświadczył. Tym samym nie będzie płacił Elektrykowi za godziny nadliczbowe przy kręceniu filmu. Młodsza część załogi zbuntowała się. „A cóż to za feudalizm?! Film jest dla załogi czy dla Kapitana? Dlaczego nie postarał się o więcej filmów? Brakuje K.O.!”

Wzruszyła mnie ta lojalność wobec starej prawdy, że nic nie jest czarne ani nic całkiem białe...

Z braku solidniejszej rozrywki piliśmy. Sekretarz POP, solidny, i w tyłku rozrosły jak baba, przygotowywał z góry sodówkę na kaca. Niedługo mogły nas zajmować straszne głowy kaszalotów, wyłaniające się z leniwych fal, i niedługo zajmowało współczucie dla latających ryb — uciekały przed napastnikami i często z „rozpostartymi” skrzydełkami i kadłubkami jak szable lądowały na najniższym pokładzie. Rano było ich tam pełno. Mahmud nie brał w tym wszystkim udziału. A co robił? Śmieszne to określenie, ale prał siebie od stóp do głowy. Dosłownie prał, jak bieliznę w balii lub pralce. Raz po raz prał siebie. Czyżby dobierał się do czegoś, czego nie mógł usunąć za jednym razem, penetrował, jak za rakiem? Nie. On kładł się w ubraniu w wannie napełnionej ciepłą wodą, wcierał mydło, mydlił, wcierał mydliny aż do kości. Po wypłukaniu znów powtarzał zabieg. Dzwonił do pentry, żądał nowego kawałka mydła. Poblady Hotelarski żegnał się trwożliwie i wypełniał żądania. Potem Mahmud suszył ubranie i bieliznę w otwartym bulaju, wiatr wydymał płótno, po wszystkim nasz pupilek ukazywał się na pokładzie mil-

75

czący i z gitarą, omijał leżaki, siadał byle gdzie, jak w dżungli, brudził się dokładnie i znów wracał do wanny. Steward zarządzał pogotowie. Mahmud wyżywał się w działaniu, dla którego znalazł nareszcie formę z braku innych w ograniczonych możliwościach na statku?

Byliśmy speszeni zachowaniem się Mahmuda. A może zdecydował się nareszcie na odwrót z Europy i w sposób dla siebie tylko zrozumiały prał brudy przeszłości? Przygotowywał się na objęcia kochanej Sumatry? Lecz zanim zdołaliśmy uzgodnić poglądy, przyszło Kolombo i nasz Mahmud odżył na całego, rozkwitł. Myszkował, myszkował wśród robotników portowych i

handlarzy i wreszcie namówił sobie takiego, jakiego pragnął... Może nie tak... Wyegzaminował w jakimś tam języku faceta, umiejącego czynność, której on pragnął. Pożądał. Umierał bez niej całą drogę. Facet był smukły, wąski w biodrach, szedł jak na sprężynowych nogach i masował sobie ręce. Zamknęli się. Z kajuty Mahmuda po chwili przedostały się popiski, a w końcu jęki rozkoszy. Niosły się korytarzami i rosły do niesamowitości w plotkach. Dorabiano im architekturę figur. Kapitan triumfował, chociaż tyle wiedział dotąd i teraz, co i my. Nic nie wiedzieliśmy. Ochmistrz leżał permanentnie w swojej kabinie z rękami „na chrabąszczyka” i myślał. Nie wiadomo dlaczego czuł się wykiwany i zwyciężony przez Kapitana. A tymczasem z wielkich plotek narodziła się mała prawda. Na drugi dzień Mahmud elastycznie przewijał się po kei, lekki — może zatańczy, tak się wyrывał ramionami w przestrzeń — ale on znów zafasował sobie nowego młodzieńca. Tym razem jednak drzwi kajuty zostawił otwarte. Rozebrał się do slipów, chudy młodzieniec go masował. Najzwyczajniej, z nie widzianym nigdy mistrzostwem, masował. Zaczynał od paluszków u dłoni, jak kawaler oswajający pannę, posuwał się do przegubów i łokci, łaskotaniem przepły-

wał do obojczyków i piersi, Mahmud chłonał. Jak gąbka chłonał. I jak panienka, długo trzymająca zmysły na uwieży. Tylko że nie mówił „pocałuj mnie nareszcie”.

To my, świnię, czekaliśmy w podnieceniu na to, co nastąpi dalej. Nic nie stało się nadprogramowo. A to rżenie, świstanie przez zęby, rozchylenie warg, jak... To kwestia temperamentu, który kreuje własne pożądanie i nie ma nic wspólnego z pożądaniem bliźniego swego, w dodatku najemnego.

— To koniec — orzekł Tadek.

•— Oby! — Pragnąłem zgodzić się z przyjacielem i wątpilem.

Koniec miał dopiero nastąpić w Prioku, w porcie. Na statek zwalili się celnicy i polityczni z emigrejszn. Z nami poszło im gładko, przybili pieczętka na paszportach, możemy wyjść na ląd. Mahmuda odesłali z salonu do kajuty, przyjdą zobaczyć багаж. Coś mi się nie podobało, patrzyli nie na Mahmuda, lecz ponad jego głową na siebie. Odesłali go, ale zrobili to tak delikatnie i perwersyjnie, jakby chodziło im o oddzielenie swego rodaka od natrętnych Europejczyków. Żeby wypoczął. Taki wysoki w okularach, umundurowany, pogłaskał pupilka i lekko ścisnął w ramionach, kierując do drzwi.

— Proszę wypocząć, przyślemy motorówkę. Jakże zabrałby się pan z dwudziestoma kuframi? Mahmud łypnął na mnie zwycięsko oczami. Jachtingu nie ma, ale będzie motorówka. Ale gdyśmy wybierali się na miasto, ostrzył nóż na progu...

Poszliśmy na Priok, zwiedzić i zabawić się. Zabała-ganiliśmy. Szumiało w głowach. Ledwie zwołaliśmy się po różnych barach, po różnych plugawych zaułkach, żeby zdążyć na przystań o godzinie 00. Starszy Oficer na tę godzinę miał podesłać motorową szalupę. Spóźniliśmy się nieco, może pięć, może dziesięć minut. Te

77

pierońskie riksze zawały drogę z dzikim harmiderem, obtańcowały nas; za dnia co kilka minut policjant wskazywał im wolny przejazd, teraz wyżywali się w dzikiej gonitwie. Winna była także koza, która wzięta w niewolę przez matrosów nie chciała dobrowolnie iść na przystań. Ileż czasu zużyli na argumentację...

Inżynier wściekał się, ciskał pioruny na Starszego Oficera. Ale da sobie radę i bez niego. Było w tym gniewie coś z namiętności imponowania i służenia bliźnim. Załatwi własną kieszenią przejazd do statku, który stał na beczkach; choćby łodzią marynarki wojennej. To nic, że tu panuje permanentny stan pogotowia, prosi zostawić tę sprawę jego głowie. Poszedł rozgi-bany w stronę światełek w rozległym baraku. Nie wracał długo. Miałem wrażenie, że nie zrealizowawszy projektu, wstydził się porażki i ze swoją „hańbą” warował gdzieś w mroku bananowca i myślał nad kłamstwami dla nas. Bał się stracić tę koronę wszechmocnej ko-leżeńskości, którą sobie wysoko cenił.

Ale powrócił.

— Dziś feralny dzień — powiedział bez pytania, zadowolony w gruncie rzeczy z tego, że część matrosów dalej czyniła harmider z kozą i nie spieszyła się na statek. — Feralny dzień. Szykują się

na jakąś ważną wyprawę.

Jakby na potwierdzenie tych słów, pokazał się oficer z mapnikiem u boku i automatem. Za nim dwóch żołnierzy, niby adiutanci. Łodzie desantowe drzemały przy bulwarze, światło wlewało się w czarną wodę i z ruchem huśtających się fal znów wypryskiwało na ląd. „Siadajcie — powiedział wskazując na jedną z łodzi zakutą w stal — i... — tu sięgnął do mapnika, wyciągnął papier z planem redy, poszukał oczami czerwonego kółka, przechylił się do lampy, zobaczyłem w kółku

78  
nazwę naszego statku — ...i rozkazuję tam jechać. Widzicie? Jesteście patrol rozpoznawczy." Zasalutowali gorliwie. A potem ten wojskowy przyglądał się nam, a jeszcze potem przeżył się czujnie na widok błyskawic, które migwały gdzieś daleko w głębi, za horyzontem. Gdyby front był blisko, mógłby węszyć niebezpieczeństwo i bać się o patrol, który wysłał.

— A panowie z którego statku? Poland? — znów sięgnął do mapnika i twarz jego stała się przyjazna. Zwrócił się do Inżyniera:

— Możecie się, panowie, z nami zabrać. Właśnie udajemy się na wasz statek. — Był tak szczęśliwy, jakby otrzymał niespodziewaną pomoc przed wyruszeniem na bardzo groźnego wroga.

— Teraz to już koniec — powiedziałem do Tacka i dreszcz mnie przejął. Na Mahmuda ruszy ta część prawdziwej armii.

Po oględzinach części szańców portu, czyli Prioku, z makabrą miauczących dzieci w rynsztokach, udaliśmy się riksami do stolicy, Dżakarty — „miejsca pełnego chwały". Koło reprezentacyjnego Hotelu des Indes otarliśmy się o namiętne „córy Koryntu". Ulubiły sobie ludowe sarongi, chociaż też strój przylega dobrze przede wszystkim do okazałych kształtów Hindusek stających po królewsku na ulicach Delhi, Singapuru i Kolombo.

Idąc podcieniami, znaleźliśmy się w kawiarni na froncie Pasa Baru. Indonezyjski Mahomet nie zakazał piwa, araku i rumu. Panował nastrój serdeczności. Dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że tu kojarzą się synowie Koryntu. Niektórzy także w sarongach. Cały zestaw — od wydmuszków przez chłopięce gibkie ciała do przejrzywających starych ogarów. Na nasz widok spojrzenia rozjarzyły się, jak żarówki odkręcone we-

79

wnątrz głów. Ciarki przeszły, lecz zaraz wzrok gospodarzy skierował się znów na ściany, na których kłębiły się malunki nagich ludzi nie wiadomo jakiej płci — dla zamydlenia oczu policjantom. W tym kłębówisku ciał wyodrębnił się wizerunek przedstawiający nW chybnie chłopaka — z wyciągniętymi dłońmi, jakby wzywającego: Pójdźcie do mnie! Nietrudno było rozpoznać twarz naszego Mahmuda. Jeśli oczy kojarzonych par odrywały się od siebie, to tylko po to, żeby spojrzeć w ten punkt na ścianie, szukając dalszych natchnień. I znów oczy rozżarzały się, jakby lampy zmuszone do tego przekręceniem kontaktu.

Ile lat temu Mahmud zostawił tu podobiznę swojej cielesnej indywidualności?

Nefer z dżungli

Pewnego dnia przy bangkoskiej kei obok naszego statku pojawił się czterotysięcznik izraelski „Jarden". Motorzysta z naszego statku, lubiący wygrzewać swe kościste ciało w kusym podkoszulku i luźnych porciętach na chudych pośladek, a łatwy do zidentyfikowania dzięki wileńskiemu akcentowi i tym razem spędzał wolny czas przed obiadem na rufie, w pełnym słońcu. Nagle na dziobie statku izraelskiego pojawił się Żyd w wieku około lat czterdziestu, czarny, opalony, czerstwy. Nawiązał rozmowę, trochę kalecząc polskie słowa i pomagając sobie rosyjskim:

— Jest ktoś z was z Wilna? Nu... nie jest? — zapytał. — Poniatno? i

— A z jakiej ty ulicy? — zapytał Motorzysta leniwie, na odczepne.

— Ja z Zaułka.

— A ja z Nowego Świata.

— No to dogadaliśmy się.

Motorzysta z Wilna został zaproszony na „Jarden", a potem żydowski matros złożył wizytę na naszym statku. Była przedwieczerek, piątek. Na kei pojawił się nasz Motorzysta w towarzystwie rodaka z Wilna, który typowo po marynarsku szeroko rozstawiał nogi. Włosy krótko przystrzyżone.

Ochmistrz ocenił od razu swoim doświadczonym okiem: „Chlustali i jeszcze tu nasy-

6 — Dziewczyny i chłopcy

p i a, popatrz na kieszenie". Rzeczywiście kieszenie mieli wypchane kanciastymi kształtami. Poznanie odbyło się w kabinie towarzysza podróży i mojego przyjaciela Tadka. Na stole pojawiła się butelka mocnej, czystej wódki z firmą Izraela. Jestem pewny, że kółko produkcji alkoholu w gospodarce Izraela obracają znawcy dobrej wódki — emigranci z ZSRR i Polski.

— Jak ci na imię? — spytałem gościa pełen zażenowania i wzruszenia z powodu odkrywania czegoś nowego. Narodził mi się nowy człowiek w tych mało optymistycznych stosunkach.

— Sam już nie wiem jak mi na imię. Ale przyzwyczailem się do imienia Ilia. Żonę mam Białoruską. W domu, w Tel-Awivie, rozmawiamy po rosyjsku. Mieszkałem w Rydze i tam byłem zatrudniony na statku przez siedem lat. Pokazałem papiery i bez niczego przyjęli do floty Izraela. Stamtąd wyjechałem cztery lata temu.

Ilia był tak ucieszony spotkaniem, jak człowiek, który długo szuka wspólnego języka. Prężył się i podśpiewywał: „Wypiom za Rodinu, wypiom za Stalina...”, przepraszam, zaraz zaśpiewam co innego. I od nowa to samo. „Wypiom za Rodinu, wypiom za Stalina”, przepraszam... No, może to: „Jeśli zawtra wajna, jeśli zawtra...”, ach, czort pobieri wojnu. Tak, zgadzam się z tobą, że nasi są świny, gdyż sprzedali Adenauerowi dwieście tysięcy granatów. Może one będą przeciw Żydom i Polsce? Że też trzeba przyjmować takie brudne pieniądze! Ale co ja? Rządzą kapitaliści, a ja nie jestem polityk. Na statku nie mogę się z nikim porozumieć, żydowskiego nie umiem, kapitan Żyd amerykański, rozmawia po angielsku i hebrajsku, a mnie angielski też nie podchodzi. Jak zaklnę po rusku, to mnie rozumieją. Tylko tyle mogę. A dobrej roboty, żebym mógł żyć z ro-

82

dziną, nie dostanę, chyba że w kibucu... Ale co kibuc? Wychodzisz stamtąd i nic nie masz. Bez kapitału u nas jesteś zerem, no to zamustrowałem. Już dwa miesiące, jak wyjechałem. Żona pisze, że dziecko chore. Naser nie puszcza nas przez Suez, no to zawijamy do portu Akaba i przez pustynię zapycham ciężarówką do rodziny, osiem godzin. Już wszystko pomyliło mi się na tym świecie. Ja nie jestem wariat, ale wariuję. Pójdziecie ze mną do Nacht-klubu? Nightclub, poniatno? Jeszcze badaliśmy gościa. Sicher ist sicher. Jasne, że Ilia nie dał się zniechęcić, zaciskał muskularne szczęki, tylko pod przejrzystą białą koszulką mocniej uderzało serce.

— Czym przekąsisz, Ilia?

— Kiełbasą polską z czosnkiem.

— A wolno ci?

— Wolno nie, tylko prędko. Tak się mówiło, pamiętam. — Po chwili, gdy Motorzysta przytaskał skądś dwa dzwonka suchej kiełbasy, Ilia odpowiedział: — Ja jeszcze pamiętam, że religia to opium dla ludu pracującego. Bo pomyśl, zostałbym świętym. Nasz kapitan mówi: my ship, mój statek, no, kurwa, no, dobrze, ale dlaczego nie mam zjeść? Zasady? Jakie? Już wystarczy tego wariactwa, które mamy w sobie.

— Ale dziś sabat.

— Sabat jest dla bogatych. Przysłałbym tu chasy-dów, niech sabatują i płacą postojowe albo zostawią statek bez wachty. Ja myślę, że świat jest tak urządony... Dla jednych całe życie dzień powszedni, dla drugich święto. Nu, bratcy, wypiom.

— Powiedziałeś — zahaczyłem o nowy temat, żeby przeciągnąć czas badania — że wystarczy tego wariactwa, co marynarz nosi w sobie, nie trzeba dodawać, religijnych chyziów. Czy marynarz rzeczywiście trochę

! odstaje od normalnych ludzi?

63

Ilia pomyślał, dużą łapę położył na piersi.

— Wypij, i odpowiem ci. Jedziemy do Manili, Filipiny. Tam w dzielnicy Malate jest taka mała knajpa, w której po północy wszystko się dzieje przeciwnie. Matrosy siłą sadzają kelnerki przy stolikach, jeden wchodzi za bufet i jest barmanem, reszta usługuje tym dziewczynom. I płacą za

klienta. Widzisz, świat postawiony do góry nogami, tak? Ale czy to nie normalne, gdy wydają pieniądze ci, co je mają? Marynarz jest naładowany przez podróż, ciasno mu w klatce, musi eksplodować. Wariat?

— Szarżuje, kpi, protestuje?

— Nie umiem na tyle po polsku, żeby ci dobrze wytłumaczyć. Marynarz buntuje się, wot! Założyliśmy nogę na nogę, jak umówieni. Kontemplowaliśmy. Wódka stygła. Aklimatyzacyjny Hi-Pres szeleścił cichuteńko. Zawładnęła nami cudowna łaska przyjaźni i wiary. Więc w jakże innej sytuacji Ilia powrócił do propozycji odwiedzenia lokalu nocnego w Bangkoku.

— Nie macie tych ich piastrów, to ja zapłacę.

— Nie o to chodzi, Ilia. Nam nie wolno, my jesteśmy na innym statusie niż wy, kapitaliści. Nas strzeże funkcjonariusz z czarnym wąsikiem, jego specjalność: sprawy słowiańskie. Nam nie dają pozwolenia wyjścia na ląd. Wy, kapitaliści, macie przywileje.

Poczerwieniał, zerwał się z krzesła i migiem wskoczył w białą kurtkę, sztywną jak z blachy, szarpnął nią, aż guziki poleciały.

— Wy mi od kapitalistów nie urągajcie!

— Ilia! — wrzasnął obrażony Motorzysta, właśnie on obrażony... Bronił nas przez atak. — Aż kapie obłuda z ciebie.

• Ilia znieruchomiał, wysapywał złość:

— Nu, nu, w pysk dałem takim, co mniej powiedzie-

84

li! — ale goręcej przekonywał, że mamy prawo do wszystkiego, czego zechcemy. W końcu zupełnie zapanował nad sobą i spokojnie opowiadał, ile tracimy rezygnując z wyjścia na miasto. Najładniejsze miasto Dalekiego Wschodu...

Nie potrzebował nas agitować. Posmak dał widok na malowniczo zabudowane brzegi rzeki. Ilia odkrył w nas zachwyt i dalej czarował. Ten widok? To dopiero rąbek barwnej szaty... Gdy zapuścisz się głębiej, to oko ci zbieleje. Sto wspaniałych świątyń, pagody jak korkociągi pnące się w górę. Ilia gestami dopowiadał nasze lektury, odczytanie. Bonzowie w słonecznikowych szatach klęczą naprzeciw posągu filozoficznego Buddy i z kolei stu chłopaczków przywiązano do bonzów i ziemi i skazano na butwienie, jako kości rzucone w ziemię. Tacy sami jak te kości i takie same te kości jak starzy i młodzi adepci nadporządku i nadnadziei w świecie skotłowanym i zbeltanym. Budda jest jak opoka, nie dąży do nikąd, ponieważ już zdążył przybyć do swojego nieba tu na ziemi, które wyklucza pośpiech, gniew i aneksję człowieka przez człowieka. Jest drugi świat, tu na ziemi, nie osiągnięty ludzkimi słabościami, i o to chodzi. W końcu Ilia agitując więcej po rosyjsku niż po polsku, posłużył się broszurą buddyjską, w języku angielskim. Wściekłość zrodziła w nim elokwencję, a cel — zrozumienie dla filozofii i poezji.

— Zobaczycie to wszystko. Wszystko za jednego ti-hala dobrowolnego datku. Buddę zobaczycie, śpiącego i długiego na sześćdziesiąt, zdaje się, metrów. Sto siedemdziesiąt stóp. W każdym razie stopę ma wielką, jak my trzej. Cały ze złota. Celem naszego biednego żydowskiego narodu jest złoto i zbawienie. Czy to dobrze? Trzeba żyć. Poszedłem do Buddy, ale kiedy zobaczyłem taką kupę złota, to mi się odechciało tego złota. Albo we mnie zdegenerowana rasa, albo są różni Żydzi.

Zoba-

TM

I

czyłem plecy tego Buddy w rybach łuskach i jak one łuszczą się niby świerzb. Ale warto zobaczyć, warto! No, to jak?

Akurat na nasz statek wchodzili, tajniacy z nowej zmiany. Ubrani przyzwoicie w stylu amerykańskim. Jakiemuś grubszemu i wyższemu, a ubranemu na białą, specjalnie gorliwie salutowali Syjamczycy. Niósł pod pachą synka lub wnuczka, stawiał go na trapie i w odpowiedzi na to bicie do dacha składał ręce przed twarzą, dziękując.

Zbliżał się zmierzch. Koło statku przesuwały się motorówki z ciepłą kolacją dla robotników, pokwakując jak kaczki. Z kei przyglądaliśmy się, jak nasi marynarze kończą malowanie rufy —

oglądaliśmy, podziwialiśmy, chwaliliśmy, swoim zachowaniem podkreślaliśmy, że czujemy się uprawnieni do swobodnego rozporządzania terenem. Powoli dołączyliśmy do grupki Anglików pozorując, że to nasze towarzystwo, i tak doszliśmy do statku „Jarden”. Na wachcie przy trapie stał w starszym wieku muzułmanin w turbanie. Był bandziasty jak kramarka na targu. Patrzył posepnie, duchem koczował w afrykańskich, piaskowych rajach; wpuścił nas bez pytania. Ilia wydobył z kieszeni kawałki wieprzowej kielbasy, uzbieranej na naszym statku, i począł rozdawać i reklamować: „Fajna, fajna kielbasa polska. Polish good'Y A oni rwali ostrymi zębami suchą kielbasę i cmokali. „Fein, fein”. Rzeczywiście fajna. Trefna? Trefna. Nie szkodzi, bo fajna. Potem błyskawicznie zwiedziliśmy wnętrze cztero-tysięcznika. Wszędzie dominował plastik, oślizła powierzchnia, kabiny były mniejsze niż u nas, korytarze ciasne, zamiast chodników i dywanów — imitacja spod pędzla, nie podobała nam się ta tak zwana nowoczesność, ponieważ przeszkadzała iluzji domowości. Tymczasem Ilia już zdążył przebrać się, świecił granatowym

86

gggg^Jllpjiii.....iiiBL

nylonem i z kolei kazał założyć nam na głowy białe chustki. Zacmokał jak handlarz tandetą na Nalewkach przed wojną. Zaraz podjechał duży mercedes pod sam trap, takim mercedesem, chociaż jest taksówką, może się rozbijać po mieście nie byle kto. Ilia obmyślił to wszystko genialnie. Wsiadałem z duszą na ramieniu. Natomiast nasz żydowski kolega zachowywał się jak książę z dalekiego kontynentu, którego — jeśliby chciał — stać na wynajmowanie przez cały rok kompletnego apartamentu nawet w hotelu „Hilton” w dalekim Kairo — a my przy nim wyglądaliśmy na sługi poddane religijnej wierności. Całą tę paradę widzieli strażnicy przy jednej z bram, do której zaraz wycelowaliśmy. Zatrzymali nas, kiedy minęliśmy magazyny. Groźni w hełmach i z automatami. Ilia ledwie raczył uchylić szybkę i pokazać jakiś dokument, który był częściowo przykryty na pół złamanym stutihalowym banknotem. Wyjął go z wypchanego portfela, co strażnicy odpowiednio ocenili. W półmroku zobaczyłem oczy jak fosforyzujące guziki, a potem już tylko podciągnięcie automatów do ramion. Salut! Droga wolna. Ilia nie dał łapówki, to byłoby podejrzane, Ilia strzepnął banknot jak kruszynę ze stołu obfitości. Z takim uczuciem przyjęli.

Najpierw mercedes mknął przez szerokie ulice, szare starością asfaltu i cieni spadających z drewnianych budynków, przeważnie służących gospodarce portowej. Górował budynek kapitanatu ogrodzony lwami z marmuru i potężnymi baobabami. Potem jechaliśmy przez prawie puste połacie, które gdyby nie były mokre, to można by je nazwać imitacją sawanny, potraciliśmy dwa lub trzy bezpieczne psy, których tu pełno, kierowca zatraził na oracza w sarongu i stożkowym kapeluszu, przedzierającego się przez jezdnię, za bawołami, do kolonii chałup na palach. Po kwadransie minęliśmy rogat-

87

1

ki starego Bangkoku, pamiętającego odległe lata panowania tu Chińczyków i Birmańczyków. Powitały nas pierwsze riksze z siedzeniami dla klientów z tyłu za kierowcami. Już zapadł wieczór. Chwila czystości, cywilizacji i znów ulice wąskie i bez trotuarów, lepianki zostały przyzwoicie przykryte przez urok różnokolorowych tęcz neonowych, spadających wokół jak skrzydła na karuzeli. Nie widziałem, gdzie były zainstalowane neony.

— Wysiadamy — powiedział Ilia, pierwszy wysiadł i pokazał na dwupiętrowy budynek, także oświetlony rzęsiście ukrytymi w krzakach neonami. — Tu tancbuda. Na piętrze... Jak to się nazywa... po naszymu pokoiki. Rozumiesz?

— Jakże? — oburzył się Tadek. — A miasto?

— Nie mam tyle tihalów, żebym opłacił się całej kohorcie. Dalej jest dzielnica sztabu SEATO. Zaryzykujesz?

Byliśmy w centrum miasta. Nowoczesna architektura, dużo zapożyczeń włosko-brazylijskich. Dziwne. Uliczni sprzedawcy jeszcze nie myśleli o spaniu, wśród nich przeważali sprzedawcy ptaków.

Ilia wyminął „Wenus-room”, przybytek szczytowej klasy, i prowadził nas dalej...

Zapłaciliśmy po pięć tihalów za wstęp, czyli po ćwierć dolara. Na sali ledwie kilka stolików zajętych, światło przygaszone... Drzwi otwarte na ogród ukazywały obietnice wśród bananowców i kilku palm. W jednym rogu lokalu popiskiwały dziewczynki w białych bluzeczkach, jak pensjonariuszki. W nowoczesność urządzenia, łaskawego i gładkiego, przenikały okropności azjatyckiego interioru przez rozdziawione mordy leopardów, tygrysów i różnych gadów zmaterializowane w kości

88

słoniowej i wmieszane w ekshibejonistyczne rysunki na ścianach. Potem otaksowaliśmy stoliki i stołeczki. W aspekcie ich bojowej przydatności. (Na meble z trzciny nie liczyliśmy.) Powtórzyliśmy ten zabieg strategiczny, kiedy na sali pojawił się barczysty policeman; na pewno policeman — nie zdjął kapelusza, czuł się tu gospodarzem, przemaszerował przez salę, rozglądał się, a mnie się zdawało, że on szuka tu czegoś konkretnego w imieniu swoich szefów, zadomowionych na naszym statku. Przemaszerował i utknął wśród dziewczynek w rogu sali. Siedziały, od czasu do czasu podrygiwały w śmiechu, i gdyby nie napięcie nie opuszczające nas, powinniśmy poddać się wrażeniu, że policeman przyszedł tu gwoli rozweselenia słabo zarabiających istot. Może nawet zatańczy, bo na estradzie pokazała się orkiestra, a muzycanci — ubrani w czerwono-czarne zakieciki i lśniące pierścienie na palcach — zaczęli stroić instrumenty. Obserwując lśnienie z tych pierścieni — przebiegające po mrocznych ścianach, to zawisające jak jaszczurki, pomyślałem z roztkliwieniem o blaskach, do których dobiegałem się w dzieciństwie na zardzewiałym surowcu przy pomocy „Sidolu”.

Wreszcie do naszego stolika podeszła biała pani — wychynęła gdzieś z głębi, zza bufetu — podeszła biała pani na muskularnych nogach. Biała twarz, biały strój, jasne, utlenione włosy. Grzeczna, wyrachowana w ruchach, czyściutka, błyszcząca na twarzy, pachnąca od kolan do ust specyfikami kosmetycznymi. Wysterylizowana. Przycichliśmy w sobie. W tym siedlisku organizowanej miłości ta kobieta na pewno nie należała do typów, które odznaczają się namiętnością.

— Co panowie sobie życzą? — Przeczekała, a myśmy myśleli, że jeszcze coś powie. Ilia szarpnął się, chyba niepotrzebnie:

— Jak to co? Wiadomo. Kankretno!

M

Wysterylizowana biała pani uśmiechała się zdawkowo. Ale czy pobłażliwie i z naganą? Pochyliłem się w stronę liii, nie panując już nad śmiechem.

— Wino i frukta, co? Wystarczy?

— Sto gram i ogórec, kankretno! — wybuchnął.

Sytuację ratowała biała pani, która nic nie rozumiała i w ten sposób bez udziału woli łagodziła podrażnienie liii, z jego twarzy zniknęła czerwoność, oczami przytaknął pani i już tylko odpowiedział słowami:

— Whisky i krewetki.

Biała pani skinęła głową, włosy musnęły światło, ale zaraz głowa lekko się przechyliła.

— No, I can't.

— Nie można? Angielskie porządki? No to whisky and soda.

— I can't — powtórzyła ze zdziwionym uśmiechem i znów powiodła oczami gdzieś w głąb, w stronę bufetu.

— Policeman — szepnął Tadek.

— No to co? — Ilia znów się szarpnął. — Ja mam pieniądze, chcę się zabawić. Nie można za własne pieniądze?

Biała pani uśmiechnęła się lekko, tylko tyle, żeby to nie groziło odkryciem zmarszczek na jej ostatecznie ułożonej, jakby zabalsamowanej twarzy. Przeniosła oczy na Tadeka jako na ostoję pewności, którą utożsamiała, być może, z niepokalanie białym, półsztynnym kołnierzykiem i krawatem z delikatnymi deseniami. Powiedział:

— Ilia, ja ci wytłumaczę. Potem ci wytłumaczę, a tymczasem...

W liii skończył się już stan pośpiechu i rozdrażnienia, nagle przerzucił rękę z kolana i stuknął się w

czoło:

— Rozumiem lady. — Podniósł tułów i skłonił się, szarmancko. — Jaka ze mnie sakramencka pała. Prze-; cięz pani nie będzie tego sama nosiła. Proszę, bardzo!

90

M

proszę... — Tak wysławia się tylko człowiek złapany na nietakcie. Podziwialiśmy Ilię, który teraz zwrócił się do nas. — Wystarczy jedna dziewczynka, prawda? Zobaczymy, jak sprawa się rozwinie. Po co mają nas obe-żreć za darmo.

Teraz żydowski matros także zdumiewał nas, ale inaczej niż przedtem, zaskakiwał gestami — od lekceważenia pieniądza do sknerstwa, od trywialności do szarmanckości i pokory. Patrzył na białą panią z przy-dechem, mienił się na twarzy, jeszcze wtedy gdy już odchodziła w stronę dziewczynek. Na jej wystające części ciała kładł się rozrzedzony cień, splezający z kaptura, spod sufitu, cień w rozkładzie. Ilija splunął.

— Nie poznała, pfu!

— Co nie poznała?

Zrobił duże oczy, wydał wargi. — Nie poznaliście, że to Żydówka? Nie poznała, wielka pani. A na pewno zapala w sobotę szabaśne świece.

Tadek mrugnął do mnie, ja mrugnąłem do Tadeka. Nie będzie zabawy: Ilija przeżywał różnice klasowe, przyzywał swoją krzywdę, mylił tropy, na których mógłby poszukać białej pani.

Rozmyślania ucięło nadejście dziewczynki. Miała oczy bardziej skośne niż wszystkie widziane dotąd Sy-jamki i zęby trochę na wierzchu. Ręce ukryła pod czarnym szalem, który kolorem pogłębiał kruczość roztaczającą się z włosów na głowie na całe gibkie, acz zdawało mi się — nie doceniane przez dziewczynę ciało.

— Podobam się? — spytała łamaną angielszczyzną.

— Owszem — powiedział Ilija i dopiero po tym przyświadczeniu jego oczy rozbłysły, jakby odpowiedziały na nagły wewnętrzny triumf. Nawet namyślał się, czy nie rozszerzyć swojego zamówienia, w końcu machnął ręką. Dziewczyna oddaliła się w stronę bufetu, odprowadzaliśmy ją oczami, szła ciężko. Dziwiłem się, że

91

r

wpadła w plan liii, skoro z mojego planu już wypadła. W czółenkach kryła nie nóżki, lecz kopytka. Niebawem wróciła z wódką i przekąską, na dodatek zamówiła cztery butelki piwa, jednak nie usiadła dotąd, dopóki Ilija nie stwierdził, że piwo też będzie potrzebne. Orkiestra już hałasowała jazzem, na parkiecie nieudolnie borykały się z twistem biało-śniade dwie pary. Potem, w przerwie, jedna para zniknęła w drzwiach do ogrodu; ciągle mi się zdawało, że w mroku widzę jasną plamę rozeslaną za bananowcem. Nie mogłem jednak zbyt intensywnie obserwować, ponieważ Ilija, przyzwyczajony do picia ze szklanki, zmieniał kieliszki prawie w takim tempie, z jakim wychylał jeden kieliszek i zdążył nalać do drugiego. Dziewczyna nie czekała, aż wytrąbimy butelkę, i szybko biegła po nową. Rzeczywiście biegła, rozruszała się. Alkohol w naszych głowach pracował na jej korzyść; kiedy tak przemykała się między tańczącymi parami, światło przenikało ją od ramion do biodra. Wróciła szybko, ale przy tempie liii znów nie było czasu na konwersację. W pewnym momencie na salę wtoczył się policeman, posuwał się, bacząc, żeby nie chwiać się za bardzo, na pewno za kulisami bufetu nie próżnował. Przystanął na środku sali raczej wbrew woli, w poczuciu obowiązku, że powinien tu przynajmniej zostawić jakieś wrażenie, jeśli nie ślad. Chciał jednym groźnym spojrzeniem omieść całą salę, ale mógł tylko wędrować leniwie, w zmęczeniu, ponad głowami gości, być może morda bawołu zadrżała nad naszymi głowami, cień poruszył się wraz z tym, jak nasza dziewczyna zadrżała w obliczu policemana. Wtedy on z uśmiechem zadowolenia skierował się do niej i coś zagadał w ich języku, władczo, ale nie nachalnie. Patrzyła i słuchała nieobo-jętnie, a na jej ramionach siedział uciskający cień. Ilija wołał demonstracyjnie: „Whisky and soda, whisky and

92

soda!" Policeman kiwnął głową, ale nie z przyzwoleniem, tylko potwierdzając swoje słowa

wypowiedziane do dziewczyny. I poszedł sobie rozchwierutany.

Dopiero teraz rozpoczęła się rozmowa naprawdę. Chodziło o dziewczynę. Rozmowę prowadził Ilia — jak atak. Dziewczyna kulila się, nie pojmując dlaczego ona jest główną przyczyną złości gruboskórnego matrosa z dzikimi włosami na głowie, przystrzyżonymi „na kure”. Ale Ilia nabrał ochoty do rozmowy nie z racji zniknięcia policmana, decyzja żyła w nim i odżyła z chwilą, kiedy na widowni pojawiła się biała pani. Szła do stolika vis a vis, co dopiero obsadzonego przez podpitych matrosów greckich, którzy przywlekli dziewczynki z innej tancbudy. Szła i spod oka zerknęła na Ilię, co nie uszło jego uwagi. Pochylił się gniewnie i wyciągnął ręce dziewczynki spod szala. Zaskoczona, nie broniła się. Ułożył te ręce tak, żeby swym wyglądem wypełniały jakieś jego tajemnicze postulaty.

— Widzicie?

— Co mamy widzieć? — nastawiłem się sztorcem.

— Ręce jak ręce — rzekł ugodowo Tadek. — Trochę niewymyte.

— Co mamy widzieć? — powtórzyłem twardo, z myślą o obronie dziewczyny przed czymś nieznanym, a zapominając o tym, że każda dziewczynka jest na usługach policji.

— Te ręce macie widzieć — rozkazał Ilia i wydierał z nas spojrzenia ku tym rękóm.

— Ręce jak ręce, mogłyby być lepsze. — Tadek próbował żartować.

— To są ręce człowieka pracy! — oświadczył Ilia i rąbnął w stół. — Zobaczyliście nogi... Chód to zdradza. Jak żarna. Z pracy! — Nie pozwolił dziewczynce posprzątać poprzewracanych kieliszków. — Twoje miejsce tu, twoim obowiązkiem jest opowiadać, jak ta kurwa... zmusiła cię do tego. — Miał na myśli białą panią. — Ona na pewno — zwrócił się do nas — została wyrwana z domu w środku dżungli, oderwana od kochanka, albo nawet od męża i tu przywleczona. Jej ojciec nie był w stanie zapłacić dzierżawy i musiał zapłacić córką. Właściciel pola sprzedał ją z kolei tej kurwie. Czy to jest ciało? — spytał refleksyjnie i przesunął w powietrzu ręką nad piersiątkami dziewczyny. Chciał powiedzieć: to dopiero możliwości. — Wot! Sadziła ananasy, zrywała owoce kokosowe, widzieliście te ręce... Ona na pewno jeszcze nie zna... — nie znalazł słowa, pokazał palcami obrządek cielesny wykonywany w rozpacz. Przypuszczam, że chciał powiedzieć: ona jeszcze nie zna swojego poniżenia. Ilia uzupełniał niestrudzenie. — Ona chyba jeszcze nie wygolona! Kiedy ją zostawią bez włosów, to zrozumie. Widzicie, jak patrzy? Biedna...

Rzeczywiście, oczy dziewczyny były spłoszone, chowały się jak zbieg, czuła się obgadywana i nic na to nie mogła poradzić. Zwierzątko w klatce. Ilia znalazł celne określenie. — Chętnie by związała. Dżungla, co? — zagadał do niej po angielsku łaknąc potwierdzenia swoich wniosków.

— Yes, yes — przytaknęła rozradowana. Smutną twarz opromienił uśmiech dziecka.

— Dżungla... best, co?

— Best — przytwardziła, szczęśliwa, że mężczyźni znaleźli z nią nareszcie kontakt. Oczy zasnuły się mgiełką i wytrzeszczyła zęby jak w rozkoszy.

Ilia był w siódmym niebie, triumfował. Pochylony ku dziewczynie dukał ciągle na jeden ton.

— Dżungla... best.

— Best.

— Dżungla... free — zatoczył łuk swobodny.

— Yes, free...

94

— Yes, free...

— Byliście w dżungli? — zwrócił się do nas.

— Byliśmy.

— To wiecie.

Ilia wybierał z dżungli to, co dobre, co widać i słyszać z rozległej polany lub z wyrębu. Wysoki las, niskie i miękkie podniebie, spiekota, ale świetlista, dzieci na-guśkie, ale noszą barwne dzbany na głowach, komary roztaczają swoje królowanie jak moskitiery, a wyżej — niebo wymalowane motylami. Wieczorem, ma się rozumieć, cykają koniki polne. Nie czuć zgnilizny, tylko woń grzybów. Nie widać zdradzieckich mokradeł i nic nie przeszkadza miłości.

Uwiódl nas Ilia. Och, ten Ilia. Zdawało mi się, że dziewczynka zasłuchana w leśnej baśni pozwala wdziierać się w głąb swej prawdziwej natury. Schlebialiśmy sobie, że daliśmy dziewczynie możliwość widzenia naszego świata nie przez genitalia. Miała prawo o nas myśleć, jak o ludziach z innego świata. Byliśmy dumni. Kłanialiśmy się sobie wzajemnie. O, jakże człowiek mocny, że jest władny podnieść się z samego dna. I nagle ten błogostan zburzyło ziewanie dziewczyny. Zmęczyła się nami? Na jej twarzy rozlała się desperacka obojętność. Teraz jej oczy także uciekały, ale inaczej. Nabrała powietrza w płuca na odwagę i rzekła głosem przyciszonym, jak do ludzi, których nie jest pewna:

— Czy ja od panów coś zarobię?

Zdumienie i żal nie pozwoliły liii powiedzieć ni słowa. Ja parsknąłem gorzkim śmiechem i zabrałem dziewczynę do tańca. Objąłem ją lekkim ruchem, jakbym zadatkował to późniejsze, lecz ona nie przyłgnęła, jak to czynią kobiety dążące szybko do celu. Odróżniała się także od dziewcząt wirujących wkoło, które żyły pierwszymi wrażeniami. One także na pewno nie żyją samą miłością, ale wykorzystują wszystkie możliwości.

95

Żeby zagłuszyć wstyd i gorycz, zacząłem rozmowę:

— A te pani ręce dlaczego...

-Vj?racuję w kuchni... Woda zimna... i te ręce... Nasz pan...

— Pan? Kto jest panem?

— Taki Arab. On ma swoje święto w piątek i wtedy zastępuje go biała pani i pozwala mi dorobić.

Police-man dostaje za to wódkę, że nic nie powie Arabowi.

Dobiła mnie.

Na imię było jej Nefer. Zrehabilitowała się w czasie następnej naszej wizyty w Bangkoku, gdy statek odbywał rejs powrotny z Japonii. Pamiętam jak dziś — staliśmy wśród pięknej nocy, oparci o reling i wpatrzni w światła buddyjskiego Krakowa Wschodu. Cholery, nie wypuszczają... Tylko szum lotek jakichś ptaków nad głowami, a bryzgi fal pomieszane z refleksami światła hamowały szumy barw. Romantycznie i bzdurnie... Nie puszczaają, cholery, na ład... Na szczęście kapitan nie chciał wiedzieć o tym, że i statek jest dobrym przytuliskiem dla „małpek z dżungli”. Natomiast dobrze wiedział, że marynarz, który nie wypuści z siebie męskiej energii, jest zły i naraża mechanizm statku na awarie.

Już są i będą przez cztery dni postoju statku! Zanim się marynarze zorientowali, zanim zdecydowali się spuścić sztorm-trap na pomoc potrzebującym — w świetle księżycy odwróconego dnem do góry, pną się małpki w kobiecych szatach, stopami jeszcze w plusku srebrnogramatowym, a głowami już zahaczając o mżawkę księżycową siąpiącą znad dżungli za pośrednictwem zwiewnych obłoczków. Ale wzrok przykuwają przede wszystkim dłonie. Jak wrzeczona ze zwolnionymi obrotami. Dłoń za dłonią, dłoń za dłonią po sznurze, który spina barkę z relingiem... Małpki z nich i koty. Jednej

zsuwał się but, więc wzięła go w zęby. Na małą chwileczkę obłok przykrywa księżyc i widzi się tylko te dłonie w powietrzu, bez oparcia o sznur. Duchy dążące do nas na sage...

Widać twarz, drugą twarz... Twarze mają drobne, nasycone słońcem i wiatrem, ale gładkie. Teraz jakby wychylały się z welonu. Czego nie potrafi romantyczna fantazja! Jak się nazywa głos przybywający z daleka? Niedobrze ze mną. Przypominają mi się zjawy, na które czekałem drżący w lesie, na łące, na siennym strychu, były one jak uderzenie w dzwon. Zbliżała się tajemniczość ze światłem we wnętrzu. Niedobrze ze mną. W szatach poety nieprzydatnych dla nikogo. Ale moi kumple marynarscy już są normalni, są w takich strojach, które można w każdej chwili zrzucić. I one też. Przyjeżdżają często z interioru, żeby się ogrzać, pokosztować łóżka i czystej pościeli. Wspaniałości Bangkoku nie dla nich. Zawsze śpią na bambusie i liściach. Gotowe na wszystko, nagość u nich została przewyciężona, jak u nowo narodzonego dziecka, tylko że one nic nie wiedzą o różnicach i są przyjmowane jako naiwne zwierzątka. Dlatego nie stać ich nawet na przewrotność, nie dysponują tą bronią kobiet, poza tym potrafią być niestrudzone jak maszyny. Wśród nich była właśnie Nefer, ta z tancbudy. Wróciła do dżungli i znów przybyła do wielkiego

miasta w poszukiwaniu jakiegoś człowieczego zadośćuczynienia. Rzuciła się Tadcowi na szyję i zapiszczała:

— Gdzie Ilia? Ja jestem dobra... wszędzie. Dlaczego on wtedy nie chciał? Nie wszyscy Polacy chcą?

7 — Dziewczyny i chłopcy

Na Sumatrze

Centralną figurą tego opowiadania będzie Niemiec, Karl, bo ten drugi się nie liczy, do niczego się nie przyznawał i na niczym nie można go było złapać, płaski i tchórzliwy płaczek.

— Bitte um eine Zigarette — powiedział Karl jednym tchem, patrząc łakomie na rozrzucone na stole pudełka spleśniałych sportów, lśniące lucky z czerwoną banderolą i tutejsze kresta.

Wiedziałem, że szuka choćby pozoru ustępstwa z mojej strony, i odpowiedziałem opryskliwie, chociaż kromki chleba i papierosa nie powinno się nikomu odmawiać.

— Idź do pułkownika Aidit Manu, on ci da nawet gwiazdkę z nieba.

— Nie mogę, oni do mnie przychodzą co chwila.

— Kto oni?

— Ci sami, co do pana, panie kapitanie. Dlaczego pan pyta, przecież...

— Mnie nachodzi tylko pułkownik.

— Błagam...

— Precz, raus! — i wyskoczyłem na werandę, żeby się nie załamać w takim głupim punkcie. Trzasnęły drzwi, zadźwięczało, omal szyby nie wyleciały, długo drżały.

Karl jednak został w pokoju, moi podwładni — koledzy i przyjaciele — obchodzili willę wkoło, badając,

98

jak zachowują się warty, gdybyśmy się chcieli wymknąć. Po chwili Karl, widziałem przez ramię, wyszedł chwiejąc się. Być może, nawet nic nie jadł w tym dniu, jeśli rzeczywiście uciekał ze swojego pokoju przed pułkownikiem Aidit Manu.

Zacznijmy jednak od początku... Dwa dni przed opisaną sceną w tym mieście wykonano wyrok na handlarzu opium. Widziałem. Twarz handlarza połyskiwała jak antracyt. Został powieszony przez prokuratora państwowego. Nazywał się Barat. Przed śmiercią wy-charkotał, że będzie pomszczony i że Allah i wszystkie bogi wygnane w góry przez Holendrów rychło się o niego upomną. Dalsze słowa przerwał sznur na szyi delikwenta. Obok niego konała na posłaniu z liści bambusowych dziewczynka w wieku może dziesięciu lat. Gryzła ręce, płakać już nie mogła, bo głos jej zasychał, to znów dźwigała ręce w górę, a jej twarz jeszcze bardziej się kurczyła. Jakby chciała chwycić tego wiszącego faceta za dyndające nogi. Oczy otwierały się tylko wtedy, a potem zapadały w niewymownym cierpieniu. Jej rodzice — brzydcy i ubrani w łachmany, przyglądali się córce gniewni i nastroszeni. Chyba mieli jej za złe, że tak długo zatrzymuje ich uwagę. Gdyby lśniący facet nie został powieszony, miałby do nich pretensję o to, że wykiwali go, gdyż dziewczynka okazała się chora i nie wytrzymała głupich dwóch godzin przejścia przez granicę z ledwie kilowym ładunkiem opium w brzuchu. Lekarz nie ponosi winy, rozciął brzuch i zaszył fachowo, szwy przecież nie pękły. To oni nie podkarmili odpowiednio córki przed wymarszem z kontrabandą do sułtanatu Merda-kin i przed zaszcyciem tego woreczka, chociaż otrzymali pięć tysięcy rupii zadatku. (Sułtanat Merda-kin — to obszar w głębi Sumatry, dawniej państwa Aczyńców; sułtan Ali z przydomkiem Waleczny nie uznawał centralnej władzy prezydenta Sukarno

i prowadził handel bez żadnych ograniczeń.) Mała Gabi powinna była donieść ładunek opium w swym brzuchu do pierwszego punktu szmuglerskiego za granicą i dopiero tam skonać wskutek zatrucia. Nie wcześniej.

Więc rodzice patrzyli gniewnie na nią, a pełni skruchy na przedsiębiorcę, który z wysokości

prymitywnej szubienicy wywalił w ich stronę strasznie długi jęzor, czarny jak żądło żmii. Niezatarcie wrażenie. Wściekłe spojrzenie ojca i wargi ułożone jak do warknięcia, gdy córka podniosła łapki do góry, szukając tylko współczucia, i te same oczy obłądne ze strachu, gdy zerknął na trupa, coraz bardziej pęczniejącego i fioletowiejącego. Aż rozległ się ostatni głos dziecka, jak pęknięty dzwoneczek. Zwiędła, ziemista twarz ojca jakby rozbłysła, natomiast jego żona wydała cichy pojęk, wtedy mąż syknął i baba uspokoiła się, a nawet dziwacznymi ruchami poczęła komentować zgon córki jako wielki dar karzących bogów. Takie mizerne nasienie niewarte tradycyjnego pogrzebu, niewarte przygotowania posiłków dla rodaków, na co zresztą nie mieli pieniędzy, albowiem zarobione rupie będą musieli komuś zwrócić. Tylko nieśmiałe skurcze na twarzy kobiety mówiły od czasu do czasu o przeblyskach uczuć macierzyńskich. Rozumiesz, jak musiałem trzymać się na wodzy, żeby nie przywołać prokuratora i policji do dalszych obowiązków. Zrobiłbym głupstwo, bo cóż ja... Zresztą rodzice zamordowanej dziewczyny bynajmniej by się nie zdziwili, gdyby z kolei im nałożono stryczki na szyje. Tylko że kierowali się innymi pobudkami niż ja. Bo cóż ja? Wyjechałem z Polski w roku 1957, wraz z innymi oficerami marynarki — zgodnie z porozumieniem rządu polskiego i djakarskiego, i stałem się pracownikiem djakarskiego towarzystwa żeglugowego „Pełni”. Podpisałem umowę na trzy lata i jako kapitan statku — nazwijmy to — pasażerskiego, miałem

100

przewozić indonezyjskich obywateli z Jawy na Sula-wesi, z Sulawesi na Sumatrę, z Sumatry na Madurę, i tak dalej, płacili mi za to dobrze i w żadnym wypadku nie mogłem pozwolić na podejrzenie z ich strony, że biały, tym razem Polak, wtrąca się w ich wewnętrzne sprawy. Z tego zdawali sobie dokładnie i boleśnie sprawę także chief pokładowy, rudawy Zenek, który w rozdrażnieniu szczypał mnie w ramię, i chief engineer, Zdzich, tylko z fizycznej strony podobny do kłody, a w rzeczywistości ubolewający nad byle czym, i jego pomocnik, suchy Tadek, jako też oliwkowy jak Kreol Bronek, trzeci oficer i felczer w jednej osobie, który tylko parskał bez przerwy: „A niech to ślag trafi... A niech to ślag trafi”, i raz po raz ocierał pot z czoła mokrą chusteczką. W ten sposób maskował ocieranie łez. Zostawił w Warszawie córeczkę i martwił się o jej zdrowie, ponieważ była chora na serce.

Dziś ciekawi mnie, dlaczegośmy stamtąd nie odeszli. Czyż odkrywanie podłej niesprawiedliwości jest naszą funkcją narodową nawet tam, gdzie nas rzuci los, który wybraliśmy dobrowolnie? Przepraszam za dygresję, to ty jesteś od dygresji; i wniosków. Ja tylko fakty... Przed odejściem z tego podłego widowiska włożył mi w oczy jeszcze Karl (nazwiska nie starałem się zapamiętać) z tym drugim Niemcem, zdaje się starszym oficerem. Kapitan marynarki Karl, który stał naprzeciw w tłumie, palił łapczywie cygareto, to znów wysuwał je do przodu, jak punkt celu. I ciągle trwał za lekką zasłoną dymu, a powietrze koło niego jeszcze bardziej drżało od spiekoty. I zdawało mi się, że ten drugi, chyba Rudolf, położył z wielkim pośpiechem i przerażeniem palec na ustach, jakby jego kapitan chciał wystąpić z komendą. Co myślał Karl? Właściwie nie powinienem się tym zajmować, bo chcąc nie chcąc, robi się wrogowi łaskę, ale widocznie pragnąłem, żeby niemie-

101

ckim kapitanem targały krwiożercze i podłe chętki i żeby lubował się widowiskiem i znajdował sens w okrucieństwach. Obraz takich Niemców wyniosłem z wojny. Ale to były tylko moje życzenia, a co w rzeczywistości trawiło tego Karla, nie wiedziałem. Stał z tym cygarem, w praktycznym tropikalnym ubraniu, w białej czapie wtłoczonej po prusacku, gładko wygolony, pociągły na twarzy, przystojny... Ale zakazana mordą! Stuknął cygarem w palce na ustach swojego towarzysza i począł się zołądkować. Być może, na nim wywarł złość; było mi to nie na rękę i byłem zadowolony dopiero wtedy, kiedy zwarłem się z nim wzrokiem przez odległość placyku, nad głowami krajowców, i mogłem mu powiedzieć w duchu: „Och, ty, kacie, my się jeszcze spotkamy, nie popuszczę ci, tu na tej ziemi nie mogę robić draki”. Z taką przysięgą wyszeptywaną zawsze, gdy spotkałem Niemca, który mi się kojarzył z jego służbą u hitlerowców, odchodziłem na swój statek. Umarłą dziewczynkę sprzątnięto, a wisielec dyndał dalej, u jego stóp zawiązywał się taniec kogutów, które czekały w klatkach na koniec tamtego widowiska. To niezapomniane wrażenie z oglądania tej krwawej zabawy... — jak te koguty drobią kroczyki, jak podskakują i ludzie omal się

nie poduszają, ponieważ w decydujących momentach zapiera im dech z emocji... — ale już nieraz byłem świadkiem tańca koguciego, poza tym żarł mnie wstręt do wszystkiego w tym mieście, palił wstyd, i pomaszerowałem na statek, żeby go przygotować do jak najszybszego odjazdu. Planowałem przyspieszyć odjazd i odcumować pojutrze. Niemcy zostali na placu. Za nami długo niosły się namiętne wrzaski, aż wyginały się kramy na ulicach i woda marszczyła się w kanałach. Spytasz, dlaczego sterczałem na tym widowisku, skoro tak mnie strasznie drażniło i piekło ze wstydu. No,

102

a co miałem robić? Dokąd iść w tej dziurze, gdzie widać wszystko na przestrzał przez te pale i wodę, na której stoją ich domy. Ze statku zaś musiałem uciec, ponieważ odbywała się tam eksportacja zwłok. W czasie tego czterodniowego rejsu... padło (inaczej nie mogę powiedzieć) więcej ludzi niż zwykle. Mój statek „handlowiec”, nie żaden „pasażer”. Pomyśl, że w ładowniach obliczonych na czterystu do pięciuset ludzi tłoczy się czasem dwa tysiące pięćset delikwentów jadących z Jawy w poszukiwaniu zarobku lub do rodziny, a także, żeby czmychnąć w dżunglę do band Darul Islam, fanatyków starych porządków. Dwa tysiące pięćset to liczba według kwitariusza, a przecież każdy z tutejszych marynarzy dobiera na swoje konto dwóch—trzech pasażerów, żeby sobie dorobić do głodowych zarobków. Zresztą niemożliwością jest ustrzec się przed kasowymi blindami ani też policzyć pasażerów. Roją się jak pszczoły, a gdy sztorm lub deszcz, to tworzą w ładowniach takie kopczyki jak mrowiska. Rozróżnisz, świecąc lampką, tylko blade, spocone twarze, przylepione do siebie jak okienka w pszczelim plastrze. No i widać kolorowe strzępy ubrań, gdy zaczną piekielny rejwach z powodu dzbanuszka pitnej wody, który zginął w drodze do rąk przeznaczenia, lub też z powodu pomyłki w używaniu żony wśród ciemności nocnej. Kobieta tłumaczy z płaczem, że nie wiedziała kto... Nierzadko błysnie kryz, a wtedy przybywa dodatkowy trup. Przyjmują to ze stoicyzmem. Allah tak chciał. Allah też zezwolił, że wiezie ich biały człowiek, giaur. Na pokład w tym rejsie niemal nie wychodzili, ponieważ tonęliśmy w wodzie, nie rozróżniało się morza od nieba. (Ich krótka, ale gwałtowna jesień...) Kiedy dobijaliśmy do Singkil, po burzliwej nocy zapanowała śliczna pogoda, już znaleźliśmy się w rejonie wiosny. Pasażerowie wyłazili z zapiekłych dusznych nor, w poplamionych obłoczkach,

103

\*\*»

które kiedyś były białe, przeważnie boso, udając ważnych i nie oglądając się za siebie. Albowiem Allah chciał, żeby oni dojechali, a tamci żeby umarli. Chociaż wycieńczeni, z ochotą dźwigali swój dobytek — matę do -spania, woreczek ryżu, niewielki tobołek z odzieniem, czasem koc. Brzegu doczekali się stojąc na pokładzie, inni sunęli schodniami z pokładu na pokład, szukając znajomych. Tuż przed brzegiem raczyło wyjść do nich z kabin pasażerskich dwóch rzeczywistych dostojników, ubranych ekstra po mużułmańsku. Orientujesz się, prawda? Wystarczającym dowodem ich zamożności były sumy rupii wyłożone za przejazd w kabinach pasażerskich i pękate walizki, których pilnie strzegli. Gdyby nie sztormy, to kto wie, czy nie zarządziłbym alarmu, żeby się przekonać, z którymi walizkami będą skakać do wody. Intrygowali mnie, ale nie do tego stopnia, żebym miał wykroczyć poza pomysł zabawy i psikusa. Na ich widok część pasażerów omal nie runęła plackiem. Wielkie turbany na głowach dostojników trzęsły się z umiarem w akcie pochwały za czołobitność i wierność tej biednej czeredy. Być może, że wieźli setkę lub pięć setek swojej czeladzi celem zasilenia band Darul Islam. Pies ich trącał... Ja musiałem wysłuchiwać żalonych meldunków o trupach ojców, matek, żon, mężów, dzieci. Meldunki składali najbliżsi zmarłych, w zasadzie ograniczały się do żądania przeniesienia zwłok na ląd. Morskiego pogrzebu oni nie uznają. Ale ja ani zajrzałem do ładowni, nawet powiedziałbym, że czuję strach przed trupami, to zostało z ostatniej dla mnie fazy wojny, kiedy zobaczyłem w rejonie Wału Pomorskiego, zdaje się koło Piły, stopy więźniów z obozu koncentracyjnego, pomordowanych na drodze, w rowach czy koło bauerowskich zagród. Takie powiązane pęczki... Brr. A ja musiałem czołgiem w odwecie...

Zleciłem więc sprawę bosmanowi, zaczekałem, aż po-

104

liczy, niebawem doniósł, że osiemnastu, więc nie było czym się trapić i nie trzeba się było martwić o raporty do policji. Wyszliśmy na miasto, a właściwie popłynęliśmy tramwajem wodnym. Jednak nasze mieszkanie było nie sprzątnięte, więc powędrowaliśmy w głąb, może się coś zobaczy nowego, no i zobaczyliśmy... Tę egzekucję i cierpienie dziewczynki.

Kiedy wróciliśmy, moja łajba już była wysprzątana z trupów i wylizowana; biło w nozdrza. Na miejsce trupów do jednej ładowni waliła się kopra, bez składu i ładu, którą mieliśmy zawieźć do Dżakarty. Robotnicy prawie nadzy, z pętającymi się koło bioder szmatami i z białymi lub czerwonymi łachami na głowie, bardziej robili sztuczny tłok niż pracowali. Powiedziałem: bez składu i ładu. Skląłem za to Zenka, tego rudawego, który był odpowiedzialny za ładowanie, ale powiedział, że on także jest brzydki wy na trupy i nie chce psuć sobie smaku do jedzenia i spania z powodu tych głupich pięciuset dolarów, które mu „Pełni” wypłaca miesięcznie, i z kolei obsztorcował bosmana, miedzianego, lśniącego mieszańca, ale ten uchylił się od spodziewanego ciosu i zaskomlał cichutko a przypochebnie. Owszem, on pierwszy poleci za burtę z rąk pana (tuan, tuan!) chiefa i chętnie osieroci swoje dwie żony i sześcioro dzieci, żeby pan chiefa mógł wrócić szczęśliwie do jednej swojej żony i dwojga dzieci, hen za morzami, górami i lasami, cóż jednak miał poradzić (choć do jego obowiązków należy osprzętowanie), cóż jednak miał poradzić, jeśli przyszli oficerowie i kazali ładować szybko, piorunem (nauczył się tego słowa od Zenka), z nimi nie ma dyskusji, ponieważ rządzi wojsko. Zostawili sierżanta do pilnowania — o! — stojąc przy bak-burcie, pokazywał na fokmaszt, na którym siedział osilek połyskujący jak lustro i patrzył przez lornetkę na góry otaczające miasto i na dżunglę. Nie byłem pewny,

105

i

I

tzf patrzy w tę stronę, ale był bardzo ważny w swej postawie. i coś mnie tknęło. A jeśli on się nie bawi tą lornetką? Bosman twierdził, że ten sierżant ciągle tak /rozgląda się po okolicy i ma czas tylko pokrzykiwać, żeby szybciej robić, więc robotnicy tłoczą się i włazą jeden na drugiego. Nie będzie niespodzianki, święte słowa chiefa, jeśli przy byle fali statek pójdzie na dno, bo jest wyraźnie przechylony, ale i bez tego trzymowałby, ponieważ ładunek pasażerów będzie lżejszy od ładunku kopry. Zakląłem siarczyście, lecz na próżno, przecież ten sierżant nie usłyszy i ja też nic nie poradzę, podobnie jak bosman, trzeba się było zdać na łaskę Bożą, tu rządzi wojsko, ciągle wszystko jest dyktowane obroną przed rebeliantami, więc zostawiłem Zenka i przykazałem bosmanowi i brodatemu starszemu marynarzowi, któremu raczej pasowało być w Darul Islam niż w marynarce prezydenta Sukarno, żeby przynajmniej regulowali ruch robotników, i poszedłem na swoją kwaterę. Zawsze tak robiłem, i koledzy też — przyjemna kwatera była zagwarantowana umową „Pełni” — jakby z bojaźni przed całkowitym przyzwyczajeniem się do życia koszarowego, do tego akwarium na statku, i żeby dzięki tej namiastce mieszkania nie zapomnieć o życiu rodzinnym, normalnym. (Nawet ja, nawet ja nie chciałem zapomnieć.) Poza tym nie mogłem znieść brzydoty tej mojej łajby. Kiedy sunęła przez morze, to woda częściowo zakrywała jej odrapania, rdzę, pokan-cerowania, wyglądały one jak rany odniesione w waft-ce, wzruszające to — ale na postoju przypominało mi się robactwo toczące trupy pod Modlinem, kiedy przez cztery dni na skwarze sierpniowym nie mogliśmy ruszyć dalej z pozycji na brzuchu, ponieważ obrona niemiecka okrzepła i zabijała. Ciągle te skojarzenia, psiakrew. Przede wszystkim jednak widok tak bezlitośnie skancerowanego statku, ośmiotysięcznika, sprawiał mi

106

ból; już niedługi żywot pisałem statkowi, chociaż mógłby jeszcze popływać kilka lat. Nie było czasu i sposobności nie tylko na dok, ale nawet na zwykłe malowanie kadłuba, smarowanie i oliwienie pierścieni przy szalupach czy też pokostowanie relingów. A niech to ślag trafi — jak mówi Zdich — poszedłem wypocząć. Przedzierałem się przez roje krajowców, którzy zobaczywszy Europejczyka dostatnio ubranego, zebrzą i tylko najleniwszi nie rzucają się na ciebie, siedzą w kucki w podcieniu bambusowych ruder i ograniczają się do wyciągania ręki. Wiruje koło ciebie to towarzystwo w sarongach, a najczęściej w zwykłych przepaskach na biodrach, jak

karuzela na jarmarku. Czasem pytam, czy takie bractwo będzie kiedykolwiek zdolne do realizowania wielkich planów... Rozrzedzona, leniwa krew, brak witalności... Nie wiem, nie wiem, jak to z nimi będzie. Przepraszam, znów dygresje. Bo przecież tylko ty jesteś od dygresji i od wniosków. Powiesz od razu: zostaw to mnie, są tylko dwie możliwości, rozpaczliwa egzystencja wśród robactwa i wrzodów lub komunizm. Jak będą tu rządzić nasi, to resztę załatwimy. To znaczy, załatwią sobie... Przepraszam. No, no, już dochodzę do kwatery, z prawdziwą ulgą w sercu i uciechą. Nie mrugaj oblesnie, ty myślisz Bóg wie co, jakbyś nie słuchał, co dotąd powiedziałem. Człowiek chciał odpocząć, nic więcej. Owszem, do obsługi była taka drobna, owalna twarzyczka Sari... Młoda, zupełnie młoda. Ale nie narzucała się i nie zdręczała jak tamta czarna (gdym jeździł w Suezie), która chciała mieć koniecznie dziecko. („Ty mi się tak podobasz, chcę mieć dziecko z białym".) Sari natomiast nie, odziewała się dość przyzwoicie, chociaż ciągle po tamtejszemu, jej twarzyczka wydobywała się jak płomień z białego stroju. Złe porównanie? Znów mrużysz oko, ty stara świni. Któryś ty właściwie rocznik? Ja bez żony tępieję, tylko ze mnie.

107

Więc bez żadnego niebezpieczeństwa dla mnie, kazałem Sari zrzucić to, co niepotrzebne, i zostać tylko w tym, co konieczne, opaska na jej wąskich biodrach połyskiwała bielą, Sari ciągle krążyła jak ptak i zmagala się, żeby pachniało w tej kwatrze, a jej nagie piersi w świetle księżyca rzeczywiście wyglądały jak dwa duże grona z mosiądzu. Jesteś świnią i już więcej na ten temat nie będę mówił.

Nasza kwatery składała się z dwóch pokoi i kuchni, trzeci pokój był zarezerwowany dla innych, w tym wypadku zajęli go Niemcy. Oni też nagle pojawili się jako funkcjonariusze „Pełni", nie wiem, na jakiej zasadzie, czy za pośrednictwem ich rządu, jak my za pośrednictwem naszego, czy też zupełnie na własną rękę. Zadawałem sobie to pytanie, ponieważ nie podobali mi się, do ich fizjonomii już dorabiałem hełmy ze swastyką; być może — po klęsce Hitlera — szukali szczęścia w świecie, iluz wybrało tę drogę i nadawało ton wojnie w Indochinach czy też w Algierii. Budziły się stare obsesje. Ich obecność za ścianą drażniła mnie i psuła nieco równowagę ducha uzyskaną dzięki nieśmiałej, łagodnej obecności Sari. Chcąc nie chcąc musiałem słyszeć ich szwargot. Paskudny, gardłowy język. Zdawało mi się, że łapię sens szwargotu, i to mnie trochę uspokajało. Do pojedynczo rozeznawanych słów „Teufel, gelbe Ras-se, wilde Ordnung, keine Ideologie, die Puppenfreiheit", dopowiadałem sobie hitlerowską nienawiść do wszystkiego, co się nie rodzi z ducha germanizmu. Powoli dorozumiewałem się, że dyskutują o dopiero co oglądanej makabrze z udziałem prokuratora i zakończonej tańcem kogutów. Jednak nie potrzebowałem (bo nie chciałem) zmieniać zdania powziętego w czasie wojny i uspokajałem się. Sari przyrządziła na kolację krewetki z sosem bambusowym, płetwy rekina i zupę ryżową z dodatkiem raków, i chociaż pomyliła porządek menu,

108

to jednak byliśmy z niej wszyscy zadowoleni. Przed zapadnięciem zmroku przybiegło do niej nagauskie dziecko

O żółtawej skórze i żółtych ząbkach, Sari od razu przyznała się, że to jej dziecko spłodzone z chińskim kupcem towarów tekstylnych, i wtedy już całkiem byliśmy zadowoleni. Zenek wrócił na statek pilnować załadunku, pod jego okiem statek się już trochę wyprostował, zaś Tadek i Zdzich pomaszzerowali w sitowie, trochę po-kumkać, bardzo lubili żaby i starali się przekonać rybaków, że nie wystarczy łowić żaby czy ryby, ale należy im dać możliwość rozwoju, bo inaczej całkiem je wytępią i nie będzie po co tu przyjeżdżać. Rybacy kiwali głowami tylko z uprzejmości, stare żabojady w kapeluszach jak rurki lub, na odwrót, jak kłapciaste rondle i w portkach podwiniętych po kolana. Zostałem sam

I patrzyłem z balkonu na piętrzącą się dżunglę. Przy zachodzie słońca drzewa wyglądały bardzo uroczyście. I odbywa się jakby wcielenie nocy. Ptaki latają coraz niecierpliwiej, więcej ich niż much, i szukają gniazd. Mędrcy w turbanach przestali bić ukłony, a na pół pogańska gawiedź przestała się przyglądać. Pomyślałem, że Prorok miałby z tymi swoimi kibicami jeszcze dużo roboty, gdyby zmartwychwstał. W tym momencie natomiast zjawił się na balkonie (balkon był wspólny) kapitan Karl; sprężysty krok, och, ty ludojadzie... Poczul się zdopingowany moim

bezinteresownym patrzaniem na dżunglę: — Was neues? — spytał tonem niespokojnym. On coś wyczuwał. Ale jego uczucia nie istniały dla mnie. Pokazałem mu plecy i wróciłem do pokoju, w którym połyskiwała skóra Sari, jakby dopiero co się umyła. Nie o to jednak chodzi, gdyż i tak poszedłem spać. W usypianiu przeszkadzały gardłowe głosy Niemców, ale nie chciałem do nich wysyłać Sari, żeby nie zrobili jej jakiejś krzywdy. Już wytarczy jej tego ciołkowate-go Chińczyka.

109

Wczesnym rankiem dokonał się w Singkil przewrót co się zowie. Pułkownik Aidit Manu, dowódca miejscowego garnizonu, zbuntował się przeciw rządowi centralnemu, a swego dotychczasowego szefa i wojskową podporę, prezydenta Sukarno, nazwał marionetką w rękach wszechświatowego bolszewizmu i zdeklarował się bronić idei prawowiernej muzułmańskiej Sumatry przeciw zgniliznie oraz odpowiednio zaagitował podwładnych sobie oficerów i żołnierzy. Od razu o tym wszystkim doniosła miejscowa gazeta, widocznie wydrukowana już w nocy przed ogłoszeniem zwycięstwa rebelii. Aidit Manu kontrolował całą wyżynę Batak i dolinę bagnistej rzeki Sinpangk. Już się napatrzyłem, jak o konieczności zmiany rządu agituje się żołnierzy na peryferiach Indonezji. Czarująca i przerażająca nagłość, z jaką się to odbywa, nie może mnie jednak zachwycić, dużo refleksji pcha się do mózgu — ich wolność jak dziecinna zabawka... Jak to gardłował ten Niemiec? Puppenfreiheit... — Zakazana mord! No więc na tym placu, na którym urządzano zabawy i egzekucje, zebrano batalion wojska i po długim trzymaniu na baczność zgłosił się do nich ów pułkownik Aidit Manu, z marsową miną na twarzy i z serią bojowych orderów, swoich i pożyczonych, i oświadczył, że dłużej tak nie mogło być, że brakło cierpliwości w sercach prawowiernych muzułmanów i nacjonalistów i że on wziął na siebie rolę... itd., itd. Jego świta salutowała każdemu jego słowu w świetle wschodzącego nad dżunglą słońca. Poza tym nad dżunglą wytryskiwały rakiety. Batalion na komendę trzasnął obcasami, rozległ się krótki, zgodny stuk, jak odpowiedź: „tak jest”. Pułkownik Aidit Manu kazał z kolei wezwać drugi batalion, którego nie był zbyt pewny, ponieważ tam służył w randze majora daleki kuzyn kuzyna prezydenta Sukarno. Na dodatek ojciec kuzyna kuzyna także był lu-

110

dowym nauczycielem, jak kiedyś podobno Sukarno. Na wszelki wypadek majora zatrzymano aż do wyjaśnienia, a batalion został przyprowadzony na plac przez kapitana, który chciał być majorem i na to konto miał już nowy mundur z odpowiednimi dystynkcjami. Ręczył głową za swoich chłopaków i wywiązał się z zadania należycie. Trzeci batalion stanął dęba, ale seria ognia maszynowego wypucowała umysły tych, co byli chwiejni lub niezdecydowani. Blisko był kanał, głowy sterczały z wody jak boje na morzu. Odpowiednio też wyperswadowano grupkom gromadzącej się ludności. Zgiełk działał na nerwy pułkownika. Niektórzy nie zdołali jeszcze otrząsnąć kurzu z szat i musieli czym prędzej ganiać do swoich wiosek na pograniczu dżungli z wieścią, że żadnych zmian z łaski Sukarno nie zauważyli i że nie otrzymają nauczyciela, szkoły nie będzie... W innym wypadku nie załatwiono im dostawy nowej rasy kogutów i nikt nie chciał rozmawiać na ten temat po ludzku.

Zdych, który nie wrócił z zabobrania na kwaterę i pełnił nocną wachtę na statku, doniósł mi, że sierżant zszedł z fokmasztu i ostatnią jego czynnością było zawieszenie na maszcie bojowej chorągwi Proroka i zakaz dalszego ładowania kopry aż do odwołania. Okazał się on wielce, może aż nadto uświadomiony i na protesty Zdycha w związku z ładunkiem odpowiedział, że może sobie nabrać kamieni dla równowagi, z kopry wyciąga się glicerynę do materiałów wybuchowych i on o tym wie. Agent milczał jak skamieniały. Moim zdaniem nie należało się spierać o ładunek, zgodzić się nawet na wy-gruzowanie i przygotować się do natychmiastowego odjazdu. Niewiadomą była postawa załogi statku, liczyłem na to, że większość zechce wrócić do rodzin. Ale zaraz po śniadaniu przygotowanym przez piękną i dziecinną Sari, która spełniała swe obowiązki bez względu na zmianę rządu, zjawił się u mnie pułkownik Aidit Manu

111

w towarzystwie dwóch adiutantów przysługujących mu z tytułu nowych godności. Trzeba widzieć moc sznurów i gwizdków, i różnych wstęg na ich piersiach.... Trochę upodobnili się do plemiennych wojowników. Natomiast pułkownik podtrzymywał wygląd nowoczesnego zaciężnego

sztabowca. Wysoki i jednocześnie cięż-kawy. Cechy tej przysporzyła mu zwalista budowa ciała i wiek... Miał chyba ponad pięćdziesiątkę. Aż dziw, że w tym wieku chciało mu się robić takie brewerie.

Zasalutował, zakomunikował, kim jest i w jakim charakterze występuje dziś, poczekał, aż go poproszę o zajęcie miejsca i powiedział, o co mu chodzi, dopiero wtedy, gdy zapytałem, czym mogę służyć. Zachowywał się tak, jakby przewidywał nasz opór, i to budziło nadzieję, że nowy władca tego rejonu nie czuje się zbyt pewny. Oznajmił, że prosi mnie o przygotowanie statku do przyjęcia batalionu jego żołnierzy i przewiezienia ich jeszcze dzisiaj, a najpóźniej jutro do Sabangu, na pół-nocno-zachodnim cyplu Sumatry, celem zrzucenia tam jarzma Sukarno i samozwańczego generała Nasuntion. Cała ludność musi być jak najszybciej uświadomiona o łotrswach tamtej klikki i to uczynią jego żołnierze.

Przyznam się, że propozycja zaskoczyła mnie. Od razu też straciłem całą wspaniałą zyczliwość dla kwatery, dla natury otaczającej i kwitnącej wokół tej kwatery, zauważyłem, że kot pętający się po pokoju Sari jest bez ogona i wstrętny, a Sari powinna przyoblec się w bardziej obyczajny strój. Starałem się zyskać na czasie i zapytałem zapalając papierosa:

— Czy pan pułkownik może mnie skomunikować z „Pełni”?

— A co to jest? Nie znam.

Wyjaśniłem, co się kryje pod tym skrótem. Oświadczył, że to niepotrzebne, ponieważ cała władza przeszła w jego ręce. Cholera, co robić z ludźmi, którzy uważa-

112

ją, że jednym gestem zaprowadzili ostatecznie nowe prawa od krańca do krańca? A więc nie z tej beczki...

— Nie zawierałem umowy na przewożenie wojska. Tym się trudni marynarka wojenna. Widziałem w Dja-karcie i Surabaja dużo łodzi desantowych, a nawet specjalne statki. Mój kolega, kapitan, zaciągnął się niedawno na jeden taki statek. Więc tam trzeba by szukać pomocy. Mój statek jest zwykłym transportowcem do przewożenia kopry...

— Wydam zakaz wywożenia kopry do bloku wschodniego.

— To pańska rzecz, panie pułkowniku. I ja naprawdę nie wiem, kto zabiera koprę z Tandjung Prioku.

— Rozkazuję panu! — Udawał, że wstaje. Wypowiedział ostatnie słowo. Adiutanci wyprężyli się.

— Rozkazy pańskie nie mogą mnie obowiązywać — odrzekłem spokojnie, ale czułem, że z trudem tłumię rozdrażnienie. W tym momencie pułkownik z powrotem przywarł do krzesła i zaczął „grać” ze mną. W jego mniemaniu była to gra wysokiej klasy.

— Idą czołgi, nasze czołgi. Co pan na to?

— To pańska rzecz. Mogę panu życzyć jak najlepiej.

— Ale i bez czołgów jesteśmy silni.

— Bardzo się cieszę.

Zdenerwowała go ta rozmowa. Podejrzewał z mojej strony lekceważenie i podniósł pięść, lecz w ostatnim momencie skierował ją nie na stół, lecz na swoje kolano, na którym siedziała mucha, w jego źrenicach zapalił się zły błysk; zamknął powieki. Po chwili otworzył oczy do połowy, te złe błyski trwały jeszcze w głębi źrenic. Przy adiutantach nie pozwalał sobie na otwarty gniew, żeby się nie ośmieszyć. Bo skoro nie zadrzałem przed rozkazem...

— Ten rozkaz to był żart.

— Pańska łaska.

8 — Dziewczyny i chłopcy

113

— Nie orientowałem się w pańskich powinnościach, panie kapitanie. Ale jeśli chodzi o umowę i o tę „Pełni”...

Nie dał czasu na zaprzeczenie, bo moją uwagę zajęło odmaszerowanie adiutantów, co stało się w wyniku jednego gestu pułkownika. Nawet nie spostrzegłem. Widocznie umieją czytać najmniejszy odcień ruchu. To raz. Po drugie: widocznie woła pułkownika przebijają nawet bardzo tępe głowy, niczym strzały. Adiutanci odeszli jak automatycznie popychane posążki ubrane w mundury,

owijacze nieco psuły obraz. Teraz pułkownik uśmiechnął się blado, lecz figlarnie, jakby czekał na podziękowanie, iż darował mi świadków mojej hańby, która nastąpi. Był to bez przesady — gdy siedział i nie widziałem zwalistości — przystojny mężczyzna, zaś obrzękłość na jego twarzy na pewno była spowodowana nie czym innym, tylko przemęczeniem. Ten stan potwierdzały także podkrążone oczy, niewyspane, bardzo często opadające powieki, nad którymi sterczały siwe brwi, długie i twarde. Włosy zarzucane smagłymi dłońmi do tyłu wysmuklały twarz. Drgały we mnie iskierki sympatii dla niego — na pewno młodsi u Sukarno zabrali mu możliwość awansu i dostojęństw — i było mi przykro, że zadaje sobie tyle trudu... Iskierki zgasły, gdy usłyszałem słodkie, ale brutalne słówka:

— Niech pan nie robi z siebie durnia.

Cofnąłem się w krzesło raczej odruchowo niż z jakimś określonym zamiarem. Owszem, krew uderzyła mi do głowy. Pułkownik znów zmienił ton i odtąd przez kwadrans grał podwójną rolę — uwodziciela lub łama-cza mojej woli.

— Mówię to jak pański przyjaciel.

— Wobec tego oddycham lżej.

114

\*— No to prawie porozumieliśmy się. Pan nie poza-• i je, stanie się pan sławny.

— Nie potrzebuję tego, i to w takich okolicznościach. — Jakich okolicznościach? — spytał podejrzliwie,

lecz o jego uczuciach mówiły tylko rysy twarzy, a nie głos.

— Wojennych. Przeszedłem straszną wojnę i mam tego dość.

Rysy pułkownika złagodniały, z kolei on poczęstował mnie camelami. Przyjąłem na dowód, że nie czuję do niego urazy. Teraz on rozwinął kunszt elokwencji. W imieniu rządu powstańczego podpisze ze mną i moimi kolegami umowę na czas, na jaki będziemy sobie życzyć. Dobrze by było jednak przynajmniej na rok, ponieważ taki czas (plus minus) będzie potrzebny do całkowitego obalenia reżimu Sukarno-, i wtedy nastąpi wieczny pokój, mianowicie Holendrzy chętnie oddadzą Zachodni Irian bez boju, byle w godziwe ręce. Nie będzie się starał kruszyć oporu moich kolegów, zada im tylko krótkie pytanie: tak, nie? Jeśli nie, to da im jakąś łupinkę i niech rozbiją się o rafy lub niech wybiorą drogę przez góry i dżungłę... Tam dziki zwierz czeka na białe mięso, no i k l e b a n y jeszcze nie ostygły-

— Czy muszę tego słuchać? —r spytałem oburzony.

— To nie tyczy pana — zareczył skwapliwie. I dalej opisywał dobrodziejstwa, jakie spadną na mnie, gdy podpiszę umowę. Ma się rozumieć, pensja będzie wyższa niż obecnie, podwójna.

Wystarczy? Dziesięć tysięcy rupii miesięcznie i tysiąc dolarów amerykańskich. Zgadza się?

— Zaciągnął się papierosem i na moment oddał się czarowi interesu, jaki proponował, brakowało tylko „ach, ach”. Potem zerknął na mnie nieprzyjaźnie, ponieważ znów uśmiechnąłem się lekceważąco. Poderwał się i krzyknął po krótkim zastanowieniu:

115

• -\*\*"!"—|<<« wini ufa i. jłam

— Daję panu pięć minut do namysłu. Powiniennem pokazać facetowi drzwi, ale dobry jakiś duszek oświecił mnie i skłonił do rozwagi. Zgoda na propozycje nie wchodziła w rachubę, ma się rozumieć... Ale należało się zastanowić, co teraz zrobi pułkownik i co ja zrobię na wypadek aktu gwałtu. Koledzy mogli nadejść lada moment, być może Sari pobiegła po nich, bowiem nie słyszałem z kuchni żadnego szmeru, ale cóż z tego? Przecież adiutanci już prowadzą batalion wojska... Przy każdym drzewie kokosowym usadowi się pluton. A jednak zgody nie mogło być. Na szczęście i pułkownik przeżuwał myśli, które go broniły przed ostatecznością. Jeszcze ufał argumentom i tylko konieczność pośpiechu i niecierpliwość pchały go do brutalnych chwytów. Patrzył na zegarek. Sekundnik, syk, syk-syk-syk, zagarnął minutę, syk-syk-syk, zagarnął drugą minutę... Pułkownik popatrzył na mnie i roześmiał się jak dziecko.

— Dobra zabawa, co? — Podtrzymał śmiech i zsunął rękę z zegarkiem ze stołu. — Zostało mi tylko kilka minut na rozmowę z panem, bardzo przepraszam, że się tak spieszę, ale muszę dopilnować osobiście sądu ludo-wego; nad zdrajcami. Sprawiedliwość jest tym celniej-sza, im

szybsza. To nasze stare przykazanie plemienne. Ja byłem przywódcą plemienia nad jeziorem Tobą, zanim Sukarno narzucił swoje porządki, a komuniści jemu. Tam mój pałac... No więc w tej sytuacji... — ważył słowa, dłonią pogłaskał prawy policzek, jakby chciał zetrzeć zmęczenie, lecz ja dostrzegłem na twarzy wyraz goryczy i męki. Mam wrażenie, że nie uznawał porażki i postanowił tylko odwlec swoją /decyzję. — Umowa z panami nie jest tak konieczna, jak by się komuś wydawało. Ostatecznie zostają Niemcy... Tuż za ścianą. A wiadomo, Niemcy...

— Tak, tak — przytaknąłem z entuzjazmem. — Tu

116

się pan nie pomylił. — Omal nie powiedziałem, że bardzo mi to na rękę.

Godnie wytrzymał mój entuzjazm i ciągnął dalej, zerkając na zegarek, rzeczywiście mu się spieszyło, i kiedy skończył się mój paroksyzm radości, on jeszcze bardziej zabrnął w fanfaronadę — jak to dadzą sobie radę bez niczyjej pomocy... Oni, rebelianci. Już słyszy huk czołgów. Ale to za długa podróż do Sabang, czołgi zostawi tu na straży porządku, natomiast żołnierzy piechoty załaduje na mój okręt lub na ten statek dowodzony przez kapitana niemieckiego. Poprowadzi ten statek on, osobiście, pułkownik Aidit Manu. Tak, tak, może pokazać dyplom nawigacyjny. Był przez parę lat oficerem na statku japońskim i między zwrotnikami, a także wśród podwodnych skał potrafi się obracać jak u siebie w domu.

Wpatrzył się we mnie, czy wierzę.

— Gratuluję — powiedziałem uprzejmie. — Tak będzie najlepiej, bez kłopotu. — Przy tych słowach podniosłem się jak do pożegnania. Ale Aidit Manu uczynił gwałtowny ruch protestu. I teraz powiedział coś, co mną wstrząsnęło. Złości przeciw niemu, sobie i wszystkim świętym, jakie przeżyłem w tak zwanym minionym okresie, nie trzeba ci tłumaczyć. Mój pułkowniczek mianowicie... Podsunął swój pysk pod mój nos, wdarł się w pokłady moich osobistych spraw jak świński ryj. Posłuchaj, co on nie nawygadywał... Że on wie, jak mi się w kraju powodziło, i ponieważ przed decyzją może mnie powstrzymuje bo jaźń przed powrotem, to on gwarantuje mi wieczną służbę w marynarce indonezyjskiej. A jeśli bym zrezygnował z tej możliwości, jego zdaniem zaszczytnej, to wyrobi mi miejsce w sławnej marynarce syjamskiej, ma tam chody. Nie cofnie się także przed załatwieniem mi posady w marynarce japońskiej, ma tam znajomości z czasów wojny. Po przyjacielsku ra-

117

dziłby jednak flotę syjamską, pensja wysoka i płatna w żywych dolarach.

Wyraźnie się spoufalił i mówił jak swój do swego, korzystał z mojego wstydu, który brał za szok entuzjazmu, przyprowadzając człowieka o dławienie.

A to mi podrzucił pasztet! Widocznie gdzieś popuściłem farby, wbrew intencjom. Wiesz, co. Rok trzydziesty siódmy... nie skończone gimnazjum, nie skończona Szkoła Morska, przemysł broni dla Czerwonych, bez wiedzy dowódcy statku, a potem Barcelona. O, nie ja sam, ktoś mnie zawojował. Każda śmierć była pochwałą rewolucji, podniesienie pięści, salut, salut, bratanie się. Zapadała noc, ale takiego szału rewolucyjnego już nie przeżyję drugi raz. Ro-man-tyzm! Zabiłem pierwszego faszystę i opilem się wódką z jego manierki. Jakże byłem mu wdzięczny, że pozwolił się zabić. Madryt, Katalonia... Przeżyłem za dużo, byłem za młody. Wróciłem z Hiszpanii, udało mi się zmylić pogonię, osiedliłem się na kresach wschodnich z myślą o Związku Radzieckim, lecz zamiast tego ożeniłem się od razu! W czterdziestym już byłem dzieciaty. Zaraz drugie dziecko. Owszem, pędziłem Szwabów od Narwi do Wału Pomorskiego, ale nie to było na początku. A co było? Nietypowe, będziesz miał trudności z klasyfikacją: dostałem się do organizacji sikorszczaków, specjalna grupa do sabotaży kolejowych w przeszłości. Dlaczego? Wierzyłem, że będziemy walczyć przeciw Hitlerowi. Sprawdziło się, tylko nie tak... Byłem ścigany: Rewal, Ryga, Czerniowce — oto punkty mojej działalności, która jeszcze nie miała nic wspólnego z sabotażem. Wróciłem do Baranowicz, kiedy Niemcy uciekli. Żona z dziećmi pomordowani — za mnie! Potem umarłych więcej się kocha niż żywych. Przysięga i marsz do wyzwolenia Polski. Wtedy Hiszpania pomogła mi, radziecki politruk był mądry. A po wojnie wezwali mnie do

318

marynarki, cóż, pływać to pływać... Byłem sam, rodzina zginęła... A jeszcze później wygrzebali z

papierów tę Hiszpanię, wyszło tak, jakbym zapaskudził szeregi... Postawiłem się i... straciłem statek. Byłem księgowym w pegeerze w Olsztyńskim, no tak, księgowym. Ożeniłem się po raz drugi. Jak się wydobyłem? Raz na tydzień przyjeżdżałem na Wybrzeże, w pociągu spotkał mnie serdeczny kumpel, ocalał w całym tego słowa znaczeniu. Ale nie mógł zrobić więcej, niż zrobił. „Męczysz się?” „Jeszcze jak, powiedziałem. Finansowo i psychicznie. Dwoje dzieci... A żona nowoczesna. Nie mam na nowoczesność”, „Finansowo niewiele będziesz miał lepiej, popracujesz jako robotnik w porcie. Zobaczymy, co się da wykombinować dalej.” Dalej działała już historia. Ale nie chciałem niczego dochodzić, zbyt wiele miałem na pieńku, i okazało się, że nie byłem taki dobry i potrzebny, jak mi się wydawało, więc machnąłem Teką, nie chciałem rozróby, o zamierzonych przez sikorszczaków sabotażach na wschodzie też wiedziano, chociaż to nie były moje zamiary — z tym „na pieńku” wyjechałem, gdy się otworzyły możliwości zatrudnienia we flotach krajów nowo wyzwolonych. Trzecie dziecko było w drodze, córeczka... Ostatecznie wybrałem się w świat dla rodziny. Jeszcze jeden skurcz mięśni i woli i może wykaraskają się z biedy... A żona ku nowocze-1 'sności...

! Nie obnosiłem się ze swoją krzywdą, nie starałem się nawet o zwrot legitymacji partyjnej, najlepszy dowód, że wyjechałem. Ale widocznie gdzieś coś wypaplałem, a ktoś czuwał nade mną tu albo jeszcze w Polsce. Bo oto ten pułkownik jak swój do swego mówi, że ja bałbym się wracać z nową łatką... Czyżbym stał w opozycji do swego rządu? Mój umysł zanotowałby takie pytanie mechanicznie, gdybym był w kraju, tu, w obliczu propoey-

119

ej i, która przeobraziła się już z technicznej w polityczną, umysł w szalonej panice rejestrował owo porozumiewawcze mruganie. Pułkownik brał mnie za gardło. Może rzeczywiście coś wypaplałem? Ale każde słowo zostało wydęte i musiałem to uzmysłowić temu łajdakowi. Strasznie to zabójcze zajęcie być w opozycji do własnego kraju wśród obcych. Gdy nawet tylko oni wmawiają ci taką ideę.

Prawda, pogardzam pewnymi ludźmi w kraju, ale stanowią oni, w najlepszym dla nich wypadku, wążiu-teńki wycinek życia i dziejów, natomiast w kochaniu kraju jestem bezwzględny egoistą. Ten pułkownik nie uważał mnie, w najlepszym znów dla mnie wypadku, za człowieka na stałej pozycji; wiem, powinienem zaprzeczyć temu bez uprzejmości i lawirowania. Cóż mi te mahmudy robią? Zamordują. Ale świat się przez to nie zawali. Żona? Żal by mi było dzieci. Co one winne, co one wiedzą?

Tyle naraz myśli w ułamku minuty wzburzyło się w mojej głowie. Zrobiłem tak, jak powinienem zrobić. Zmobilizowałem się do uderzenia; gdy będzie trzeba, to całym ciałem, jak czołgiem. Ale zanim przemówiłem, pułkownik wstał i ruszył ku drzwiom, a otworzywszy drzwi obrócił się na pięcie twarzą do mnie i powiedział cedząc słowa:

— Nie mam teraz czasu, panie kapitanie! Rozmowę dokończymy później, może już po południu. Teraz proszę na plac, gdzie zostanie wymierzona sprawiedliwość zdrajcom. Właśnie tam...

kontynuacja rozmowy. Pańscy koledzy nie muszą być obecni, Niemcy już są zawiadomieni. — W jego oczach widziałem takie zimne okrucieństwo, jakie ja powinienem był okazać. Takie okrucieństwo miałem w oczach, gdy w czołgu mój wzrok upodabniał się do spojrzenia działa. Ale pułkownik wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Drżałem z wście-

120

kłości. Właściwie mogłem lekceważyć jego życzenia, które wyraził jak rozkaz, ale uznałby to za tchórzostwo, więc wypilem whisky and soda i zabierałem się do wyjścia. Sari biegła zdyszana wprost z ulicy, a za nią tuman kurzu. Krzyczała, otulając nagie piersi: — Uciekaj, tuan! Twoich frendów prowadzą na plac sprawiedliwości do kata. Nie bój się, uciekaj, ja ci będę towarzyszyć. — Ubawiła mnie i złość zniknęła. O kolegach już przecież wiedziałem, tym bardziej musiałem tam iść. Dziwiła mnie tylko uprzejmość w stosunku do mnie. Wierzył jednak w mój akces? Skrzywiłem się, a Sari wzięła ten grymas za sprawdzian zbliżającego się płaczu i poczęła nalegać natarczywiej, żebym uciekał. Ona ze mną... Zakręciła się koło bagażu, pakowała mój skąpy, podróżny dobytek do plecaka. Pokazała na szafę. „Nie? Nie otwierać?” Zwinną, lśniącą, z promieniami zębów. Pomyślałem, że gdyby inne warunki i inny świat, to Sari ubrana w przepiękne stroje wschodnie,

obłożona kolczykami, brylantami, pierścieniami, spowita w jedwabie, świetnie nadawałaby się na wschodnią oblubienicę towarzyszącą swojemu starszemu panu, zakochaną w nim. I nie pokazywałaby swojej piękności dopóki pan nie podniósłby zasłony z jej twarzy...

— No — powiedziałem. — Nie pakuj, chodź — przykazałem, ponieważ nie umiałem inaczej odczepić się od jej wrzasku. Ale stała się jeszcze wrzaskliwsza zobaczywszy dokąd ją prowadzę, ledwie uwolniłem się od jej ręki. Odepchnięta pobiegła w uliczki na wodzie nagle opustoszałego miasta. Nawet tramwaje wodne rzadko się pokazywały.

Cała ludność zgromadziła się na placu tak zwanej sprawiedliwości. Utworzył się zwarty krąg z kilkunastu szeregów. Pogoda dopisywała. Naguśkie dzieci ulokowano jak dzbany na głowach. Desenie tworzył brud — sprzed tygodnia, sprzed dwóch dni, dzisiejszy. Była

121

cisza i w tej ciszy rozległ się głos pułkownika podobny do strzałów — w równych odstępach czasu, związany w krótkie zdania. O ile mogłem się zorientować, to zapowiadał sprawiedliwe rządy, które właśnie rozpoczyna od ukarania zdrajców. Na pierwszy sztych idzie... Przedemną rozstępowali się jak przed skazańcem. W usłużnym pośpiechu tykali się łokciami i rozszczepiali się. Zdawało mi się nawet, że patrzą na moją szyję. Maszerowałem ze zwartymi szczękami, w naciśniętym na oczy kapeluszu. Ale oto plac i poczułem się nieco stropiony, bo nie zauważyłem szubienicy, widocznie pułkownik nie chce się paprać i załatwi skazańców za pomocą plutonu egzekucyjnego. Tylko czy w porę usuną się te zbite kręgi ludzi? Zagiąłem rondo kapelusza i zobaczyłem moich kolegów, a koło nich tych Niemców, towarzyszyli jak przekleństwo. Skręciłem gwałtownie w bok, właśnie w stronę kolegów, pierwszy, drugi i trzeci szereg przy placu wybrzuszył się gwałtownie, ale zaraz po moim przejściu został cofnięty przy użyciu kolb karabinów.

— Co się tu dzieje? — wydyszałem, trącając Zenka. Na jego twarzy i czole piegi rozplływały się w pocie.

— Popatrz i nie pytaj głupio — obruszył się, widocznie i on miał tego dość.

No i patrzyłem... Mój ty mocny Boże! Sprawiedliwość w całej pełni, a rebours. Pośrodku placu, który z jednej strony był ocieniony palmami, a z drugiej dotykał długiego dachu na tyczkach, gdzie zbierano koguty w klatkach — więc na środku placu stał ten sam prokurator, który wczoraj odczytywał wyrok na przedsiębiorcę--przemysłowca opium, i obok niego ten sam kat, który założył pętlę skazańcowi i kopnął stołek pod jego stopami. Rola kata mało się zmieniła. Tylko że nie rozporządzał szubienicą, prymitywną jak nosiłki, natomiast w ręku dzierżył ciężki kryz; kiedy się opierał na klindze,

.122

to kleban sięgał mu ramienia. Ubrany był w biały, pogrzebowy strój, w czerwony kapelusz i czerwone rękawiczki — tak samo jak wczoraj. Zdawało mi się, że przydał sobie do kapelusza dwa olbrzymie kły jakiegoś krwiożerczego zwierza, wczoraj nie widziałem. Rosły kat, metr dziewięćdziesiąt, i otyły, co jest ewenementem na tle chudych i szczupłych krajowców, nie celebrował „uroczystości” z ponurą miną, tak jak wczoraj, był wesół, jakby dopiero dziś był w zgodzie ze swoją funkcją. Zachodził skazańca z lewej strony, z prawej, dbał o jego przeznaczenie i pfu, wygodę, gdy go dziabnie tym kryzem. Uśmiechał się do niego i jakby prosił o przyjemny wyraz twarzy. Nie należy psuć widowiska. Czekał na sygnał pułkownika.

Wczorajszy prokurator przyglądał się poważnie przygotowaniom do śmiertelnego aktu. Niewysoki, w szarym, jedwabnym ubraniu. Być może sprawdzał fachowym okiem prawidłowość tych przygotowań. Wydawały mu się zbyt przewlekłe i coś warknął, kat z uśmiechem skierował głowę w stronę pułkownika. On nic nie winien, że sprawa się przedłuża. Eks-prokurator pokiwał pogardliwie głową i próbował rozdrażnić nowych władców. Zobaczył złotą monetę blisko pnia, na którym miał być uśmiercony, schylił się, podjął ją i podał katowi mówiąc coś.

— Co on powiedział? — zdenerwowałem się, trącając Zdzicha. — Jak przypuszczasz?

— Na szczęście.

— Wisielczy humor. Gołnąłbym sobie, niechby nawet ich gołdy.

— Chce przyspieszyć, biedak.

I teraz rozdzwoniła mi się głowa od nagłych myśli. Ten... w tę i nazad... pułkownik czekał z

widowiskiem na mnie. Kierując się specjalnie wyreżyserowanymi motywami. W tę i nazad, i jego mać! Być może nie

123

urządzały takiego wystawnego widowiska, a przynajmniej nie spieszyłby się tak, gdyby nie sprawa ze mną. Odprawienie adiutantów z mojego pokoju musiało mieć jakiś sens. A może jednak inny sens? W każdym razie w głowie dzwoniło od bólu. Bo gdybym... Och, Boże, nie mogłem znieść w sobie własnego spojrzenia z czasów madryckich i z Wału Pomorskiego, spojrzenia drugiej istoty, która siedzi we mnie. Teraz patrzyłem wyzywająco i z zadartą głową w stronę... w tę i nazad kopanego pułkownika. I jakbym się nie mylił. Dał sygnał ręką; w tym momencie kat, ten dryblas z kłami zwierza na szczycie kapelusza, rzucił się do eks-prokuratora i założył na jego ręce mosiężne kajdanki, chyba po to, żeby nie przeszkadzał za bardzo. Ale ten eks-prokurator zaprzeczył podejrzeniom, a może chciał sprostać swojej godności nadanej mu przez prezydenta Sukarno. Chciał być godny i niezależny bez względu na okoliczności. Podniósł do góry związane ręce, tym ruchem zaświadczył o swym zdecydowaniu i żegnał.

— Tabik! — wykrzyknął ktoś odważny lub wróg. — Żegnaj.

— Do widzenia — podchwyciły kobiety stojące całkiem w tyle przy kojcach z kogutami, nie orientując się w niczym. — Salamet tingel.

Skazaniec jeszcze raz podniósł ręce w kajdankach i na ogniwach tych kajdanków zamigotały promienie słońca. Kat uznał ten moment za pierwszą sposobność do cięcia kryzem; zresztą — jak zaznaczyłem — przypominał on potężny szczepowy kleban, którym tak długo tubylcy bronili się tu, na Sumatrze, przed Holendrami. Przypuszczałem, że głowa wyprostowanego jak dzida eks-prokuratora spadnie od jednego cięcia. Ale ostrze miecza ledwie drasnęło go w obojczyk, poniżej szyi. Nawet nie dostrzegłem, czy pokazała się krew. Sztuka polegała na stopniowaniu cięć. Po pierwszym cięciu

124

wzdrygnął się kat, a nie skazaniec. Teraz dopiero kat ogłosił w kartaczowym tempie, że z woli najwyższego władcy tego rejonu Aidit Manu, który raczył pozostać przy tytule pułkownika, największy tutejszy łotr, prokurator największego łotra w Indonezji, został skazany na najwyższą karę, to jest na sześćdziesiąt jeden cięć mieczem. Sześćdziesiąt pierwsze cięcie wykreśli ostatecznie to podłe życie z rejestru wiernych wyznawców Proroka. Niech żyje Darul Islam! Nie opiszę ci szczegółowo tej długiej sceny z wykonywaniem wyroku. Chwilami traciłem przytomność, tak mi się zdaje. Jakby w zastępstwie delikwenta, który długo, prawie do końca trwał całkiem przytomny. Drugie cięcie także nie przyniosło krwi, zbliżyło tylko miecz do szyi. Przy trzecim dorozumiałem się, że skóra w rozszczepieniu zabarwiła się czerwono. Po czwartym kat otarł szpic, żeby przy następnym cięciu mógł dokładnie sprawdzić wyniki. Od tej chwili ocierał już po każdym cięciu, do tego celu służyło mu duże białe prześcieradło na stoliczku, na którym po sześćdziesiątym pierwszym cięciu miała spocząć głowa delikwenta. Aha, zapomniałem powiedzieć, że w odległości miecza rozwalał się na ziemi potężny pniak tysiącletniego chyba drzewa baobabu. Kiedy skazaniec osunie się na ziemię, kat podwinie głowę na ten pniak.

Kat, mam wrażenie, raz tylko się zdenerwował, na początku, zapomniał formuły. Od tej chwili żadne uczucie nie zakłócało jego roboty, którą wypełniał jak wyuczoną specjalność techniczną. Bez gniewu i bez pośpiechu. Z zadowoleniem, że się zna na swoim zawodzie. I w przekonaniu, że skazaniec już dawno nie powinien chodzić po tej ziemi. Dla niego istniał właśnie tylko w tej częstotliwości czasu, kiedy indziej był zawsze ścięty, a odżył przez zwykły przypadek lub przez ludzkie intrygi. Podkreślał to machnięciami miecza lekceważą-

125

cymi „przeciwnika”. Nie wyprowadzało go z równowagi i to, że eks-prokurator odpłacał podobną monetą i blednąc, zdawał się mówić: „Dokąd będziesz mnie nudził, stary drabie. Jaka szkoda, że cię nie przejrzał, role byłyby zmienione”. Kat nie mógł spojrzeć otwarcie w oczy swojemu eks-przełożonemu i nie mógł znieść jego spojrzenia. Przypuszczam, że miał za złe ten mały szantażyk eks-prokuratora, który wyraźnie mieszał się do jego roboty, i zdenerwował się przy dwudziestym którymś już cięciu. Uderzył odwrotną stroną w potylicę i aż dziw, że skazaniec trzymał się jeszcze i

że jego głowa się nie rozleciała. Kat opanował się, złapawszy się na grubym błędzie, który mógłby stać się przyczyną utraty dobrej posady u pułkownika — władcy lubiącego mistrzostwo w każdym fachu, a więc także w prawidłowym i precyzyjnym zabijaniu ludzi. Spokój narzucił sobie już przy wycieraniu klingi, tak zakręcił nią mistrzowsko, że krew pomieszała się ze słońcem. Następne cięcie było słabsze od poprzedniego, wymierzone z myślą o tonowaniu. Nie zdenerwował się nawet wtedy, gdy eks-prokurator krzyknął tak potężnie i tak dziko, że omal nie ugryzłem sobie języka, bo właśnie pytałem Tadka, czy nie lepiej byłoby wycofać się z widowiska bez względu na skutki. Eks-prokurator nai-grawał się z opieszałości katów i lżył ich. To było chyba przy trzydziestym piątym cięciu. Nic nie wskórał, jak już powiedziałem, i broczył coraz obficie. Po wytrysku krwi to od lewej, to od prawej strony obojczyka widziałem, że kryz zagłębia się w ciało już na pół centymetra, po chwili wgryzł się w kości. Eks-prokurator wyraźnie opadał z sił, bał się pośmiewiska. Dyszał coraz ciężiej, krew spływała mu teraz na piersi, na plecach schła szybciej i tworzyła grube liszaje. Przy pięćdziesiątym cięciu skazaniec upadł, nogi zgięły się nagle jak odrąbane, widocznie trwał dotąd tylko siłą woli, wola bojow-

126

nika Sukarno wyciekła już z dwoma kwartami krwi. Kat ułożył na pół odrąbaną głowę na pniu.... po ojcowsku poprawił ją na tym pniu, który nie miał więcej niż dwadzieścia centymetrów wysokości. Potem spojrzał triumfalnie na stłoczone tłumy, ominąwszy wzrokiem pułkownika, bardzo, ^ bardzo zadowolonego. Katowi należały się oklaski za to, że ani o jedno cięcie nie pomylił się w obliczeniach. Tak powinno być, skazaniec powinien paść przy pięćdziesiątym cięciu. Ale oklaski były nikłe, pułkownik nie uważał za godne swojego stanowiska oklaskiwać zwykłe wykonanie obowiązków, i to zdeprimowało widzów. Kat fachowo podsunął z góry przygotowane kliny pod flaczące ciało, żeby utrzymało pewien poziom z głową. Skazaniec straciwszy panowanie nad sobą, obezładniony, stał się tylko masą ciała ze śmiesznymi i tragicznymi ruchami. Wielbiciele tańca koguciego oceniali to fachowo i wybuchami radości.

W momentach decydujących cięć większość widzów jeszcze bardziej się zwierzała, ale zachowywali spokój jak tysiącletnie drzewo, gdy koło niego odbywa się walka dwóch zwierząt, tylko owych kilkuset entuzjastów zapasów kogucich wyło, aż się robiło niedobrze. Zdzich, Zenek i Tadek cicho pojękiwali i głośniejszy wdychali — Jezu, co za draby. Gdybym miał prawdziwy rewolwer, tobym nie wytrzymał i dostrzeliłbym tego prokuratora. Szkoda, żeś nie zabrał swojego diegtiarewa. — No tak, ale wtedy z góry pożegnajmy się z sobą i z Polską — zauważył Zdzich z nutą popłochu w głosie i przechylił się, żeby zajrzeć w moje oczy. Ja obserwowałem Niemców, którzy nie rzekli ni słowa od początku tego straszego widowiska. Karl nawet nie ćmił swego nieodstępного cygara. I nawet nie pocił się. W zwalistym swym kształcie trwał jak lodowiec. Gdyśmy co chwila zrywali się, żeby uciec stąd, on trwał nieugięty. Mo-

'127

że dla Niemców nie istnieje mord, tylko dyscyplina, i tkwią tu z tego samego powodu, co mordując w Oświęcimiu czy walcząc do upadłego na Wale Pomorskim? Lecz Karl najwyraźniej nie cieszył się z widowiska. Robił wrażenie lodowca. Nie wiadomo, co w nim. W porównaniu z niektórymi krajowcami, którzy reagowali na zabijanie człowieka jak na walkę kogutów i świetnie rozeznawali się w szczegółach zabijania i wszelkich usterkach, i niektórzy z nich chętnie poprawiliby miecz w rękach kata lub głowę skazańca na pniu, Niemcy zachowywali się jak obojętni na swój los niewolnicy. Na złość mnie. Hm... być może, że istnieją ludzie jeszcze gorsi od Niemców.

Ci Niemcy byliby mi splatali nie lada psikusa, gdyby odeszli z placu przed skończeniem ponurego widowiska. Ale zostali. Myśmy się przedzierali pod ostrzałem zwycięskiego spojrzenia pułkownika Aidit Manu; widzowie nie chcieli się tak rozstępować jak przedtem, jakby przeświadczeni, że popełniamy gruby nietakt.

Sari gdzieś zginęła. Przyrzadziliśmy sobie byle jaki obiad na kwaterze, ponieważ na statek nie wpuszczono nas mimo awantur z mojej strony i przychylności indonezyjskich matrosów, którzy nas lubili. Bez nas ich los stawał się niewiadomy. Ale byliśmy bezsilni, statek obsadzili oficerowie Aidit Manu, a żołnierze, chyba ci do transportowania, leżeli na kei, w solidnych trzewikach z gwoździemi na podszwach i w owija-czach. Zakurzone ubrania, dowolna pozycja na brzuchu lub na boku

świadczyły o niedawno przebyтым marszu. Przypuszczałem, że żołnierze wrócili z wyprawy w głąb dżungli.

Jedliśmy więc obiad z konserw mięsnych i żab Zen-ka, które wczoraj pozabijał i ukrył w garnku w sitowiu, i medytowaliśmy, co robić dalej. Czekać na nowy zamach stanu? Czy maszerować przez góry i lasy

128

J

do któregoś z portów na południowo-wschodnim wybrzeżu Sumatry? Ale nie byliśmy przekonani, że tam niepodzielnie władają zwolennicy Sukarno. Celowo omijaliśmy problem interioru z samodzielnymi sułtanatami, z dziwnymi panamerangami i autonomiami radzów, żeby nie komplikować sobie planów. Trudności będziemy rozwiązywać w marszu, tak uczono mnie na wojnie.

W tym momencie naszych rozterek rozległo się pukanie i wszedł pułkownik Aidit Manu, a za nim dwaj adiutanci. Pułkownik promieniał zwycięstwem, oczy mu wyjaśniały, twarz straciła na obrzękłości.

— Jak się to udało, zdaniem painów? — zapytał. — Szkoda tylko, że panowie nie widzieli ostatniego efek-ku. Kat to mistrz w swoim zawodzie, któremu odebrano chleb za poprzednich rządów. Przez ostatnie trzy cięcia głowa trzymała się już na skórze, ale kat wykroił jeszcze te trzy cięcia... Mistrz!

Świerzbiał mnie język, żeby powiedzieć, co myślę

0 pułkowniku, koledzy wstrzymali oddech, zdając się na mnie, lecz ja, być może, zawiodłem ich nadzieje,

1 jak wątpliwej marki figlarz, ukloniłem się i ze słodkim uśmiechem zaprosiłem do zajęcia miejsca przy stole. Ze ścian obserwowały nas malowidła rybaków i tygrysów.

— Może whisky and soda, panie pułkowniku? Naprawdę, nie wyobrażałem sobie dotąd, że pan rozporządza taką potęgą.

Pułkownik uśmiechnął się łaskawie, tak jak to raczy się biednego kuzyna uśmiechem, usiadł i przyzwolił na podanie whisky and soda. Moi koledzy westchnęli nietaktownie.

— Mówi pan, że potęgą...

— Nie przesłyszał się pan. — Harcował we mnie jakiś diablik. Pułkownik uznał, że ma już mnie jak ry-

Dziewczyny i chłopcy

129

f

bę w sieci, i wyraźnie się tym podekscytował; zaczęło mu się spieszyć. Zanim Zdzich podał wypitkę — pułkownik zgrabnym gestem odprawił swoich adiutantów, następnie poprowadził mój wzrok ku moim kolegom. Chciał się układać ze mną na osobności, być może pragnął tym podkreślić, że uważa mnie za równego sobie. Byłem wściekły, ale brnąłem dalej. — Wyjdźcie do drugiego pokoju i poczekajcie — powiedziałem. Zbledli obrażeni i wyszli. Zdzich zabrał z sobą złośliwie lub przez pomyłkę butelkę wódki i syfon... I teraz scena już rozegrała się szybko.

— Ile? — spytał pułkownik.

— Nic — odpowiedziałem.

— My nie możemy korzystać z pańskich usług za darmo. To tylko komuniści nie płacą i każą zadowolić się jakąś tam ideą. Tysiąc pięćset dolarów miesięcznie plus wikt, zgoda? Przy nas pan nie zginie. Rano przedstawiłem panu wiele perspektyw.

Mówił to wszystko tak swobodnie, jak rzeczywiście do ryby w sieci. Dolał oliwy do ognia, we mnie się gotowało. Na domiar zwrócił mi uwagę, że mieliśmy sprawę przypieczętować przy pomocy whisky, gdzież ta whisky and soda...

— Mieliliśmy sprawę opić? — zapytałem drwiąco. — Ani na moment nie pomyślał pan, że ja się nie zgodzę? — Wstałem, a on rzucił się do mnie przez stół.

— Jak to? Głupiego pan ze mnie robi? Ja nie mam czasu.

— Pan sam zrobił z siebie durnia. — Już nie hamowałem się. — Wystarczy na to pańskich zdolności. Rzeczywiście, mnie kupić...

Wyprostował się, wypchnął pierś, dyszał coraz gwałtowniej, zda się, kazał słyszeć łoskot bitewny wydobywający się z tej piersi, a potem uczynił potężny gest

130

od ściany do ściany, jakby przywoływał moce sobie podległe:

— Aresztuję pana! Za komunizm i sojusz z Sukar-no. A właściwie z komunistami! I zobaczymy, jak pan zapłacze pod ręką kata. — Następował na mnie powoli, a ja się w tym tempie cofałem, nagle odwróciłem się i jednym ruchem otworzyłem szafę, w której na dolnej półce spoczywał mój wojenny diegtiarew, karabinek maszynowy co się zowie, taki rogaty i dziwny na sposób rosyjski, rzecz dla tych małą nie znana, nie uczyli się tego w Oxfordzie. (A ja po brudziu dostałem go na radzieckim okręcie wojennym, ponieważ mieli ich dużo i bardzo mi współczuli, że swoją sztukę musiałem oddać zaraz po demobilizacji.) Wrażenie robi przede wszystkim ładownica, zapadnia i magazynek z pękatymi kulami. Błyskawicznie trzasnąłem zamkiem i pułkownik zatrzymał się w swoim drepcącym pochodzie. A jednak próbował jeszcze bagatelizować.

— Pan chce zastraszyć, minęły te czasy, kiedy biali... Biali mają u nas wpływ dzięki komunistom. Na moje pośmiewisko ich przywódca Aidit nazywany jest mędrcom wschodu. Muszę zetrzeć tamtego Aidita i upokorzyć Sukarno, chyba że Sam wybije komunistów. I wypali do cna zaraz. O, nie zadowolimy się ochłapami. Tysiąc i dwa tysiące czerwonych zdrajców to będzie mało. Stanie się to, wierzę, choć wybuch może nastąpić z opóźnionym zapalnikiem. Tymczasem my na Sumatrze... Schowaj pan to! — Urwał nagle swoje fanfaronady.

Ale ja już byłem pewny swego, ponieważ pułkownik wbrew swoim słowom cofał się do drzwi oczyma na lufie. Ja zaś spokojnie i ledwie panując nad radością, wytargałem magazynek i wyłuskiwałem kulę za kulą, i podrzucałem je przed nosem tej gangreny, która mnie gad.

! Tak si d b" k Ch> ^ jakim ^ t0 rozmache4yPita whisky and soda. Zazdrościłem im tego i nawet - Widziałeś tęką amunicTętit^ yskowałem, ,ze mi nie zostawili. Być może za chwilę

- Nie. Przepraszam. - Był btady jak trupek u ' TM? C ^ \ gwałto™ci wła~ A, y uxauy JdK LiupeK. nych mięśni niz głowie i sercu, które

- Atomówki w miniaturze, zrozumiałeś | j • t t i -  
. , . . ' i i L M U m i d 1 ^ - siedziały. Jakiś poruczmczyna z empi gotowym do jęknął i jakoś się tak podał do tyłu, słojtrzału zaciągnął wartę koło naszej kwatery. Niemcy ie wracali. Sari odpędzono sto metrów od kwatery.

wem, ułożył się na płask i zniknął za drzwiami nib; d

Słyszałem, jak zwinął za drzwiami wartę, posłał adiuj tantów po Niemców. Poprowadzili ich do kwatery pułj

l\_\_\_-i

kołnierze za każdym moim lub któregoś z kolegów pojawieniem się w oknie, z którejkolwiek strony, podnosili karabiny, a opuszczali, gdyśmy się odsuwali. Niezbyt zadowolonyLieie były warte, z pierwszej wojny, ale bądź co bądź - - - - :e Pułkownikłwładzieścia parę sztuk...

Przygotowywaliśmy się więc

będę mu przeszkadzał z tymi rzezimieszkami}^ najgorsze i w oczekiwaniu tego zjadaliśmy co było A jakiego boja ja miałem, tego nie wiedział. Widocznie świetnie zagrałem. Idź, małpo, zwyciężaj z Niemcami życzyłem sobie tego. Kapitan Karl ubrał się w swój niebieski płaszcz, jakby wybierał się w najgorsze niziny

>od ręką, konserwy, mleko puszkowe, banany. Koledzy vpakowali po jednej puszcze konserw mięsnych i po 3uszcze mleka do kieszeni, mnie zwolnili od tego, żeby :o nie utrudniało mi swobody przy ewentualnym mane-

„j„- „ł„, . , , , - -10 —"vlo me uiruamaio nu swoooay przy ewentualnym mane-

gdzie płaszcz może służyć do wszystkiego Lecz i a mwJ | j- ±- ....., -^  
„i^.,.,.,^ - , , ... , w^y^^ego. j\_,ecz ja przy^rowan!,^ diegtiarewem, oni byli bezbronni. O,  
prze-  
Szewa !, , -P ?\*"\* \* ^ MemCa W CZ4raszam, Zdzich nosił kryz, pomagający mu w  
zabijaniu  
przy^wlTei0 t! "fITT" "^^ ' ŻrąCeg° ^^ ^ zreszta- kiedyś na Pewno Służył do zabijania potęż-  
przypisywałem ten fakt odzywającej i od nowa afiszu-  
jącej się bucie hitlerowskiej. Ileż nam przypomina ter niebieski kolor stosowany w siłach zbrojnych  
Hitlera

robienia z Niem

lejszych istot. A Zenek miał pukawkę...

Było już dobrze po południu, po ciężkim jedzeniu hętnie byśmy się przedrzemali, ale trzeba było  
czu- N

yy ę p, y

>vać. Na co właściwie czekaliśmy? Być może, zdecydo-

TT 7, Uchodziec stajd'

w

Chciałem, żeby tak było.

Koledzy mieli mi za złe

„  
ców najgorszych potworów, ponieważ połączenie sił,-dyby nie te karabiny pod oknami. Nie  
chcieliśmy roz-pułkownika Aidit Manu z precyzją i techniką wojenn\*(OCzynac-długiego marszu  
od walki. Niemców mogło nas w oka mgnieniu unicestwić. Zresztą i bez tego nasza sytuacja była  
pod zdechłym psem Mówili o tym koledzy bez owijania w bawełnę, i ju. umierali, nie cofając się  
przed niebezpieczeństwami Razem ze mną nie ustąpią w niczym, ja im przewodzi.

ąpą y, ja im przewod

łem, ponieważ od najstarszego Zdzicha byłem stars o trzy lata, no i byłem kapitanem, pierwszym  
po Bog

I teraz rozpoczyna się historia z Karlem i tym dru-im Niemcem. Widzieliśmy ich przez okno, szli  
po pa-ich bardzo zdenerwowani, gestykulowali i szwargo-ali. Wartownicy przyglądali im się z  
uwagą jakby irzyjacielską. Chłopcy zmobilizowani niedawno do wal- z rebelią, i teraz służący tej  
rebelii, niczego nie ro- /.umiejący i wysساني przez słońce. Może wreszcie ten ik k 1

„  
- \* ----' jt— "j•"|| jr"^ j^uslJ /.umiejący i wysساني przez słońce. Może  
wreszcie ten

Udważę i tę swoistą filozofię nasermater wzmacniał| niemiecki kapitan zawiezie ich do Sabang,  
gdzie nast-

132

133

nie ostateczny pokój... O, naiwności ludzka! O, karuzelo!

Karl zrzucił w swoim apartamencie ten wredny niebieski płaszcz i zaraz zjawił się u nas. Przeszedł  
przez taras (nigdy nie wiadomo, jak nazwać tę wiszącą w powietrzu huśtawkę). Stał przy  
drzwiach i w szybie był widoczny do pasa. Pukał delikatnie i mam wrażenie, że zmagął się ze swoją  
twardą i butną twarzą, do której nie pasowały niebieskie oczy, jasne brwi i blond włosy.

— Proszę — powiedziałem pod naciskiem spojrzenia Zdzicha i Zenka. Miałem dla niego już  
gburowate przywitanie, kończące się dźwięcznym „rraus", ale Karl postąpił bardzo  
dyplomatycznie i przedstawił się. Jakoś tak... tak Waldenberg. W każdym razie, Karl.

Niespodziewanie zdobyłem się na ton służbowy, który i tak był superprzyjemny w porównaniu z  
tym, którym miałem go poczęstować przedstawiając tylko fotografie Marysi i dzieci za całe  
wytlumaczenie. Złapałem się od razu na ustepliwości i postanowiłem zdwoić czujność.

— Czym mogę służyć? — zapytałem.

Karl zerknął na diegtiarewa opartego o sofę i od razu ocenił okiem znawcy:

— Russische Maschine?

— Russische.

— Gute Maschine — stwierdził z pewną melancholią. Na tym rozmowa utknęła. Strasznie śmieszna sytuacja. Słońce zniżyło się i całą ławą przebijało się między konarami drzew, i blask zalał ten pokój. Przerazające światło. Ucięło ono nogi Karla i był widoczny tylko , od kolan. Zdawałoby się, pchnąć palcem i przewróci się. To mnie trochę zmiękczyło, więc kiedy spytał, czy może usiąść, skinąłem głową i... pierwszy usiadłem.

— Czym mogę służyć? — powtórzyłem.

— Przyszedłem do panów, żeby się naradzić, co da-1 lej robić. — Usiadłszy naprzeciw mnie zaczął mówić [

powoli, lecz zląkł się mojego pogardliwego wzroku i zaapelował: — Wydostać się stąd to nasza wspólna sprawa. Nicht wahr?

Poderwałem się i wparłem dłonie w stół. — A odkąd to jesteśmy współnikami? Widzicie go, znalazł się!

Mówiliśmy po angielsku, a trochę po niemiecku.

— Situation — wybąkał speszony moją opryskliwością. Nie, nie był przestraszony. Oglądał palce. I powiedział coś w tym guście, że sytuacje tworzą kamratów.

Nie przyznawałem mu racji, we mnie galopowała nienawiść, ze zdwojoną siłą dały znać o sobie straty i uwierały boleśnie.

— Sytuacja! — drwiłem i najbardziej obelżywymi oskarżeniami przyciskałem Karla do muru. Chciałem, żeby kłamał i żeby udowadniał swój demokratyzm od kolebki, a ja, żebym mu wykazał czarno na białym jego tchórzostwo, podłość i hitlerowską chytryść. Ale on odpowiedział nie tyle odważnie, co rzeczowo, i jakby przeproszał zupełnie przyzwoitym spojrzeniem.

— Co my za kamraci? Pan pewnie powie, że nie brał pan udziału w Drang nach Osten przez Polskę.

— Brałem udział — odpowiedział. — Na Polskę czy na Rosję?

— Na Polskę i na Rosję.

— W jakiej formacji? — Zacząłem się gorączkować. Wszystkie krzywdy uderzyły mi do głowy Bo jeśli powie, że był w SS lub w gestapo, to na miejscu go podziurawię. Cholera! Jak konsekwentny prześladowca nawet tu za niną przylazł. Pierwszą żonę i synka Krzysia, i córeczkę Basie zabili mi w Baranowiczach za to, że byłem w Hiszpanii. Za aktywny antyfasyzm. A teraz co mam? Gdyby żyła Maria, to byłbym szczęśliwy, pal sześć perypetie stworzone przez różnych politycznych cwaniaków. Druga żona, dziesięć lat młodsza ode

134

135

mnie, pisze mi, że jeśli chodzi o nią, to mogę się nie spieszyć z powrotem do Gdyni. Byłem egoistą wyjeżdżając, na uwadze miałem swoje ambicje, a nie żonę... Zostawiłem ją z dwojgiem dzieci i trzecim w drodze bez męskiej pomocy. Mój Boże, a dla kogóż ja to zrobiłem? Dla nich! Zdieram tu zdrowie i nerwy dla nich! Gdyby o mnie chodziło, to zadowolilibym się kawałkiem suchego chleba i gwizdałbym na PLO i ministerstwo. Za dużo jej jednak posyłałem pieniędzy... i samochód (wtedy gdy można było przesłać bez cła i nie zgłaszać jego pochodzenia). Przewróciło jej się w głowie, ze studentami jeździ tą limuzyną... Rozumiesz, że można zwariować od takiej męki; Nikt mi nie wytłumaczy, wiem, gdzie szukać głównych winowajców. No, niech tylko ten Karl przyzna się. Już zdawało mi się, że lada moment odsłoni czoło dla ciosu. Mówił:

— Służyłem w różnych formacjach. Tam gdzie posłali.

— Was wszystkich posyłali, bezwolne dzieciaki... wSS?!

— Nein!

— W gestapo?!

— Nein.

— Du bist ein Liigner! Zresztą wszystko mi jedno, gdzie byłeś, wszyscy byliście podobni do siebie, służyliście jednemu diabłu — śmierci.

— Nein, nein! — gorączkował się i w jego oczach ukazały się błyski oburzenia. — Ich habe in der Kriegs-marine gedient... Und war schon vor Kriegsende bei der Infanterie...

— Matrose bei Infanterie!?! Stuknij się pan w głowę! — Ale Karl podsunął swoją głowę, twardą i

kwadratową, jakby miał zamiar powiedzieć: „Nieraz wałęnałem tym łbem...” A dopowiedział głosem zmęczonym i zrezygnowanym:

136

— Ich bin unschuldig. Ich bin nur Soldat gewesen. Osunął się na poręcz krzesła i ja się też osunąłem.

Być może, że żarły nas podobne uczucia. Znaleźliśmy jakby wspólny język (wspólne przeżycia!) i to było wstrętne. Tylko diabli mogli zaaranżować takie spotkanie. Ba, trzeba było jeszcze kryć przed Karlem, że omal nie uciekaliśmy przed nimi, dusza była na wierzchu. Ale chciałem się jeszcze upewnić.

— Pommernstellung! Februar?

— Ja, ja! — ucieszył się i w ten sposób potwierdzał moje podejrzenie.

— A może... — pocilem się wewnętrznie — a może wieś Podgaje... Dorf Podgaje?

— Ja, ja! Dorf Podgaje.

Wiesz, gdzie te Podgaje? Leżą w prostej linii na zachód od Grudziądza i gdzieś sto kilometrów od starej naszej granicy, tuż nad małą rzeczką Gwdą i blisko większego miasta Piła. Otóż ja się znalazłem w Dywizji Kościuszkowskiej, która przedarła się przez tę rzeczkę Gwdę już na przedpolu Wału Pomorskiego. Zdobyliśmy język, że Niemcy postanowili nas odrzucić za Gwdę, za wszelką cenę, by móc swobodnie manewrować w obronie swojego sławnego „Pommernstellung”; wiadomo, że stąd droga do Kołobrzegu i Szczecina i ostateczne odcięcie armii bałtyckich. Było mroźno i mglisto, kiedy... zdaje się... trzeciego lutego z tej wsi Podgaje rankiem wyruszyła przeciw naszym pozycjom hitlerowska piechota, różni tam byli. Nasza artyleria strzelała im w nogi. Och, cóż to byli za artylerzyści, kierowali ogniem jak uździenicą na pysku końskim. Raz po raz przyśpiwywały im kaemy. Nic dziwnego, że atak niemiecki rozpadł się sromotnie, w dosłownym tego słowa znaczeniu, fizycznie i moralnie. Ale ten atak sprowokował następny, na to mogli sobie pozwolić tylko szaleńcy i zwykli zbrodniarze. Oto po pół godzinie naszym oczom

137

ukazał się las żołnierskich figur, wyprostowany las w pochodzie. Żeby im karabiny nie przeszkadzały w tym wyprostowaniu się, to nie strzelali. Ale też nie rzucali karabinów. Szli, szli... Raz, dwa, raz, dwa... Nasza artyleria, nasze moździerze, starym systemem — oigień pod ich nogi... Pierwszy szereg został mocno przetrzebiony, drugi także, trzeci... Ale to nie działało na następne szeregi. Szli jak diabły wprost na nasze pozycje. Oszałamiające wrażenie. Nie mogę tego im i sobie zapomnieć. Podobną scenę po raz pierwszy urządzili Rosjanom na Wołyniu na początku kampanii hitlerowskiej, kiedy nie mogli przeprzeć obrony krasnoarmiejców (sławne bitwy czołgów), a chcieli za wszelką cenę dogonić pędzące naprzód skrzydła. Szli z pogardą śmierci, jak im kazali nadludzie w osobach Hitlera i Rosen-berga. Niemcy jakoby są inni... Tylko nadludzie mogą tak rozporządzać sobą bez strachu, tak despotycznie. I dlatego są kwintesencją zabójczej, niepokonanej siły, jakiej świat nie widział. Szli, szli... Młodzi, wyprostowani, bez względu na los kolegi z poprzedniego szeregu, z lewej strony czy z prawej. (Nasze moździerze waliły.) Ten podskoczył do góry bez nóg, tamten dostał w lewe ramię i nie umarł jeszcze rękę wywinął jak do heil Hitler, a jeszcze inny odchylając głowę wypiął swoje posiekane piersi jak do odkrzyknięcia apelu. Reszta szła pokonując sędzieliznę w porannej mgiełce i przeszkody z koziołkujących kolegów, bo innych przeszkód, zdawało się, nie widzieli. Och, nie mogę im tego zapomnieć. Źle było nad Guadalajara, kiedy idiotyczni anarchiści, służący w tym wypadku Franco, popędzili do ataku tańcząc, ale przecież nie ma porównania. Wystarczyłoby, gdyby jeden z nas na pozycji zrobił w tył zwrot... lub nawet przestał walić z wintówki, kabe czy też jak ja z diegtiarewa, i wypuścił broń. Pobiegłby strach jak iskra po loncie. Co ja mówię, strach już był,

138

tylko nie wyzwolił się zewnątrz. Brakowało, żebym ja dał ten psi przykład, a na mnie też patrzyli, bo byłem zastępcą dowódcy kompanii. Nie wiem, co by było dalej, ale tę bitwę nerwów z szaleńcami wygrały za nas moździerze, one były za nami i nie widziały szaleńców. One podtrzymały bohaterów spod Lenino, Dębina, Warszawy. Po kilku minutach szaleńcy załamali się, zrobili to, czego my, być może, nie zdążyliśmy zrobić. Wraz z rozstępującą się mgiełką i

opadającym z drzew szronem, wraz ze słońcem nad lasem obok i hen, nad Turzym Lasem, rozszedły się nie dobite szeregi i kolumny młodych esesmanów. Właśnie stało się to, co mogło się stać u nas, gdyby choć jeden rzucił broń. Tam u nich właśnie jeden, gdy padli dwaj jego sąsiedzi,

0 dwieście metrów od nas, uczynił z sobą taki manewr, jak kopnięty pies, który wsuwa się pod stół i skomli.

1 to wystarczyło. Iskry paniki pobiegły właśnie jak po loncie. Rozpełzali się, chowali się za trupy kolegów. Zza tych szeregów wyłonili się starsi wiekiem oficerowie SS z pistoletami w rękę, a obok nich, jakby dla wiązania z czymś dla nas niewiadomym, kroczyli ma-trosy, także z pistoletami w rękę. Jeszcze wówczas nie wiedziałem, że w ostatniej fazie wojny Hitler uznał marynarkę wojenną za najdzielniejszą i najwierniejszą formację bojową III Rzeszy, a tego uznania dowodem było potem mianowanie Wielkiego Admirala Doe-nitza następcą Hitlera. Marynarze zatopionych u wybrzeży okrętów dostawali przydział do jednostek w łamiącym się froncie na lądzie.

Byłem tam. Dlaczegoż by nie miało być tam Karla? Mógł teraz nie kłamać, być może nawet widziałem go, jak po nieudanej próbie opanowania paniki zaiwaniał przed innymi, żeby się zasłonić przed naszym pościgiem. Od rannych i jeńców ziało wódką.

Oto jaki kumpel z Karla. Nie dość, że z powodu ta-

139

kich jak on straciłem szczęście, to jeszcze omal nie zapaskudziłem swojej karty bojowej. Kamrat, kumpel! Chce się naradzić... Wspólna sprawa, szantażuje sytuacją, rzeczywiście cholerną...

Karl niepokoił się moimi medytacjami przy stole, twarz podobno miałem posepną jak przy łóżku chorego. Koledzy ćmili papierosy, pokasływali znacząco, ale nie pisnęli ani słowa. Dyscyplina. Słońce spadło w dżunglę. Karl paznokciem targał rzemyk zegarka na ręce, to znów patrzył na cyferblat.

— Wir haben schon keine Zeit — ostrzegł i spojrzął przez okno na czerniejący świat.

Byłem napompowany złymi wspomnieniami. I zrezygnowany, dla mnie już nie ma ratunku od tych wspomnień, które na domiar zwielokrotniły się okrutnym żalem po liście tej drugiej żony.

— A idź sobie do tego Aidit Manu, tam twoje miejsce. Nie zawracaj głowy porządnym ludziom. Twoja, panie kapitanie, wymarzona rola, dalszy ciąg, faszysta niech pomaga faszycie rznąć nawet tę wątłą demokrację indonezyjską.

Zrobił gest nie oburzenia, nawet nie rozpaczy, ale porozumienia. Powiedział z naciskiem i patrzył nad moją głową, jakby przebijał ścianę i wdzierał się w przyszłość.

— My zrobimy to, co pan kapitan. Das ist gemein-same Sache. Die Rebellen sind dumme Leute...

„Dumme Leute...” Kiwnąłem głową, zachęcałem go do dalszych wynurzeń, chciałem, żeby rozszerzył swój pogląd na zjawisko faszystowskich rebeliantów. Niechby powiedział, co by zrobił, gdyby oni byli mądrzy i mocni... Ale Karl nie dał mi tej satysfakcji. On deklarował pełną, nieustępliwą solidarność z Polakami. Właśnie on, który maczał ręce we krwi na frontach wojny i bez obciachu znosił moje oskarżycielskie spojrzenie.

Rozumiesz ty to?. On nie rozumiał, że jego propozycje, w ogóle jego istnienie jest dla mnie zniewagą, a on nie dał mi możliwości zarzutu... Nie udowodniłbym. Mocno stał na nogach w sprawie przyzwoitości wobec pracodawcy i... wobec Polaków, ale to już wmawiał. Przyzwoitość miał tylko wobec najmującego ich Sukarno. Befehl ist Befehl, jak podczas wojny w imię Hitlera... Och, Boże.

— Nein! — jeszcze raz powiedziałem i wstałem. Karl też wstał i bez słowa zrobił w tył zwrot, salutował postawą ciała i wyszedł przez balkon.

Milczałem, koledzy pytali, czy od razu pójdziemy stąd... Najlepiej byłoby poczekać jeszcze chwileczkę, gdy zapadnie lepszy zmrok, jakoś wyminie się straż, nie będę strzelać, boby się sami wybili. Bałem się kunktatorstwa. Milczałem. Z mojego statku (poznawałem) rozległ się klang, nie wiem po co. Wstał księżyc, zza dżungli, zza morza, bardzo podobny do czerwonego słońca. Jak na wojnę, zły znak. Blask się rozchodził w tym kierunku, w którym mieliśmy wyrwać. Jasne wyrwy jak grób. Sari przed linią wart... Gdyby nie obawa przed śmiesznością, byłbym wyszedł interweniować i pożegnać się z nią. Przyznam się, że byłem zniechęcony tą domniemaną

podejrzliwością kolegów, i wymyśliłem coś chytrego, obrzydliwie tchórzowskiego a okazało się to genialne. Powiedziałem:

— Niech ona zaprowadzi mnie do Aidit Manu. Ja nie' wiem, gdzie on mieszka.

— Rozmyśliłeś się?

— Wariaci!

Tylko pośpiechem mogłem przeciwdziałać podejrzliwości, wróć za chwilę z gotowym triumfem. W tym momencie byłem przekonany, że pułkownik ściga takie maszynki wojenne, które w oka mgnieniu zakasują mojego sierociego diegtiarewa. Na jego miejscu nie ro-

140

141

biłbym inaczej. Muszę przeciwdziałać tym zamiarom i to będzie na początek wystarczającym triumfem, zanim zdecyduję się na coś bardziej mocnego.

Wszedłem w mrok i głośno wezwałem dowódcę oblężenia. Skoczył co tchu. Wyjaśniłem mu, o co chodzi, chcę do pułkownika. Kategorycznie odmówił ochrony, zaprowadzi mnie Sari. Siedziała za drzewami mi-ki-miki i wydawała radosne popiski. To znaczy, siedziała za linią ataku, ewentualnie obrony wojska Aidit Manu.

Była szczęśliwa. Nie pomyśl, że jakaś tam miłość... To była sprawa temperamentu. A ja przecież musiałem się jakoś pożegnać, nie jestem młodzik, który nie zapłaci. Miałem na kwaterze trochę drobiazgów, łaszków, tym zadośćuczyni się najserdeczniej miłosnej trosce dziewczyny, która dopiero co wylazła z lasu.

Trochę popuściłem farby? Nie pochwalilibym się, gdybym inaczej potrafił poprowadzić manewr...

Tak, musiałem ten manewr przeprowadzić z powodu Sari i byłem jej wdzięczny za to. Uwiesiła się mojego ramienia, cieszyła się, jakbym uratował się od śmierci, przechylała głowę, lecz nigdy nie całowała mnie, więc nie o tym w tej chwili myślała. Od morza pędził wiatr, tarmosił jej odzienie, niektórzy przechodnie uciekali z ulicy w ochronę drzew i domów. Wiatr i pył przygonił nas pod rezydencję Aidit Manu, świecąca jak biała skała wśród zagajników pandanów i gałęzi palm.

Zostawiłem ją przed bramą. Wartownik na mój widok założył biały kask i przyjął groźną postawę, nie rozumiał mnie, podniecał się i denerwował na moje nalegania, Sari też niewiele pomogła, ponieważ jej narzeczę różniło się nieco od jego narzeczca, wreszcie otworzył bramę kolaniem, a zatrzasnął przy pomocy kolby karabinu i zaparł nim bramę, jakby widział tylko jedyną możliwość unieszkodliwienia mnie, gdybym chciał wyjść z pałacu nielegalnie. Potem znów zdjął kask i łowił do niego księżyc...

Zaczyna być poetycznie, co?

Wprowadził mnie adiutant. (Żaden z tych, których już poznałem.) Gospodarz i władca był już niemal w łóżku, to znaczy siedział na krawędzi takiej dużej kołyski, wspartej na czterech słupkach i z moskitierą. Przy nim kucał na macie (mimo że krzesła obok stały wolne) dziwny facet o dużej głowie, obarczonej włosami zwiniętymi w istne strąki i o oczach zda się bezdennych. Obok kobieta w strasznie czerwonym i pomarszczonym stroju pieściła w dłoniach czarne kuleczki w kształcie ludzkiej czaszki. Czyżby dostosowywała się do twarzy przekrwionej i w drobniutkich zmarszczkach? Jednak byłem raczej skłonny podejrzewać, że odbywa się tu jakieś spotkanie z duchami i zabobonami. Ci dwoje chyba służyli pomocą pułkownikowi, którego ubiór teraz wskazywał raczej na to, że mamy do czynienia z kierownikiem cyrku w Europie, a nie z wodzem wojskowym. Głowę miał owiniętą czarną szmatą, przetykaną złotem; natomiast piersi i plecy przyoblekały drogie jedwabie, wolno puszczzone, z lewej strony koloru czerwonego, a z prawej koloru białego.

Czarami rozszyfrowywali przyszłość? Może i ja byłem zagadką do ostatecznego rozszyfrowania?

Ale nie uległem pysze, nie dałem się prosić, żebym usiadł i zaproponowałem wprost:

— Przyszedłem prosić o zlikwidowanie oblężenia.

— Zlikwidować? — Aidit Manu poderwał się, czarodziejskie szmaty przekreśliły się na jego głowie. — Kto tu rządzi?

— Pan, panie pułkowniku. Dlatego właśnie...

— Pan zna moje warunki.

— Tak. Dlatego przyszedłem.

— Bezcelność! Widział pan dziś egzekucję tego... komunisty?

— Właśnie dlatego...

142

143

łem.

Co „dlatego”?

Przyszedłem spełnić pańskie żądanie. Przemyśla-

— Allach jest wszechmocny! — krzyknął do swych pomocników. ;i

Zrobili gesty okrągłe, które mogły świadczyć, że wszystko jasne, wszak wyczarowywali...

— Ale... — bąknąłem.

Uśmiech zniknął z twarzy gospodarza. Przewidział, że moja prośba wyrażona na wstępie jest obwarowana warunkami i znów nasrożył się. Chytrzy biali! Zlikwidować obłężenie i w ten sposób pomóc ucieczce... Allach by się wyparł takiego głupca. Wyznawcy Mahometa są chytrzejsi od białych.

Mniej więcej tymi słowami próbował podeptać moje nadzieje, czarownik obrócił się gwałtownie w moją stronę, uczynił ruch, jakby chciał rzucić się na mnie, lecz Aidit Manu chwycił go za przegub ręki.

Roześmiałem się. Postanowiłem kończyć pertraktacje. Być lub nie być....

— Panie pułkowniku, jakże my uciekniemy w piątkę?

— Siedmiu was — poprawił.

— Niemcy zawsze zostaną. Dla nich wymarzona sytuacja...

Przyjrzał mi się teraz przyjaźniej.

— Jest pan tego pewny?

— Tak. Jak miłości Sari. Uciekniemy na zgubę? Tu się czujemy słabi, a co dopiero w dżungli.

Przecież wy będziecie sto razy silniejsi.

Aidit Manu skinął głową, ale zauważył:

— Pan może dużo szkody narobić tym swoim dziwnym karabinem maszynowym, który można nieść na ramieniu...

— Ach, to! — Udałem, że zapomniałem o najważ-

144

niejszym. — Na dowód szczerości zaraz oddam tę maszynkę w wasze ręce.

— Zaraz?

— Zaraz.

Pułkownik zastanawiał się. Powstał i postąpił kilka kroków w, cień, trwał chwileczkę, jakby teraz naradzał się z innymi duchami.

— Szczerść za szczerść — ciągnąłem. — Zaufanie za zaufanie. — I omal nie udławiłem się własnymi słowami, kłamstwo nie sprawiało mi ulgi.

— Zgoda — powiedział i wyszedł z cienia, ba, uściskał mnie. — Poślę straż, która weźmie tę maszynkę. Pan umie się z nią obchodzić? — Jeszcze raz próbował mnie uściskać. — Adiutant odwoła obłężenie. Jesteście wolni. Jutro przyjdę do pana na rozmowę.

— O, właśnie!

Ale przy pożegnaniu Aidit Manu nawiedziły podejrzenia od nowa. Być może, brak wzajemności w czułościach z mojej strony i uniki posiały w nim nieufność.

— A wie pan, jak się umiera od zatrutych strzał?

— Nie. Jeszcze nie umierałem.

— To się pan dowie, jeśli by panowie usiłowali bez broni przedzierać się przez dżunglę. Jedna doba cierpienia od takiej strzały to nie za dużo. Nasi plemienni bracia wzdychają do takich zdobyczy. — Natchniony wznosił ręce do góry i prawie się modlił: — Oni przygotowują dla nas w dżunglach groby, ale będą dla nich... Za to, że wyrwali wieś na Jawie i nawet na Bali spod opieki dobrych bóstw. Naszli obcy bogowie: Marks, Aidit i Mao Tse-tung, skasowali ofiary z kwiatów dla Wisznu, to jest już tylko atrakcją dla turystów. Jeszcze trochę i braknie miejsca na tańce, zabawy i walki

kogutów. Już rzeźby bogów sprzedaje się na chleb, jakby chleb był najważniejszy. Gdzie wstyd?  
Hańba, hańba! Jeśli nie nadejdzie rewolucja, to o prawa bogów upomną

10 — Dziewczyny i chłopcy

145

się wulkany. O tym mówimy ludziom... Niech zamienią nawet w gruzy czerwone miasta, byle uniknąć końca świata. A sklepy przedtem ogołocić! W imię Allacha, który nakazał żywić się gaurami. Kto nie wywiesi na sklepie kartki, że jest prawym muzułmaninem, to zostanie uznany za Chińczyka.

— Panie pułkowniku, to wasze wewnętrzne sprawy. Ja tylko słucham, bo mi płacą.

— Podoba mi się pan. Ale pan jeszcze przejdzie na naszą wiarę.

— Nawrócę także kolegów.

Nie powiem, żeby koledzy byli zachwyceni ucieczką w dżunglę bez maszynki, którą przed chwilą wzięli oficerowie Aidit Manu. Nie kryli pretensji. Czy tylko pretensja rządziła nimi? Zdawało mi się, że rudawe włosy Zenka zostały wyssane przez strach wraz z piegami na twarzy i stały się piaskowego koloru. Prosiłem ich tylko, żeby nie krzyczeli i nie zbudzili Niemców. Najlepszym dla mnie wyjściem byłoby właśnie zniknięcie po kryjomu, to pozwoliłoby mi wrócić do równowagi ducha. Zależy to zawsze od szacunku dla siebie, prawda? Przegonię Karla czy też — co niemożliwe! — wezmę z sobą — stracę szacunek dla siebie. A więc stracę równowagę, tak potrzebną w czasie niebezpiecznej eskapady przez błota, dżunglę i góry. Równowagę ducha straciłbym także, gdybym się pozbył szacunku dla kolegów. Tyle czasu byliśmy razem... Nie mogli nie widzieć sensu nie tylko politycznego, ale przede wszystkim moralnego w tej ucieczce, która była ucieczką przed służbą dla bandy rebeliantów. Nie można się usprawiedliwiać śmiertelnymi niebezpieczeństwami... Przepraszam, tyś już dawno powiedział, że nie ma złej drogi do swej niebogi, to znaczy do uczciwości. Uczciwie byłoby zawładnąć statkiem, choćby w czasie jazdy do Sapang, ale na to nie mieliśmy sposobu. Diegtiarew służyłby najwy-

146

żej do przedarcia się przez pierścień obłężenia, potem w dżungli nie moglibyśmy żądać dla siebie litości. Zresztą, co znaczą dwie taśmy amunicji...

Moi koledzy jednak nie podważali istoty decyzji, lecz jej realność.

— Wyciągniemy kopyta...

— Tak — odpowiedziałem z naciskiem, ale nie głośno. — Nie tyle wyciągniemy kopyta (ostatecznie trzysta kilometrów to nie tak dużo, ma się te wojskowe nogi), ile podziurawią nas zatrutymi strzałami. Pół na pół prawdopodobieństwa...

— No to siedźmy na dupie, póki nas ten pułkownik jeszcze nie mobilizuje — jęknął Zenek.

— A co dalej, to przeież wiesz — napomniałem.

— Właśnie, psiakrew! — przytwierdził kategorycznie Zenek i tym sążnistym oświadczeniem zamknął gęby innym.

Więc wszystko zostało już postanowione i zaczęliśmy się szykować do drogi. Księżyc machał na niebie nisko, ciął dżunglę. Do rana mieliśmy jeszcze ze trzy godziny, trzeba je wykorzystać na forsowny marsz doliną rzeki, a dopiero za dnia odbić w dżunglę. Zdzich wsuwał swoją pukawkę za pas, rozporządzał jednym magazynkiem i trzema zapasowymi kulkami. Tadek umiejscowił kryz także za pasem. Zenek — najostrożniejszy i zarazem najpraktyczniejszy — radził dobrze owinąć nogi, choćby gazetami. Obetrzesz — koniec marszu etc. Podnosił nogi, pokazując, jak trzeba iść, żeby się nie zmęczyć. Przetrzymał w czterdziestym drugim odwrót na piachach Libii. W dżungli zaś trzeba stąpać na czubkach paków... O, tak... (Już raz wrywał z rebelianckiego portu na drugą stronę wyspy i wzdrygał się przed myślą o podobnych cholernych trudach). Tyle nauki i wzajemnych pouczeń. Na polu koncertowały cykady i żaby. Na pożegnanie zjawiała się skądś jaszczurka, zda się

147

przebiła sufit i zaiwaniała przerywanymi skokami na dół. Jeszcze zbieraliśmy ze stołu papierosy, a Zenek pomagał Sari pakować jakieś resztki pożywienia, kilka sztuk papai — na pragnienie — wek kukurydzianego chleba. Ja pamiętałem o świecidełkach, poza tym wygrzebałem w rupieciach dwie

stare fajki. Świedelka w szafie, dla moich dzieci... Tyle. No, już można iść. Ja szczęśliwy, że nie zbudziliśmy Niemców. Nie byłem pewny, czy koledzy tak bardzo ucieszą się z naszych słabszych możliwości w dżungli. Czy już wtedy nie mieli pretensji, że w tych nienawiściach politycznych do Niemców tylko ja się liczę? Boże, jakże ja się zmieniłem! Dawniej niebezpieczeństwo i cierpienie, choć odczuwałem je przecież po ludzku, nie istniały dla mnie, liczyło się otoczenie, nie chciałem mieszać. Dziś też powinienem zważać na opinię kolegów, pamiętając o tamtych zasadach, jednak honor, nie zapomniany ból, nie pozwalały szukać wspólnie z Niemcem korzystniejszego w tej sytuacji rozwiązania.

Ale z innego powodu przedłużaliśmy odnarsz. Wiadomo... Mokra, brązowa oczy Sari... Wreszcie położyłem dłoń na jej nagim ramieniu, podciągnęła się w górę. Koledzy obserwowali boczkiem, a w skupieniu, co będzie dalej. Bądź co bądź była stworzeniem czującym i ode mnie spodziewali się tego samego. Otworzyłem szafę i kazałem jej brać wszystko, co kiedyś tu zakupiłem, żeby posłać żonie do Gdyni. A później po tym jej liście nie zabierałem tego do Dżakarty, bo po co... Niech się sytuacja rozwija, jak ty mówisz. Jeśli kobieta woli porządnego zaganiacza (ty tak twierdzisz) niż małżonka i matczyńskie obowiązki, to jeszcze przez pewien czas będzie ważniejszy ten jej student...

Świedelka wpakowałem do kieszeni. Uff!

Sari cieszyła się bardziej niż ja, kiedy jako chłopiec radowałem się grającymi duperelami na wiejskim od-

148

puście. Dawałem te rzeczy, niech je z kimś innym zhańbi. Na złość żonie. Ona by też je zhańbiła. Sari przypinała kapelusz do bujnych włosów ze śmieszną niezaradnością, ale te włosy miała ładne, bo proste, jakby na przekór mojej żonie z włosami zawilumy niczym chaszczę... Bieliznę włożyła na swoje szmatki, chlapała się perfumami jak wodą w morzu, perfumy mieszały się ze łzami. Lśniła radością i znów łzami. I bez przerwy pytała, czy to wszystko będzie należeć do niej tak naprawdę. Czekala na pocałunek. Pocałunek gwarantuje nieodmienneść decyzji i zgodność gestu z wolą. Tak, pocałunek spełnia wśród krajowców ledwie tkniętych cywilizacją funkcję nieco inną niż u nas. W najlepszym wypadku pocałunek tu kończy to, co u nas czasem zaczyna. Poniatno?

— Verstanden!

— Nie, nie rozgniataj mi nagniotków tym niemieckim. Dość się tego nasłuchałem. Nie prowokuj, bo nie opowiem po kolei... W tempie kartaczowym o naszej drodze, żeby ci pokazać Karla. On jest centralną osobą mojego opowiadania... Choćby tego nie chciał, to właśnie będzie on.

I jeszcze na odchodnym:

— Czym będziemy rąbać przejście? —| Siekierą.

— Gdzie jaka siekierka? Sari przyniosła z kuchni.

— Lornetkę masz?

Sumatrę zamieszkuje — nie pamiętam — dwa lub trzy miliony ludzi, na obszarze dwa razy większym od Polski. Skupiska ludzkie obsiadły wybrzeża i rzadziej doliny rzek, a już całkiem rzadko spotyka się te stworzenia w przerębach dżungli. Ci rzeczywiście nie bardzo chcą przekreślić stare zwyczaje, które często kolidują nie tylko z życiem białych, ale także z realizacją

149

pięciu zasad Bandungu, a więc z programem Sukarno. Łagodnie to ująłem, prawda? Zresztą o co się martwić, często plemię dla plemienia jest istną zgrają tygrysów. Najpierw dolina rzeki Simganghk. Tymczasem bagno. Nie będziesz miał pojęcia o właściwości tego, dopóki sam nie zapadniesz się po kolana. Nie chcieliśmy iść wsią widoczną w jarzeniu księżycy jako kopce posypte strzechą palmową wśród drzew miki-miki, puranu, to-honu i przede wszystkim najwyższych wśród nich palm kokosowych. Nie tyle baliśmy się psów, ile pogoni Aidit Manu, która chyba przecwałuje tędy. Słaba nadzieja, żeby pułkownik zadowolili się Niemcami. Chyba z pół godziny szukaliśmy ścieżki wśród poletek ryżu, ta ścieżka biegła także podmokłym gruntem, ale tu wpadało się tylko po kostki. Do dziś podziwiam zdolność przystosowania przez tubylców budownictwa do tutejszych warunków. Domki robią takie wrażenie, jakby je wpuszczono w bagno — osiadły na czymś twardym i obcisnęło je błoto. Ludzka forma jaskółczego gniazda. Kampongi tak właśnie wyglądają.

Z góry świecił nam księżyc, ale z dwojga złego wolelibyśmy, żeby nad głowami wisiał mrok, niż pod nogami zalegała czarna maź. Mieszkają tam różne stwory, których nie znasz i nawet fantazji ci zbywa w tym wypadku. Z diabłami, które się kręcą w ciemni nad tobą i koło ciebie, od dzieciństwa jesteś oswojony...

Przenieśliśmy na butach tony błota, przemierzaliśmy tę ziemię. Sączyła się ona nawet za nami, za byle poruszeniem, jak gęsta rzeka. Już ocieraliśmy się o dżunglę. Zdawałoby się, że przejście do dżungli dogodniejsze, równiejsze dla stopy ludzkiej. Ale to było księżycowym złudzeniem, trzaskała trzcina i chrust, zarosłe zielskiem, i znów wpadaliśmy po kolana. Znów wkoło wszechkocioł zgnilizny, w którym fermentowało wszystko. Owady, grzyby, rapa naftowa tworząca się z mi-

150

lionów pogrzebanych istnień. Nawet gady z fosforyzującymi ślepiami fermentowały lub dopiero formowały się do jakichś zadań, tymczasem nie wykazując nawet skłonności do ruchu. Najżywsze okazały się olbrzymie ropuchy, przeraźliwie skrzeczące, ba, ryczące. Odór! W porównaniu z tym kanalizacją u nas jest wytwórnią perfum.

Chyba się teraz nie dziwisz, że białego tu łapie z miejsca malaria. A i połowa tubylców od małości żyje z nabrzmałymi sinymi powiekami... Jeśli nie wykitują od razu, to żyją tacy obrzmiali do dwudziestu paru czy trzydziestu lat. (Rozrodczość tu fenomenalna, spełnia się te rzeczy z fantastyczną zapamiętałością, po psiemu jak żarcie z korytka, ale przychówek z tego zostaje nieduży!)

Na nic się zdały pouczenia Zenka na temat kroku marszowego. Zamiast myśleć o tym, wpatrywał się przed siebie jak w nieustającą zasadzkę. Rozległo się ciche sykanie oliwkowego Bronka: „Niech to ślag tra-gi, a niech to...” i pojęki suchego Tadka, że to już koniec — jeśli felczer Bronek tak psioczy, to znaczy nie będzie żadnego ratunku, gdyby zaszła potrzeba. Felczer rozłoży się do czasu, który cholera zna. Rodzice mieli zły pomysłuńek, poczynając człowieka nazwiskiem... Bodajby się było nie rodzić. Bodajby nawet z piekła zostali wyrzuceni ci, co... reżyserowali przegięcia i wypaczenia. Tak wyrzuceni, jak my zostaliśmy wyprawieni w świat...

— Za kilkaset dolarów miesięcznie — powiedziałem trochę nonszalancko, chociaż mogłem krzywdzić, nie każdemu opłaca się iskówka za wyprawę.

— Masz dolarowe życie? — odciął się któryś. — Chyba takie, jak ty masz dolarową miłość. Nie mogli mnie obrazić, bo wszystko z tymi dziewczynkami dzieje się na wierzchu.

151

Światło... Ale jaki ten świt! Najpierw nic, nic, coś tam przenika do tego tunelu wśród błota, zgnilizny i odoru, nawet nie bardzo wiadomo, czy przedzierający się świt wyłapuje te pająki, ślimaki i muchy większe niż chrabąszcze, wyłapuje i prezentuje naszym oczom, czy też one fosforyzują, łuszczą się, świecą w swym makabrycznym śpiewie, a siatka pajęcza na bambusach zatrzymała światło od wczoraj — i tak stwarzają dzień dla siebie. Przecież tutejsza żarłoczność jest odmianą prymitywnej samodzielności. Więc świecą, to znów mrocą swoją siłą, inicjatywą. Jednak nadchodził dzień. Nagle, jak noc, zniecka. Słońce rozbiło się na długie, czerwone promienie tuż przed nami, to znaczy promienie dosięgły nas, a w rzeczywistości słońce krajem swej potęgi zatoczyło tylko łuk nad dżunglą i górami. Tysiące ptactwa wystrzeliło w jednej sekundzie nad wierzchołki drzew. Kończył się dla nich azyl, mocniejszy okaz gonił słabsze stworzenie. Tego świata nie stać nawet jeszcze na kruchy i zawodny system ONZ. Przepraszam...

Kształty poczęły się wydłużać, miny nasze jeszcze bardziej. Za własnymi cieniami brnęliśmy w ochronę dżungli, w kampongach zaczynał się ruch, chłopci ostrzyli sierpy na kamieniach, za chwilę wyjdą w te bagna, żeby wybierać między liliowymi łodygami ryżu dojrzałe kępki. Po dwóch — trzech godzinach uciekną do mokrych izb. Tam mieszkają razem z baranem i kozą, i ich łajnem. Jeść się już chciało cholernie. Dobiliśmy do dżungli. Słońce wypolerowało przedpole, zbity wysoki mech wychodzi naprzeciw. Ale baliśmy się usiąść. Spenetrowaliśmy ten mech i dalej baliśmy się usiąść. A nuż zmija siedzi w ziemi? Poszliśmy dalej i oparci plecami o drzewa zjadaliśmy nasze szczupłe zapasy i patrzyliśmy\* my, jak zawiązują się kolorowe loty w dolinie, którą dopiero co wędrowaliśmy. Roilo się od barw i metalizowa-

nia. Motyle i żuki. I inne ruchliwe świecidełka. Piękne? Z zachwytu aż płakać się chciało... Myślało się o czym innym. Resztki jedzenia schował każdy do kieszeni i wtedy Zdzich stęknął głucho, jak martwa, kopnięta kłoda:

— A co dalej? Nie samym duchem człowiek żyje.

— I to najważniejsze wydaje ci się w tej chwili? — zakpiłem.

— No... nie najważniejsze, jeśli nas zatrują tymi strzałami.

— Przewidujący... — Zagryzłem wargi. — Zapomniałeś o żabach? Spec. Ale dość! Żarty żartami, trzeba już przedzierać się na serio...

— Rozumiem! — przerwał mi Zdzich. — Masz! Mnie i tak ciężko bez tej pukawki. — Wtykał mi tę pu-kawkę ze śladami wżerów na lufie. A kiedy nie chciałem przyjąć, wszyscy tłumaczyli, że to konieczne. Dowódca oddziału musi się czymś wykazać w ewentualnych pertraktacjach z wodzem takiego siakiego plemienia...

— I jeszcze diabli wiedzą, czy tylko przeciw takiemu — dodał zagadkowo Zenek. Jakby mnie uderzył w twarz. Zaraz łagodził'. — Nie ma się co wstydzić słabości. Ludzka rzecz. I wtedy ty: „Taki owaki, wracać do oddziału, liczę do trzech”.

W złą godzinę przyjąłem tę pukawkę. (Całą satysfakcją, że przynajmniej błyszczała rękojeść.) W tym momencie zauważyliśmy... naszych Niemców. Verfluch-ter! Donnerwetter! Szli po naszych śladach. Jakby symbolicznie. Mogli inną drogą, ale oni uparli się traktować każdy krok Polaków jako przykład. Być może, narażali się nawet na sierpy chłopów, deptali przecież ryż, i w ogóle bielili się, odróżniali się... Promienie słońca igrały na ich wygolonych szyjach, ani byś rozróżnił, gdyby w to granie wmieszał się błysk takiego sierpa.

— Zmiatajmy! — powiedziałem ze strachem, na moment pomylił mi się czas i miejsce dziania się tych rzeczy, i być może zaciążyły na honorze jak nad rzeczką Gwdą w lutym czterdziestego piątego roku. — Nie, nie zmiatamy. („Nie damy się!”) — I wtedy dopiero uprzytomniłem sobie czas i miejsce. Cholernie mną zatrzęsło. Parzyła mnie ta pukawka w kieszeni. Hitlerowskie diabły nigdy się nie odczepią ode mnie, na wieki będą przypominać straty. A ja co na to? Różni ludzie różne mają hobby. Czy strach i nienawiść nie mogą być hobby? Tragicznym, ale hobby... Nie wybieranym.

Kiedy się zbliżyli, założyłem ręce do tyłu, a Karl i za jego przykładem ten Rudolf, czerwona piwonia, salutowali. Te dłonie sprężone na plecach wyrażały nie tyle uczucia w stosunku do Niemców, ile kieżały moje namiętności, nie pozwalały wyładować się w całej pełni mojemu tragicznemu hobby. Takiego dialogu nie wymyśliłby faszysta — gdzie! — pod sumatrzańskim niebem. Karl powiedział skromnie, jak nowo narodzony fatalista, któremu szlachetny fatalizm narzuca ów szlachetny mus:

— Jednak inaczej nie może być.

— Może pan jeszcze powie: historia...

— Tak, historia.

— Das ist Liigehistorie! Pan wie, jaka była historia. Kto ją narzucał. Ba, jaka ta historia jest do dziś dnia.

— Historię tworzą wspólne losy.

— W Podgajach nad Gwdą... też tworzył pan wspólny los.

Nieznacznie poruszył głową... prawdopodobnie chciał sobie do woli pokiwać nad moim zacofaniem. Że dla konających wspomnień wskrzeszam pamiętliwą nienawiść. On ciągle nie przyjmował tamtego za oskarżenie. A ja zamiast odwrócić się plecami, dalej rewindykowałem prawdę.

— Teraz pan rozumie, a wtedy?

— Też rozumiałem. Już rozumiałem — poprawił się.

— I co?! Wyciągnął pan wnioski?

— Tak.

— I co z tego? — pytam.

— Była przecież wojna.

— Miał pan mówić o wnioskach.

— Chciałem szybkiego końca wojny.

— Ach, co za odwaga! — Śmiałem się i chciałem, żeby się wszyscy śmiali, moi koledzy i nawet ten Rudolf o twarzy jak piwonია. Ale koledzy jakby się rozchorowali na milczenie. Nie wykazywali chęci do de-mostrowania swej wyższości moralnej w takiej sytuacji. Przeciwnie, chcieli być wyżsi pod względem taktycznym. I ten Rudolf, od którego także oczekiwałem poparcia mojego triumfu... Jednak dezorganizowałem mu melancholijne marzenia. On pragnął zmiękczenia swojego komendanta. Pragnął uczynić z kłamstwa i pokory instrument kompromisu budującego porozumienie. Kiedy wsiałem na niego z pytaniem, czy także był wówczas nad Gwdą, nie zaprzeczył, chociaż przez sekundę błagał spojrzeniem swego komendanta o zgodę na mówienie. Wydatną szczękę starał się ukryć pod dłonią, żeby mnie nie drażnić.

— I także próbowałeś nas pan zmusić do ucieczki? O trochę żeśmy... — W porę ugryzłem się w język, za dużo szczerości, za dużo upokorzenia. — I dla pana ważniejszy był rozkaz niż przekonanie o końcu Hitlera? Oj wy, wy... Wyznawcy hipokryzji.

— Ja o tym nie myślałem. Ja się bałem Polaków — wypalił i już bez obawy wysunął szczękę.

— I cieszył się pan, że Polacy będą uciekać...

— Nie! Ja się rzuciłem na ziemię. Ja się bałem Polaków. Ja się zawsze bałem Polaków. Taki szalony, dzielny naród.

155

Normalnie rzecz biorąc, powinienem być zadowolony i nawet zobowiązany, że w żadnym wypadku nie byłbym uciekał przed Rudolfem i że przy końcu wojny nie za jego przyczyną byłbym zasłużył na miano tchórze. Wydało mi się to jednak zbyt pięknie, żeby było -prawdziwe. Nie mogło być prawdziwe, ponieważ oni dążyli do powszechnego naszego upadku i nie mogli nie pragnąć, żebyśmy przed nimi uciekali. Powiedziałem kategorycznie:

— Choćbyście przynieśli mi sto dokumentów od samego Boga, że jesteście ci „dobrzy Niemcy”, to i tak nigdy nie mogę być pewny, czy właśnie nie wy zamordowaliście moją żonę, Marię, i dwoje dzieciaków. Zaparłbym się krzywdy, a więc także pamięci wobec najbliższych na tym świecie. I w mojej świętej powinności... Nie zmuszajcie mnie, żebym się zapomniał i wykorzystał okoliczności w dżungli... Zaproponuję najprostsze rozwiązanie: proszę się od nas odczepić!

Karl opuścił głowę z żalem. Denerwował mnie. Bo on nie obawiał się marszu bez nas, natomiast żałował, że nie mógł mnie przekonać, iż jestem w błędzie. Na koniec pragnął się zadowolić choćby gestem, poprosił o papierosa.

— Pan przecież pali te niemieckie cybuchy.

— Zigaretten? Pułkownik Aidit Manu zabrał wszystko, żeby nas wziąć głodem.

Rzuciłem mu całą paczkę kresta pod nogi; niepotrzebna nonszalancja. Karl się nie ruszył, odwrócił głowę. W pośpiechu schylił się Rudolf.

— Będziemy maszerować osobno, ale w pobliżu siebie — oświadczył Karl.

— Nie nadużywaj pan moich nerwów. Nie zapanuję i...

— Nie robi pan tego.

— Taki pan pewny? Zmuszacie nas do wspaniało-

156

myślności? W imię czego, do diabła?! Co by pan uczynił ze mną w tamtej sytuacji?

— Nie wiem. Nie znaleźmy się. Sytuację określa historia.

— I teraz się nie znamy. Jakaż to znajomość? Mordercy z mordowanymi! A nawet gdyby nie to...

Gdyby zapomnieć, to i tak nie. Nie pasalem z panem świń.

Jakbym go ogłuszył, stracił panowanie nad sobą, ale jeszcze do granicy, która gwarantowała mu bezpieczeństwo z mojej strony. Moje ręce drgnęły na plecach i znów się związały palcami. Karl powiedział bezczelnie, bo ciągle podkreślał swoją dobrą wolę:

— Nie znam takiego przysłowia. Ono obraźliwe, tak? Coś z tego jednak rozumiem. Hm... Ale czy tak mówią komuniści?

(„Och, ty diable! Nawet nie mogłem przyznać się przed nim, że nie jestem komunistą i trochę mam z komunistami na pieńku. Oni odpowiadają, ale czy dostatecznie panują nad biurokracją i kontrolują sprawiedliwość?”)

Karl ciągnął tym samym tonem, z emocją, jakby podkreślając tym, że jest niezależny mimo marszczenia moich brwi i jest inny niż Rudolf. Prawidłowy. — Przecież pan nie powie, że tylko Niemcy zabijali. Wojna. Tylko dzieci mogą być niewinne. Gdyby nie wojna, może wszyscy bylibyśmy jak dzieci. Przecież i pan na wojnie nie grał w golfa... No to co z tego? Pan był też żołnierzem. Do końca życia mamy być nierozsądni?

(„Zabiję skurwysyna. Zabiję, jeśli będę go słuchał dalej.”)

Rozpoczęło się żmudne wgrzanie w las. Żmudne, ale początkowo to była bajka; wynikło potem z porównania. Las był jeszcze przejrzysty, taki krajobraz jak wi-

157

działem, przecież człowiek trochę wychodzi za port w interior. Poszycie sięgało ledwie do piersi, na rws nie przeszkód wystarczyły piersi i łokcie. Głowami ze haczyliamy tylko o nieprzebrane sieci pajęcze, w kt

cięcej, oczy miały jak guziki. Ludzie wydali im się jec nak za potężnymi ofiarami. Niegroźne. Ale obrzydł: we były pijawki przylepiające się często do naszyć ramion przy konarach. Rwałem naprzód, tuż koł

aierajmy się, może być dwa. Przez pewien czas koledzy ;li nabrzmiali, ale wytrzymywali, trochę urzekłem ich woja zapalczywością. Ba, przywarłem do siekierki, gdy oczęły się -mnożyć po drodze barykady. Jakie? Po rostu zsuwała się przed tobą ściana z drzewa lub ziele-  
rych czatowały pająki niekiedy wielkości piąstki dziei przetkanej robactwem. Wywijałem siekierką. Celo-

ałem i uderzałem. Pasjonowałem się. Rozrąbię całą żunglę, żeby tylko pozbyć się towarzystwa Karla. Bo ikie inne wyjście? Odwrócić się walnąć w łeb? Przy-ominałem sobie słowa Karla, wyważone, ale jadowite,

mnie Tadek z siekierką i Bronek z kryzem. Tymczasei| podtekstem buty, (buta!) i od nowa wstrząsała mną

nie były potrzebne. Wysoko nad głowami przewija! się zwierzęce stwory, leopard lekko drgnął w kolcz, | stej kolebie tohanu i zrezygnował z zamiaru, porach wawszy nas ślepiami. Ptaki w górze ciągle ucieka: przed sobą. Czuło się jeszcze jakieś zrozumiałe życi Dążyłem naprzód z zaciśniętymi pięściami; do walk żeby się wyładować. Czasem folgowałem, żeby Kar który szedł kilkaset kroków z tyłu, nie pomyślał,

ienawiść. Woła nienawiści równoznaczna z wołą zwy-ięstwa — zwycięstwo przez zgubienie tych choler. Fiech ich tygrys pożre. Nawet pukawki nie mają. Diabła tam, przecież on wiedział, że nas las nie od-ziela! Nie ratował życia uciekając przed Aidit Manu, le narażał życie. Jakby sprawiało mu to jakąś złośliwą atysfakcję. Może zrobię mu przyjemność, gdy wymie-zę do niego lufę? Czy myśli, że się cofnę? Ale do czego

uciekam przed nim. „Skurwysyn, nawet nie uważa 2 osłuży mi ta kula? Środek czy cel ta jego śmierć? Jeśli

stosowne zaprzeczyć,- że nie ma nic wspólnego z mo: derstwem Marysi... Ni słowem nie potępił. Zabiję, jeś jeszcze raz taki... Od śmierci Marysi jestem sam. Lepi niech ten Karl nie wchodzi mi pod rękę.” Parłem ni przód z zaciśniętymi rękami. Tak maszerują Polacy. T nic, że trochę skaleczeń na twarzy. Ramię nie zaws w porę zasłoniło. Może nawet dobrze, że szli z tyłu, ła wiej pokonamy przeszkody. Tak, łatwiej. Czułem s związany potrzebą udowodnienia, że świetnie radziirr sobie sami, bez pomocy. Że przeciwnie — oni pasożyt Cieszyłem się z odkrycia, to odkrycie oczyszczało sen z małych wątpliwości. Nienawiść potęgą twórcz O, tak, wyrąbiemy drogę ciosami. Tak

zmożemy każde; wroga. Nie potrzebujemy uciekać się do jakiejś ta: przypadkowej solidarności. Pompowałem energię i z; pał w kolegów. No, uszliśmy już ze trzy kilometry. N

158

O zabiję, to po to, żeby go zabić czy też uspokoić się? Joszę w sobie jego śmierć, śmierć NIEMCA, czy swoją mierz? Umrze tylko za swoje winy czy także za wszytkie moje cierpienia? Boże, Boże, Karl prawdopodobnie doszedł do absolutnego wyrafinowania. Markuje LŚmiechami swoje prawdziwe zamiary! Na wszystkich wojnach zapamiętał się w zabijaniu, zobojętniał nawet ia własną śmierć — dał dowody — i teraz pragnie wciągnąć w to diabelstwo największe ofiary zbrodni — 'olaków. Unikając otwartej prowokacji, pragnie do-irowadzić do zabicia dzięki rozwojowi tego zamysłu

a k o i d e i. Że prymityw tej idei tkwi w każdym.

1 zewnętrznienie, realizacja, to tylko sprawa okoliczność-1 i okazji.

Sto pytań, sto podejrzeń zespolonych bólem nienalad

wiści, bólem utrat żarło mnie! W tej sytuacji mogłem tylko odwrócić się i zaświecić w ślepiu Niemcom lub uciekając, wykazać swoją moc przed sobą i zarazem. dowieść Karłowi, że nie skorzystam z okazji. Stałem oko w oko ze swoim człowieczeństwem. To znaczy, namiętności skrzyżowały się z nakazami człowieczeństwa.

Jak widzisz, niełatwą miałem podróż przez dżunglę. Kiedy pochylony rozszarpywałem liany, to przecież ciągle szarpałem za splątania w sobie. Tak przebijalem się przez swoje straty od moich Baranowicz do Wału Pomorskiego i Kołobrzegu. Tak przeciwdziałalem ucieczce nad Gwdą, żeby nie ucieszyć Niemców, iż nie mylili się tępiąc tak zwanych słabszych ludzi. Kolce lian ranią skórę — to były pojedyncze przypomnienia strat i bólów. Zgiętym ramieniem osłaniałem się przed ciosami wychylającego się, ciągle kuszącego prymitywu.

Jeszcze nieraz muszę wrócić do zdefiniowania m o-jego stanu wówczas. Dopiero wtedy odpowiem na pytanie, dlaczego o zmierzchu, zgłodniałi, wydobyliśmy się na powrót z dżungli, i zeszliliśmy w dolinę.. Wybraliśmy miejsce bezludne. Słusznie — pogonie Aidit Manu przecież nie zatrzymają się w wioisce, którą minęliśmy o wschodzie słońca. Mógł także ścigać szybkimi łodziami rzeką Simpangk. Zobaczą ognisko, gdy rozpalimy tuż nad brzegiem. Chyba mocniejsza była obawa przed kuszeniem prymitywu. Byłem pewny, że Karl i Rudolf doszłusują w dżungli do nas, gdy tylko błyśnie ślepiami lub żary czy zwierz. A wtedy...? Ach, po co mnie obarczono tapukawką! Myślałem tak, jakby Karl nie znał drogi za nami. Tyle, co rozłożyliśmy się u podnóża — powiedziałbym — potężnego niegdyś kampongu, po którym zostały na dole rozwalone chaty z mat bambusowych, zaro-

160

słe zielskiem, a na górze ruiny twierdzy podparte obalonymi i pozieleniałymi palisadami, tyle co zaczęliśmy gromadzić chrust na ognisko i obejrzeliliśmy się za dzikimi ziemniakami, które stały się, jeszcze bardziej dzikie, gdy wyludniła się ta okolica — a już nasi przyjaciele wychynęli z dżungli, skokami, jakby wystraszeni przez noc. I rzeczywiście, przynieśli z sobą noc. Rozłożyli się jakieś sto metrów od naszego ogniska... No chyba nie uznasz, że miałem możliwość jakoś spokojniej myśleć o czekających nas kłopotach. Sąsiedztwo zniweczyło takie myśli w zarodku. Karl wydzierał mi dumę z człowieczeństwa, które sobie narzuciłem, obnażał sztuczność mojej ofiary. Trąd nienawiści toczył mnie ze zdwojoną siłą. Obfity Zdzych i suchy Tadek poszli na żaby, brnąc przez bagnistą połąć do zatoki, a ja z Bronkiem i Zenkiem obierałem bulwy. Nie jadłeś? W Polsce dzikie świny jedzą lepsze. Ręce nii się trzęsły. Bronek od razu powiedział to swoje: „A niech to ślag trafi" i miał na myśli moją mękę i niebezpieczeństwa wynikające z tej męki. Nie pochwalał. Dalszy od aprobaty był Zenek, denerwował się moim zdenerwowaniem, nie wiedział, co robić ze swoimi rękami, chętnie by potrzęsnał mną, ale przecież nie wypadało, i był podkomendnym, więc raz po raz wysuwał je nad płomień, chociaż było raczej gorąco od samego powietrza. Rozganiał dym i wędził się. A potem, gdy się prostował, płomień oświetlał jego rozżalone nieszczęściem nazna-kowane usta. Wreszcie wykrztusił:

— Tu była jakaś bitwa, ba, długie walki. Czuję nosem, że część wyrżnięto, a część zaszyła się w dżungli. Bardzo cięci na wszystko. Może jeszcze smakuje im białe mięso. Aidit Manu polega na takich. Jeśli pójdziemy naprzód, to jutro możemy się na nich natknąć.

— Przecież nie róże obiecywałem — wybuchnąłem.

— Ale także nie śmierć z wykrwawienia przed cza-

11 — Dziewczyny i chłopcy

161

\*Sti

sem. Prosimy, niech Niemcy idą spokojnie za nami, mogą się przydać.

— Jesteście pewni? — Rozsadzała mnie gorycz. — A jeśli zaatakują od tyłu?

— Nie. Wiedzą, że ich skonsumują niezależnie od tego, jaki będzie ich stosunek do nas.

Cierpiałem. Och, jak cierpiałem! Czego ja się doczekałem. Co za tchórzostwo, co za brak godności.

Przyjmą życie z rąk Niemców, choćby zaraz potem mieli być rozstrzelani przez tych Niemców.

Byle pożyć jeszcze chwilę. Okrutne doświadczenie. Brr. Otrzepuje mnie, ponieważ niosę przekleństwo doświadczeń. Doświadczenia dobrze zapamiętane stają się drugą moralnością, zaś przekleństwo charakterem.

Zdych i Tadek przyszedli z czapkami [pełnymi zakatrupionych żab i powiedzieli, że odkryli kilka łódek z poszarpanymi od kul żaglami. Zenek patrzył na mnie... uświadamiająco. Hm... Kiwał głową, żebym potwierdził sytuację przedstawioną przez niego. Utkwiłem oczy w udkach żabich skierowanych łagodnie na żarzących się węgielkach i myślałem z trwogą, że... z powodu Niemców mogą się rozejść nasze drogi... Okrutne.

W nocy nie zaszło nic specjalnego. Rano, kiedyśmy ' zauważyli ruch na rzece, właściwie:

usłyszeliśmy ten ruch, plusk, plusk, zwinęliśmy manatki i co sił do dżungli. Przejdziemy raz dwa utorowaną trasą i zabierzemy się do rąbania dalej. Aniśmy się obejrzeni, co z Niem-' cami. Jakież było nasze zaskoczenie, gdyśmy się przekonali, że Niemcy już są na miejscu i rąbią dukt nie gorzej niż my wczoraj. Odpłacili się pomocą za pomoc. Kumple całą gębą! Pfu! Świadomi prawideł przyzwoitości.. Pfu! Cholerne świnię. Cho-lerne! Ale tylko ja jeden byłem zaskoczony niemile... co koledzy uznali niezgorszy bzik.

Wyobrażasz sobie, ile się nacierpiałem. W beczynności lepiej widziałem małpki naigrawające się ze mnie, białe mrówki rzucały się ze swoich kopców z większą zaciętością na moje łydki, jako na łydki człowieka przegrywającego nawet w najlepszym gronie.

— Za powoli idziemy! — Rwałem naprzód, jak broń szybkostrzelna. Ale koledzy zatrzymywali. Niech Niemcy się potrudzą i niech mają satysfakcję. Nie wytrzymałem tego, zaraz po południu zarządziłem powrót czy też odwrót na linię rzeki Simpang. Znasz określenie: „oderwać się od nieprzyjaciela". Kolegów przekonałem, że racjonalniej będzie, nawet uwzględniając odpowiednią porcję niebezpieczeństwa, popróbowałem płynąć wodą, tak, tak, za pościgiem. Pół dnia za pościgiem. Ani chybi, to oni rano robili taką wrzawę. Pogonią do pewnego punktu górnego biegu rzeki i zawrócą, mamy mapę i zdołamy w porę uskoczyć na ląd, gdy pościg zawróci... Logiczne? Dwa i dwa jest cztery, zgodzili się koledzy, ale pod warunkiem, że „nasze" czółna rzeczywiście będą do użytku. To znaczy popłyną przy pomocy wiosł. Skąd pewność, że zniszczeniu uległy tylko żagle? Ale to nic, można się wycofać, dokiem nie rozporządzamy. Ale kto każe „pościgowcom" trzymać się naszych założeń i uwzględnić nasze przewidywania? Dwa i dwa jest cztery, jeśli dwa jest rzeczywiście dwa...

Nie mieli racji, ponieważ ja byłem dowódcą, a oni podkomendnymi. Określenie sił następuje samo przez się, ma się rozumieć, nie brałem pod uwagę buntu, który wprowadza inne zasady w stosunki. Koledzy szli ze spuszczoneymi głowami, duktem pełnym wibrującego słońca.

Po wyjściu z puszczy od razu zaczęła się moja klęska. Dotyczyła wszystkich, mogła się skończyć fizyczną katastrofą dla wszystkich, na czele ze mną, ale ja byłem

162

163

redaktorem nowych projektów i ich fiasko, h a n i e b-n e fiasko obciążało mnie, bez dzielenia się z kimkol- '•!| wiek.

Tyle co wyszliśmy na pełne światło dzienne, wypadki potoczyły się w tempie błyskawicznym. Na miejscu naszego nocnego obozowiska rozłożył się istny jarmark z namiotami i wózkami, oddzielony w dość dużej odległości od swego centrum rojem włócznie i dzid. Przeciw puszczy vis a vis wyrąbanego duktu ustawili kuszę, takiego spróchniałego jaszczura przedpotopowego, opartego

o baobab. Motyle płynęły w tym kierunku, zdawało się, że pragną zatkać lufę. Przy kuszy stało kilkunastu półnagich wojowników, od ich lśniących torsów promienie słońca odbijały się refleksami. Wprost do nas... Wprost na nas...

Pierwszą moją reakcją było cofnąć się. To cofnięcie się nie z powodu strachu, ale przed kompromitacją. Oślepiłem od wstydu i nawet nie zauważyłem, że na mój ruch wojownicy postąpili kilka kroków naprzód. Powstrzymali koledzy.

— W dżungli będą dziesięć razy silniejsi od nas, sam ostrzegałeś.

— Tak, ostrzegałem... Ale może nie pójda za nami. — Wyciągnąłem tę pukawkę i manewrowałem nią w słońcu. Promienie odbijały się od muszki i biegly jak strzały. Wojownikom nie była obca ta broń. Stanęli, pokrzykując do tyłu gardłowym głosem. Spod największego namiotu wydobyło się chłopisko ubrane za dziesięciu.

Nie będę szczegółowo opisywał tej śmiesznej bitwy na spojrzenia celowane z odległości i na lornetki. (Ten dobrze ubrany facet też miał lornetkę.) W pewnym momencie ów facet, wykonawszy kilkanaście niezrozumiałych dla mnie ruchów włącznie z podskokami i próbą zdzierania z siebie szat, wycofał się do swego namiotu, na którym po chwili pojawił się buńczuk i wywieszono

164

świętą chorągiew Mahometa, trochę sfatygowaną, zaraz też wychynął stamtąd ów facet, ale w stroju całkowicie białym. Wojownicy doszlusowali do niego. Na jego tle wyglądali jak istoty-robaczki — stworzone z samego cienia. Wódz pochłaniał blaski słońca. Te blaski i te czarne robaczki pociągnął do kuszy. Na jego znak część robaczek rozsunała się po barwnych polach, po obu stronach wodza, w kierunku dżungli, niedwuznacznie zamierzając odciąć nam drogę odwrotu. Mogłem ubiec te zamiary, wycofując się póki czas. Zresztą na pewną zgubę, wojownicy dźwigali włócznie i luki. Manewr nazywałby się czczym gestem. Nie uczyniłem tego. Ale i tak nie chciałem tego uczynić, ponieważ znów przeszkodził Karl... Pojawił się ze swym Rudolfem i wcale nie dyskutując nad realnością ataku, od razu wyciągnął wnioski z widoku wystawionej pod baobabem kuszy i pistoletu w moich rękach. Wnioski krwiożercze, i to było dla mnie pociechą.

— Verteidigen? — spytał z podniesioną głową. — Oder... attackieren?

Zanim zdołałem ochłonąć, Karl wyciągnął zamaszystym ruchem piękny, oksydowany mauzer z kabury i pokazywał nim kierunek natarcia i obrony. — Vor-warts? Links? Dort wo Rudolf?

Verstehen Sie?

Jestem pewny, że w tym momencie Karla rozděła jego ważność. Mniemanie o ważności. Misja! Bez nich nie damy sobie rady... Jeszcze nie zdołałem porachować się wewnątrz w związku z rozbiciem mojej wspaniałomyślności — on też miał rewolwer! — a już ten hycel chciał mieszać się w nasze sprawy. To było za gwałtowne dla mnie — od stanu wyższości moralnej do kompromitacji. Stał nade mną w swoim tropikalnym ubraniu, przeżartym już zielenią, jak skoczek w znanym nam z wojny ubiorze. Dyktował warunki... Uśmiechał się do fi-

165

gla lub — co gorzej — do obrazka swojej z kolei wspaniałomyślności.

— Weg! — sykałem. Wojownicy docierali już do dżungli.

— Warum? — zdziwił się Karl.

— Dlaczego? — krytykowali moi koledzy.

— Nie będzie fałszywego sojuszu! Oni...

Karl wywracał swoimi niebieskimi oczami i gestem rozpaczy zatoczył krąg, sytuacja stawała się coraz niebezpieczniej sza. Rudolf składał dłonie i popłakiwał: — Kaputt, kaputt.

— Gemeinsame Sache... — jeszcze próbował dyskutować. Ale tak mi się tylko zdawało. Nie zauważyłem nowego ruchu pistoletem w ręce Karla. Powiedziałem:

— Unsere Sache ist gegen germanische Sache. Ich glaube...

— Meine Sache ist Euere Sache! Sehen Sie! — Teraz dopiero zorientowałem się, że wręcza mi swój piękny mauzer, mnie — Polakowi, żebym bronił i zwyciężał we wspólnym imieniu. Ale ręka mu drżała. Z żalu i obawy, czy będę zdolny sprostać zadaniu i zaufaniu.

Dno dna!

Na tym dniu ktoś był nade mną, stopami na mojej głowie, swoją głową wydobywając się jednak nad

poziom.

Nie chciałem przyjąć broni. Wtedy Zenek zdradliwie, bez rozkazu, przejął pistolet i odrepetował. Rany Boskie, stanie się coś nieodwołalnego, czego historia mi nie zapomni. Więc ratowałem honor i sens historii, i odebrałem Zenkowi... Kiedy się obejrzałem, byliśmy już osaczeni.

— No... — powiedziałem zrezygnowany i... z ulgą.

— Donnerwetter — jęknął Karl.

166

— Kaputt — zachlipał jeszcze raz Rudolf. — Meine Kinder...

— Doczekaliśmy się swego — orzekli moi koledzy.

Przeszliśmy razem dużo. Były między nami nieporozumienia, ale nie tej miary. Małe chwaściki na czystym polu wielkiej przyjaźni. Chwaściki nagle pod ciśnieniem niespodziewanego rozwoju wypadków rozrosły się w drzewa przesłaniające wszystko.

Odkąd straciłem prawdziwą żonę i odkąd nowa żona była dla mnie tylko towarzyszką formalną ze ślubnego aktu, uważałem serca kolegów za swój dom i moje serce otwierałem dla nich, najcieplejszy dom. Przyjaźń uprawiałem solidnie i z miłością, jak chłop ziemię swoją jedyną. W końcu przyszło mi to wszystko opuścić. Nie oskarżam, że się pomyliłem, ponieważ nie pomyliłem się co do wspólnej z nimi przyszłości. Musiałem opuścić mój dom i moją ziemię, ponieważ serca zostały zarażone oportunistycznym i grozą. Serce moje było smutne.

Nie naradziwszy się z kolegami, ruszyłem w dół do baobabu, żeby poddać się wodzowi w białych szatach. Nie będę prosił o łaskę. O siebie samego nie byłem zobowiązany dbać. Przed oczami przesunął mi się cały świat okrucieństw i tortur, o których słyszałem od ma-trosów indonezyjskich, ale nie działały one na mnie. Wyłupią oczy? Zmiażdżą genitalia?

Niosłem w podarunku mauzer Karla i tę pukawkę, trzymając je za lufy. Zanim przekonali się, że w takiej pozycji są niegroźne, wojownicy pochylili włócznie do ataku i wódz czmychnął do namiotu, coś przedtem rozkazuj ąs. Przystanąłem zaskoczony. Przecież ja się nie będę bił. Po co? Chciałem poddać się, ponieważ w tej

167

sytuacji nie mogłem zrobić nic bardziej honorowego. Odpowiadałem tylko za siebie. Niepotrzebnie obejrzałem się i zobaczyłem, że w odległości kilkunastu metrów suną za mną koledzy, a za nimi Niemcy'. (Pływali w pocie, chociaż słońce już zniżyło się do wierzchołków dżungli.) Za tym pochodem kroczyli wojownicy, podskakując zwycięsko.

Byłem już blisko ostrzy włócznie i zardzewiałego grotu tkwiącego w krzywym drewnie kuszy. Tu powinna być zapadnia, która się otworzy i pochłonie mnie. Czegóż bardziej miłosiernego może sobie życzyć człowiek z pustymi rękami i z sercem, z którego wypompowano treść jak ze skorupy wschodniego owocu? W tym momencie pojawił się na widowni wódz, zrzucił białe stroje, a włożył na siebie splecione zwały różnokolorowych szmatek, ponabijanych kolcami, wyglądał jak gniazdo podzwrotnikowych os. Rozbrzeczy się, przerazi... Aha... To ci kiepele! Na dodatek na wielkim łbie usadowił czaszkę bawołu z ostrymi rogami. Pysk zaryczy, rogi poboda. To ci kiepele! Ale i bez tej imitacji grozy byłbym się poddał i byłbym jednak prosił o ulaskawienie moich kolegów. Tylko moich kolegów. Śmierć Niemców byłaby ulgą dla mnie.

Wódz odznaczał się nadzwyczaj szeroką i kościstą twarzą, ściśle obciążoną ciemną skórą. Na tym tle tkwiły oczy uciekające w głąb i widniały wargi wzdęte jak bąble. Na widok pistoletów trzymany za lufy owe bąble rozmazały się od ucha i ucha — to oznaczało : najwyższy akord uśmiechu i radości. Oczy wyskoczyły i stały się wypukłe. Widać było czerwone żyłki. Ręka zbrojna w złoty łańcuch podniosła się ku wojownikom i uciszyła ich nastroje, włócznie i dzidy opadły na ziemię. Drugą ręką kazał przyciągnąć pniak drzewa, usiadł i dopiero teraz złożyłem na jego kolanach pistolety. Huśtał je jak dzieciaczki przemile, a wargi rozdymały się

168

w radości i łaskawości od ucha do ucha. Reszty dopełniły świecidełka... Wtedy wódz wstał i w powietrzu, w którym zawiązywały się przedziwne tańce muszek i komarów, ogarnął nas wszystkich uściskiem przyjaźni — symbolicznie, ale dobitnie. Nas wszystkich i tych Niemców. Rozumiesz to? Mea culpa.

Moja wina.

Wódz obiecał nam dać przewodnika do portu Pang-halanberandan. A więc dla Niemców też... Wszyscy byliśmy jego przyjaciółmi, ponieważ gonili nas jego wrogowie, nieprzyjaciele Sukarno. Rozstap się ziemio! Nie rozstąpiła się, na przekór mnie.

Jednym skokiem zapadła tropikalna noc i na tym zakończyły się pierwsze uprzejmości ze strony wodza. Główne feerie nastąpiły niebawem wśród zburzonych chat przy akompaniamencie odgłosów w dżungli. Wielką paszczą leśną targały namiętności krwawego działania.

Na małym placu, pośrodku którego paliło się wielkie ognisko, siedzieliśmy po obu stronach ubranego strojnij wodza. Z tyłu na ławie znalazło się jeszcze kilkunastu mężczyzn ubranych jako tako, w potarganych butach na nogach. Wkoło gromadzili się ludzie bosy i okryci tylko tam, gdzie było to konieczne. Piersi młodych kobiet błyszczały w świetle gwiazd niby polerowane dzwonki. W świetle ogniska pojawiło się kilku młodych mężczyzn niosących dziwne bębny. Jeszcze dziwniejsze okazały się tony muzyki wywoływanej z tych bębnow. Dźwięki spod pałacek nie wyskakiwały, jak to dzieje się powszechnie, ale wypływały i płynęły. Bębny obszyte skórą daniela były napełnione wodą. Po raz pierwszy zobaczyłem takie instrumenty.

Co grali? Nie wiem. Coś wesołego, bo ludzie w przerwach komentowali żywo i śmiali się. Ten śmiech w wielu bezzębnych ustach obracał się jak żarna. Ale śmiali się. Byli weseli, przyjacielscy, wbrew moim ostatnim doświadczeniom. Byli weseli wbrew mojemu przygnębieniu.

Szukałem wyjścia z matni. Choćby samobójstwo... Ech, nie tak jak wulgarni samobójcy. Zagaszono ognisko i kobiety przysposobiły się do tańca. Nagie kobiety. Te młode kobiety z piersiami takimi, jak mówiłem. Wódz się śmiał i trącał mnie łokciem. Kiedy bębnienie przybrało na ostrości, kobiety dostosowały się do tej wysokiej nuty. Napięły się, ooch! Suwały, suwały zgrabnie stopami, szurały, szurały, jakby odbywało się poszechne tarcie albo jakby tarta mak w wielkiej donicy między potężnymi udami. Zapamiętano się. Misterium. Moi koledzy zaaklimatyzowali się, Niemcy też się zaaklimatyzowali, tą jednością naigra-wali się ze mnie. Szurali nogami po moim grzebiecie, po mojej [pamięci].

I ja zacząłem szurać nogami, coraz głośniejsze, żeby odeprzeć ten wrogi nacisk. Nie zauważyłem, kiedy wstałem, szurając bez przerwy, wszyscy byli zajęci sobą. Właśnie sobą. Nie kobietami, które wybijając głośno stopami nuty, zagłuszały tony bębnow.

Szurając odchodziłem coraz dalej, zacierając tym szuraniem ślady, za sobą. Formować się na nowo.

Jak żyć?

Opowiadał w tym mało znanym porcie na północy, niedaleko Władywostoku... zimny port. Puste, bezkształtne place między pokrzywionymi domami kaza-ły się domyślać, że tu były rumowiska wojenne.

Było dużo czasu, ponieważ nasz statek ugrzązł przy kei z przyczyn co chwila zmieniających się. Teraz to śmiech, ale wtedy głowa pękała. Od tego nicnierobienia. Od złych przeczuć. Filmy się dawno wyczerpały, gazety nie doszły, windy milczały, krany zamarzły czy co, malować sfatygowanego dziobu nie wolno bez zezwolenia Kapitanatu... Kapitanat groził minami amerykańskimi. Na domiar, kolacja już o piątej, bo jak wiesz, kucharz, steward i ta cała obsługa są na umowie dejmanów. Nic więc dziwnego, że do głowy waliły ciężkie myśli jak pod pompą. Śnieg był na wysokość chłopca, nie tak jak teraz, że ledwie ci się nasypie do tych twoich koziołebców, ale i wtedy morze nie zamarzło i ciągle była nadzieja wydostania się, niech tylko pozwolą. Gdyby zaś morze zamarzło — odgrażałem się — to rozbijam bund i biorę z niego ze trzy dzwona tej suchej końskiej kiełbasy, ze trzy butelki spirytusu, kawałek chleba i zasuвам do Władywostoku.

Poznałbym miejsce zesłania mojego pradziadka i piętnastoletniej służby wojskowej dziadka, który koniecznie chciał, żeby jego wnukowi nadano imię Jalu od rzeki,

171

nad którą carskie żołdacy dostali wycisk. Obliczyłem, że w ciągu tygodnia jestem na miejscu, a potem już fraszka, do Warszawy i do synka, który urodził się wcześniej, o czym zawiadomiła mnie żona jeszcze na Morzu Japońskim (gdzieś na wysokości Otaru) o godzinie dwudziestej trzeciej

minut siedemnaście według tej wschodniej rachuby. Byłem zaskoczony i wniebowzięty, ponieważ synek się chował dobrze, chociaż nosiła go tylko siedem miesięcy. Niestety, nie mogłem stąd wysłać depechy, żeby zaproponować imię dla pierworodnego, przecież miałem zdążyć na czas jego narodzin, tak wtedy planowałem. Ale pospieszyła się, hm. Rozumiesz więc moje myśli. Koledzy szarpali się ze swoimi zgryzami, nie spodziewaj się od nich żadnej pomocy, spojrzenie mówiło: spieprzaj, bracie, bo cię okaleczę... Wolałem szorstką szczerą niż uprzejme kłamstwo. Nie lubię ludzi podrabianych. Co miałem robić, żeby zniweczyć desperację? Wódki nie było. Stary pilnował Ochmistra, jak pies budy, i wyładowywał złość na nas, zamiast rąbać pięścią w Kapitanacie portu.

Nie wiem, czy rozumiesz, o co chodzi. Działo się coś, na co nie zawieraliśmy umowy. Niejeden z nas przez cały rok nie widział rodziny i nic się nie stało. Przecież wyraziło się zgodę na mękę i tęsknotę. Niejako wliczało się to w kaszty. Teraz zabijała bezterminowość czekania, znaczy: beznadziejność, za którą nikt nie płacił, bo nie było na nią umowy. Ugodzono w poczucie honoru i sprawiedliwości. Przyjaciele! Jakby ktoś gwałtownie odepchnął cię od burty, gdy wyciągasz rękę po list. A ty trzymasz się uparcie relingu i to pogarsza twoją sytuację.

Nasz tłumacz, dwudziestosiedmioletni Kim Tschong, był człowiekiem szlachetnym, ale ździebko naiwnym, jak i jego żółte spojrzenie. Żółte? Dziwne, co? Miał koło oczu takie cholernie duże torby wątrobiane, jakby

172

f

chłał bez przerwy, kiedy dorwał się do własnych pieniędzy. Fantazja. Gdyby było wolno sprzedawać tu wódkę, to nasz tłumacz i tak nie skorzystałby z tej możliwości. Ale pijane słowa trzeba włożyć między teoretyczne aluzje, ponieważ Kim Tschong był zawsze trzeźwiutki jak ich azjatycki anty cyklon w zimie — znasz? — lub jak poranny podmuch. Niczego nie można w nim zmienić, albowiem chłopak reprezentował część niewzruszonej metody. Rządzenia i słuchania. Łagodne spojrzenie spływało właśnie na te żółte torby pod oczami. Nie mówił, lecz śpiewał wyuczonym głosem, jak w ich babskim chórze, który składa się z trzech tysięcy osób i jest przyobleczony w jedną białą kilometrową suknię, w trzech tysiącach miejsc spletaną szarfami niby krawatami. Wszyscy śpiewają w jednym chórze. Otóż ten Kim dziwił się, dlaczego czuję się źle, skoro mam wszystko, co mi potrzebne do życia, żarcie, że hej, ciepło w kabinie, że hej, spanie, że buzi dać, a poza tym mogę chodzić na spacerów w rejonie portu, rozmawiać z ludźmi, wokoło i robić zakupy w kantine. Rozmawiać, to znaczy mówić jak do słupa.

Byłem wzruszony intencjami Kima i więcej dla jego satysfakcji niż z przekonania wybrałem się na przechadzkę, w której nie wolno było rozwinąć się szerzej, niż... (hm) zakres działania kuli z kabe. Przepraszam za polską miarę, ale nie mogę inaczej, bo tamci mają karabiny radzieckie lub chińskie, które różnie noszą.

Z pokładu widziałem tylko z lewej strony morze, dalej półkole dymiących kominów, a wśród nich sadyby ludzkie, zaś w tyle pasmo ośnieżonych gór ze ścieżkami wydeptanymi przez łapcie i legendy prowadzące do cudownego korzenia żeń-szeń, znikającego tak jak złoto, gdy się na nie spojrzy. Z prawej strony za burtą miałem keję zastygłą w bezruchu i magazyny. A dalej? Nic.

Beznadziejnie dyndał się trap.

173

Ten dzień był wietrzny i ponury. I ja byłem w ponurym nastroju. Z rękami w kieszeniach kurtki zstąpiłem po trapie na ziemię, nie patrząc na wartownika ani nie pokazując mu paszportu. Między budynkami magazynów, otoczony zapachem ryb i tranu, dotarłem do toru portowej kolei.

Uderzenie wiatru zatrzymało mnie na moment, parowóz puścił kłęb pary i zagwizdał tak przeciągle i śmiesznie, jak to pamiętałem z dzieciństwa. (Nic, tylko: staruszek podkręca młodzieńczo wąsy, szykując się do biegu z maluchami.) Poprawiłem czapkę i przeskoczyłem tor. Dalej była dróżka prowadząca do owej zachwalanej przez Kima kantyny i betonowy falochron. Wiatr chłostał wodę, woda ciskała się na mur. No, pohulałaby... Popłynąłbym do kantyny, żywy czy martwy, dróżka opadała właśnie przede mną.

Długo szukałem. Rzadko rozstawione budki przy drodze i prymitywne jak na świeżym jeszcze

spalenisku nie świadczyły wyglądem o komercyjnej ich służbie, zaś krzaczaste napisy pobudzały tylko do zdziwienia. Wreszcie zacząłem manipulować przy szerokiej drewnianej bramie, która była zamknięta, lecz obiecywała coś niecoś, ponieważ za nią mieścił się okazańszy budynek z firankami w oknach. Szukałem kija, żeby sobie pomóc, nie znalazłem i dopiero zainteresowanie przejeżdżającego rowerzysty w kufajce okazało się decydujące, jeśli chodzi o skutek mojej wyprawy. Przystanąwszy zapytał o coś, na co ja przytaknąłem głową, potem rowerzysta bez słowa pognął przed siebie. Po paru minutach pojawił się chłopiec w bekieszy, z kwadratem białego płótna na ustach i nosie, smyrnął przez płot i otworzył bramę. Patrzyłem na bandaż i myślałem, że nasze nosy nie zmieściłyby się pod tą szmatą.

Potem stałem chyba z kwadrans przed nowoczesnymi drzwiami, od wewnątrz zatarasowanymi przez krótką, ale grubą żerdź. Przeszkoda została także usunięta:

174

znalazłem się w kantynie, w której głównym sprzętem była solidna i wysoka lada, jak w banku; tworzyła winkiel. Na półkach roztasowało się dużo wyrobów ze złota, srebra i porcelany. Wpatrywałem się zakłopotany. Pomyślałem sobie coś o rozsądku i właśnie dlatego zawstydziłem się. Lśniłość nie dawała ciepła temu przybytkowi. Biały, sztywny obrus na stoliku w kącie potęgował uczucie zimna i melancholii. Gdyby się zapomnieć, to od biedy można by przyjąć, że znalazłem się przed ołtarzykiem wschodniego bóstwa, niestety, urządzonym bez gustu. W górze królował na płótnie bohomas zrobiony z bardzo niekonwenujących z sobą kolorów.

Obserwowałem, a zza lady patrzyła na mnie dziewczyna, której czarne włosy, rozczesane pośrodku na głowie, opadały za uszami jak smolne lepiszcze. Coś mówiła, pytała, zagadnąłem po angielsku, wszak to język marynarski — wystarczy znajomość kilkuset wyrazów i objedziesz świat.

Dziewczyna jednak nie rozumiała, natomiast w równych, krótkich odstępach czasu wypowiadała po kilka jednakowo brzmiących słów. Na pewno pytała, czego chcę. Przesunąłem wzrokiem po szybie na ladzie. Papierosy, których opakowanie nie zachęcało, zapalki, cukierki z zawieszoną krochmalu na bibułce, niciane skarpety bardzo drogie i kalesony su-perbajowe. Poza tym w kącie wino i wódka.

— Kartoczki są? — spytałem. — Kartoczki... Pani-majetie pa ruski?

Teraz rozpoczęła się naprawdę gigantyczna praca nad przybliżeniem naszych intencji. Dziewczyna, ubrana w nieforemny granatowy żakiet, unosiła brwi nad skośnymi oczami, wyżej, wyżej, bardzo wysoko, to miało jej pomóc w zrozumieniu moich słów i gestów. Później pokazywała na coś, czego nie potrzebowałem. W końcu rozkładała bezradnie ręce.

— Nie panimajetie pa ruski? Nie charaszo.

175

— Charaszo — odpaliła po raz pierwszy energiczniej i z uśmiechem. Nie przyjęła zarzutu. — Ja nie ruska diewoczka. — I jej twarz znów straciła energię, chociaż dziewczyna szczerze pragnęła mnie obsłużyć.

Po chwili jednak wdaliśmy się w długie rozmowy na temat mojego życzenia. Wreszcie jakby skapowała i szukała czegoś gorączkowo pod ladą. Plecy miała okrągłe. Zaraz wyjęła białą kopertę z wydrukowanym już znaczkiem pocztowym w jednym rogu i z kołowym rysunkiem tańca ludowego w drugim rogu: Wyciągnąłem już rękę i zmitygowałem się, jakbym się zląkł, że moja decyzja jest pochopna i zaprzepaszczę coś nie do odżałowania.

— Ja chocz kartoczku...

Znów podniosła w zdziwieniu brwi, lecz nie pytała, dlaczego upieram się przy pocztówce. I znów prowadziliśmy długą rozmowę, ona przeważnie na migi, ja zaś wyrzucałem masę słów, wśród których nieodmiennie powtarzałem kilka wyrazów zrozumiałych dla dziewczyny: charaszo, ženka, rebionka, tawariszcz, karteczka, avion. — Siedem miesięcy i już rebionko. Siedem miesięcy — panimajetie. Karteczka... panimajetie. Karteczka... panimajetie... karteczka... ženka... avion...

— Avion niet — powiedziała. — Żelaznaja doroga.

— Karteczka! Panimajetie diewoczka! Krasiwaja diewoczka. — Z tą pięknnością to był zwykły komplement, chyba tonący tak schlebia ratującej go czarownicy-

— Krasiwaja? — Próbowała uśmiechu i nagle zatroskanie wymalowało się na jej płaskiej twarzy.

Przełknąłem ślinę i powtórzyłem: — Karteczka. Żenka ma rebionko, panimajetie.

Nagryzmoła coś na papierze i powiedziała: — Za-wtra. — Zadecydowała, a mimo to jeszcze przez parę

176

minut nurzaliśmy się w rozmowie posługując się tym razem zapasem kilkunastu słów rosyjskich. Kiwaliśmy nad sobą głowami, bo dowiedzieliśmy się, że oboje nie mamy już rodziców. Człowiek rozumie człowieka najlepiej przez straty.

— U was ženka.

— Ech, ženka. U was muž, ot.

— Nie. U mnie muza niet.

Rozmowę skomplikowaną długimi przystankami, jak powróż węzłami, przerwało wejście umundurowanego faceta, który obrzucił nas badawczym spojrzeniem. (Przepraszam za faceta. Tam nie ma facetów, tam są monolitnie wyciosane wizerunki.) Twarz wyglądała na stanowczą, a gesty były konkretne. Zamilkliśmy. Wojskowy kupił zapalniczkę, po namyśle wziął jeszcze pudełko cukierków, następnie przypatrywał się po kolei wszystkim towarom w kantynie, w końcu zerknął raz i drugi na mnie i przechyliwszy głowę zapytał o coś dziewczynę. Odpowiedziała jakby z wahaniem, unikając mojego wzroku, ale złapałem słowo „karteczka”. Poczulem tklivość i wdzięczność jakby dziewczyna obroniła mnie przed czymś, a być może w ten sposób wyraziła solidarność ze mną i zrozumienie dla desperacji. „Żenka... Polska... Rebionko”. Teraz odczytałem w geście mężczyzny pytanie, czy nie potrzebuję niczego więcej. Dziewczyna spojrzała na mnie. Wtedy ja wyciągnąłem do niej rękę na pożegnanie. Podniosła swoją rękę i podała mi ją, lecz dłoń ani drgnęła, jakby była w łupkach. Hm.

Nazajutrz, jak było umówione, znów poszedłem do kantyny o przepisowej godzinie. Powietrze było gęste od szronu i kłuło, ale nic to. Tam gdzie kończył się falochron, woda podskakiwała aż do szczytu kamiennego brzegu, na tle kosmatego powietrza reprezentowała wyraźny zimny połysk ekspansji. Myślałem, że tu jest naj-

12 — Dziewczyny i chłopcy

177

zimniejsza woda na całym świecie i podziwiałem aż do dreszczy w grzbiecie lekko ubraną kobietę, która w lodowatej wodzie łowiła zielsko gołymi rękami wgnębiając je po łokcie. To zielsko będzie gotowane albo smażone na sojowej mazi. Nie wiem, dlaczego czułem się współwinny i przyspieszyłem kroku. Kobieta obejrzała się i poszła za mną. Zrozumiałem jej kroki, gdy sprowadziła dziewczynę do kantyny, która i tym razem była zamknięta. Przywitaliśmy się po przyjacielsku. Specjalnie odwlekałem zasadnicze pytanie, żeby przedtem porozmawiać wszystkimi możliwymi sposobami. Szukałem pozorów odprężenia, zabijałem czas. Dzięki temu miałem nadzieję odzyskać normalność. Mówiłem o potęgującej się tęsknocie za krajem i namiętności gonienia po całym świecie. I o tym, że trzeba się pohamować, bo może się zdarzyć, że synek nie będzie miał taty. Już raz widziałem, jak statek pękał niby łupina... To mnie wtedy tylko gniewało. Ale inaczej: że tam w kraju tak się boją o nas. Tchórze z przesadnymi pretensjami do bezpieczeństwa. Płaczą, gdy ich buty przeciekają... Teraz nagle spokorniałem. Wiadomo, dlaczego. Schylałem się i pokazywałem dłonią nad podłogą, jak sobie wyobrażam moje maleństwo. Ono musi żyć. Nad krajem unosiła się jedna ciepła plamka. Już kochałem kraj inaczej.

Dziewczyna kiwała głową ze skrzydłami kruka przylepionymi do czaszki, kiwała z entuzjastycznym zrozumieniem sprawy i sama zamiatała dłonią, niezbyt czystą, nad podłogą, i palcem uderzała w piersi. Ona też pamięta swoje szczęśliwe lata dziecięce. Poglaskałem ją jak dziecko i przestraszyłem się, ręka spadła bezwładnie z jej ramienia. Zawędrowaliśmy na skraj tematu.

— Karteczka jest? — I roześmiałem się, ponieważ wczorajszy brak tego „towaru” potraktowałem jako niepowtarzalną przeszłość. — Na imię dam mu Władysław, bo mnie jest Władysław. I w ogóle. Rozumiesz, dziewczeczka. I w ogóle to narodowe imię. Bóg

wie, czy teraz pływałbym. Przecież kiedyś zmustrowali mnie. Ale co tam, co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. A więc syn jest mój. Dwa miesiące nie zmienia istoty rzeczy. Dawaj karteczkę, na imię mu będzie Władysław. Teraz ona się przestraszyła i lekko cofnęła od lady.

— Karteczka niet.

— Nie? Ot, nie charaszo.

— Zawtra — odpowiedziała już głosem opanowanym i w jej oczach pojawiło się szczere zatroskanie.

Rozmowa urwała się i mój pobyt w kantynie stał się niepotrzebny, może i uciążliwy, ponieważ jak na rozkaz poczęli wchodzić i wychodzić klienci, przeważnie po zapalki i przydział dziesięciu papierosów. Zdawało mi się, że mają ściągnięte brwi.

Nazajutrz z niecierpliwością oczekiwałem przepisowej godziny. Dzień był słoneczny i mroźny, kilkunastu kolegów spędzało czas na pokładzie, oglądając smużki dymu błędzące nad sadybami hen, u stóp gór, i czyniąc horoskopy na temat pracy załadunkowej i odjazdu. Widząc mnie wyelegantowanego, to znaczy w wyglansowanych butach, zaczęli się naigrawać, a nawet jeden posunął się do granic prostactwa. Zwietrył, że chodzę do kantyny po jakąś tam pocztówkę, której jakoś nie mogłem kupić.

— Ale z ciebie ananas, hoho. Samojad, nas nie weźmie. — Mówił ni to żartobliwie, ni z przekąsem. — A ona jaka, samodajka?

— O czym wy gadacie, ja chcę pocztówkę do żony, a wy... — chciałem odejść, lecz jeden z nich przytrzymał mnie za guzik jesionki:

— Gdzie strona, tam żona, co? Rozumiemy...

— Co rozumiecie, do jasnej cholery!

Omał nie dostał w pysk. W tej chwili uważałem ich

178

179

wszystkich za gruboskórnych facetów, których należałoby zamurować tu na całą zimę. Nie uświadczyliby ani szpary dla świeżego powietrza w tym więzieniu. Cymbały! Zdawało mi się, że w palącym rumieńcu, który czułem na twarzy, mogliby odkryć wątpliwości, ukryte bardzo, bardzo głęboko nawet przed moim rozkołysanym sercem — łaknącym szczęścia ze wszech miar, jak drogowskazu na bezkierunkowej pustyni morza.

Szybko zbiegłem po trapie. Spieszyłem, żeby dziewczyna potwierdziła swoim współczuciem moją tęsknotę za krajem. Mój kraj kwili, a ja tu tracę czas. Czy ty to pojmujesz? Nic dziwnego, że i dziewczyna dzięki temu stawała się bliska. Siarczyście zakląłem, kiedy drogę zagroziły mi dwa wagony, które wyskoczyły z szyn. Parowóz buchnął parą zbyt mocno i wagony wyskoczyły.

Właśnie jechał towar na nasz statek. Może nareszcie ruszymy stąd? Nie przeszkodzą temu żadne miny, gdy będzie pozwolenie na odjazd.

Do kantyny wkroczyłem niemal jak zwycięzca. Byłem pewny, że dziś wyślę pocztówkę, już miałem imię dla synka, więc nie nagliłem. Dopiero po rozmowie na wiadome tematy, zrobiłem odpowiedni gest, no, die-woczka, dawaj karteczkę. Dziewczyna rozłożyła ręce. — Karteczka niet.

— Dlaczego? — I nagle puknąłem się w czoło, i serce się we mnie przewróciło. Przecież ona spokojnie sabotuje, żebym codziennie do niej zaglądał. Wie, po co mężczyzna zaleca się.

Wyobraziłem sobie ruchy pieszczołliwe, pożądliwe i komiczne. Speszyłem się. A może jednak co innego planowała?

— Zawtra — powiedziała.

Lecz nazajutrz także nie było pocztówek i pojutrze także nie było. Może ona kpiała? Namawiałem siebie, żeby położyć krzyżyk. Wizyty w kantynie stawały się żenujące i ośmieszaly mnie, a kto wie, czy nie narażały dziewczyny na jakieś podejrzenia. Ten wojskowy, znany z pierwszego dnia, bywał w kantynie codziennie, coraz bardziej sztywny i pozapinany wewnątrz. Pęknie, zanim przekłuje mnie brunatnymi oczami. Przy nim toczył się intymny dialog w sprawie pocztówki, a w pewnym momencie on przerywał, pytając, czy chcę jeszcze coś kupić. I zawsze jej dłoń przy nagłym pożegnaniu zachowywała się tak, jak obezwładniona łupkami.

A jednak chodziłem codziennie. Musiałem chodzić, bo inaczej zacząłbym wycić z nostalgii i nudy. I z wątpliwości. Póki nie nadam synkowi imienia, zły robak będzie się we mnie rozrastał. Rozumiesz więc, jaka żarła mnie rozpacz w tym porcie. I jakie było moje przerażenie, gdy pewnego dnia zastałem kantinę zamkniętą. Nikt nie spieszył mi z pomocą, nikt nie szukał dziewczyny, żeby otworzyła sklep. Nie pomogły stukania i pukania. W następnym dniu to samo.

Co się stało? Powaliła mnie straszna krzywda. Jak żyć? Rozumiesz? Jak żyć? Do tego uczucia dołączyło się przerażenie. Że człowiek upokarza człowieka w przekonaniu o dobrym służeniu sprawie ludzi w ogóle. Jakby biodra dziewczyny, o których ani myślałem, nie były jej, lecz narodu. Jeśli będziesz w tym porcie, to zajdź do kantyny i zobacz, czy dziewczyna jest tam, a jeśli jest, to pozdrowienia... Ale nie mów jej, że nie miałem wtedy tych ich pieniędzy nawet na marną pocztówkę.

180

Etsuko podniósł rękę do twarzy, jakby chciał coś sprawdzić, i cofnął ją, zawahał się. A potem jeszcze raz powtórzył ten ruch i przebierał w powietrzu palcami, jakby napotkał przeszkodę. Zamknął oczy, powieki odznaczały się długimi rzęsami, tak trwał chwilę, nie oddychał, a potem westchnął przepastnie i z kolei wdy-< chał powietrze długo (lubował się wdychaniem), zda się, przybyły doń miłe zapachy. I znów ten wahający się ruch dłoni do twarzy. I znów cofnął tuż przed wianuszkami siwych włosów okalającymi lśniąca, wysoką czaszkę.

— Włosy miałem (jeśli pańska cierpliwość i szlachetność pozwoli na pochwalenie się) kiedyś gęste i twarde. Mogłem je czesać różnie, dziewczynkom podobałem się bez względu na uczesanie.

Dziewczynkom, zaznaczam, a więc takim istotom, które nie są jeszcze musume ani nawet majko, nie kandydowały jeszcze na gejsze lub narzeczone. Decydowało moje wyniosłe czoło, jeśli pańska nieprzebrana szlachetność wyrazi na to zgodę. To wyniosłe czoło i odważne spojrzenie coś im przypominało. W szkole i na pensji oglądały różne obrazki mężczyzn, którzy są bogami, i kształciły w sobie zmysł piękna. Szukały męskich typów, a więc samurajów, odważnych w miłości... Niech pan raczy nie zaprzeczać... Znajdowały to u mnie. Ale wiedziały, s©;

odwagą nie posługuję się w celach awanturniczych czy też do obez władniania kobiet. Odwaga była ściśle związana z moim organizmem, a więc gwarantowała nieustanne pogotowie całego ciała i ducha, prawdziwą życzliwość ciała dla ciała, które stara się dogodzić, choćby to groziło śmiercią, prawdziwe kobiety powinny lubić to pod każdą szerokością geograficzną. Na tej zasadzie poznała mnie i kochała Tojoko-cian. To była wysoko postawiona osoba i dobrze zarabiała, nikomu równać się z nią, ale zawojowałem ją bez trudu i bez gwałtu, była zadowolona, że aż jej się mąciło w oczach. Kochała zazdrośnie, w stopniu na pewno skromniejszym niż łaskawego pana kochają kobiety, ale wystarczyło tego na moje siły, w końcu nawet nie pozwoliła mi pracować w liceum w charakterze profesora, ponieważ rozniosło się, że jestem podobny do boga od tych spraw i strojne niewiniątka, te bogatsze i ładniejsze, a leniwe w nauce, zaczęły zbyt często nachodzić nasz dom, błagając... o korepetycje,

— Doprawdy? — powiedziałem niebacznie, on zaś wyczuł, że to nie tylko westchnienie i z lekka się zacierzwał. Jak na wiek (siódmy krzyżyk na karku!) zareagował niezwykle żywo.

— Tak, tak, jeśli wasza dostojność zechce. — I stuknął się w piersi. — Den, oto słowo godne i właściwe! Piorun oznaczał dla nich piorun, wystarczy szanownemu panu? Przesuwa się po niebie gładki jak ciało dziewczęce po kąpielu i czeka momentu, żeby uderzyć, i ja także miałem wyczekiwać na moment dojrzałości uczuciowej i fizycznej. — Jensei — mówiły — profesorze nasz, daj swoje zdjęcie, ponieważ zbliża się czas naszej wiosny i chcemy, żebyś zaszczycił nasz butsu-dan jako wzór dla naszej miłosnej przyszłości. Ołtarzyk Snieży-czki jest pusty i ołtarzyk Kwitnącej Jabłoni jest pusty, a także mój domowy butsu-dan czeka na objawienie

183

183

boskiej, a żyjącej twarzy, które by mnie zapłodniło gorącą wyobraźnią. Przecież znasz mnie, o jensei, nauczycielu, siedzę w pierwszej ławie, znasz mnie i nie zarzucisz mi ciagot do rozpusty. Jakże pieścizotliwie i po ojcowsku wymawiasz moje imię. Hosician... — i pytasz: — Powiedz, jakiego najwyższego honoru i łaski boskiego tenno może dostąpić samuraj, twój przyszły mąż? —

Czyż nawet tym pytaniem nie przygotowujesz mnie do pięknych rzeczy, mnie, niewinną Gwiazdeczkę z pierwszej ławy? I wszystkie tak myślą: Matsu, Emi, Haru, Juki, Hano, Kiku, Choinka, Uśmiech, Wioisna, Śnieg, Kwiat, Chryzantema.

— Doprawdy? — Znów nieopatrznie westchnąłem.

— Tak — zakrzyknął Etsuko-san, wstał i pokłonił się trzy razy. Wstał z zydelka przy ścianie, aż poruszyło się płótno z malowidłem legendarnego cesarza Dżimmu, który pierwszy z bohaterów miał duszę w kształcie miecza. Etsuko przesłonił zielonkawę promienie ciekące z sadu — nosiło go. Nosił się ze zdumiewającą żywością wokół stołu tak, że bym go mógł dokładnie obejrzeć i sprawdzić. Etsuko uhonorował mnie siedzeniem we wnęce zacisznej a widocznej, zwanej tokonoma. W tej chwili pomyślałem, że chciał w ten sposób udostępnić siebie moim oczom w pełnym blasku i historycznej niejako sprawności. W fotelu byłby mało widoczny. Chodził kilka minut i narzucał się mojej wyobraźni, rozsiewał swoją moc, wykwił samuraja w kochaniu, zda się roztaczał obszary swoich możliwości. Wreszcie uwierzył, że przekonał ostatecznie mnie, usiadł i ciągnął dalej, dziękując przedtem stokrotnie i opiewając moją łaskawość nie wiadomo za co.

— Tak więc moja Tojoko-cian przepędziła uczennice i zwolniła mnie z posady w liceum. Ona wiele mogła. Odtąd przez cały dzień dane mi było przygotowywać się do miłości. Nie myśl, że to upokarzające. Upokarza-

184

jące byłoby rzemiosło w tych sprawach, zaś miłość to wyzwalenie uczuć i dekorowanie nimi, słowem: to sztuka. Dziś trzeba przypominać, kiedy się o tym zapomina, a niektórzy nawet zapomnieli. Więc nigdy nie poświęca się za dużo czasu przygotowaniom. Może się myłę? Oj, chłopcy, chłopcy. Oj, ogiery, ogiery, gdyby to ode mnie zależało, żal by mi było trzymać dla was ten cudny świat i te cudne kobiety. (Wasza łaskawość wybaczy i nie weźmie tych słów do siebie, rozumne oczy mówią aż nadto o gotowości pańskiego ciała do poświęceń.)

Po tym paroksyzmie żalu i pretensji opowiadał jednak dalej, ponieważ urzeczony jego przykładem schyliłem pokornie głowę do samych kolan.

— Myślałem więc, że jej decyzja wypływała z kobiecego egoizmu, ale myliłem się; ona nic nie obiecując, już przewidywała moją rolę, poznała się na mnie, przeznaczała mnie do jeszcze szlachetniejszych celów, a miłowanie siebie uważała tylko za wstęp. To było bardzo zaszczytne. Gdyby mnie nie kochała, to zaliczyłbym jej decyzję do uprzejmości. Aż pewnego dnia... po kilku latach... Tak, pewnego dnia...

Etsuko gubił wątek, a ja znów zapomniałem się przypisując płatanię języka prawu wieku.

— Co pewnego dnia?

— Powiedziała: przemilo spędziliśmy czas. przypuszczam, że cię dużo nauczyłam i dasz sobie radę beze mnie. Gdybyś nie wierzył, to mogłabym ci wystawić dyplom wyższej szkoły jazdy. — Słowem, odstawiła mnie jak trutnia, tak by ktoś pomyślał. I ja tak myślałem w początkowej fazie żalu, jednak wierzyłem w jej mądrość, wierzyłem, że tylko odchodzę na samodzielną pracę. I chociaż czas się przedłużał, nie dałem się przekonać. Czy pan to rozumie? Zmaterializowany świat hołduje innym pojęciom na temat funkcji mężczyzny jako dawcy ruchu w świecie kobiecym. Oj, chłopcy,

185

M

chłopcy... Ogiery, byki. (Panu nie grozi krytyka, pan jak promień wnika we wszystko.) A właściwie nie macie żadnego pojęcia o przysposabianiu szczęścia dla wielu ludzi, przysposabiając kobietę do szczęścia, żeby inaczej spełniała swoją rolę, tak jak spełnia ją wonny kwiat. My stawaliśmy się bogami, zaś musume, dziewczęta — boginiami. Ja ani na chwilę nie zapomniałem o tym romantycznym powołaniu, choć przyszło mi ciężko pracować w różnych przedsiębiorstwach nie mających nic wspólnego ani z profesurą, ani z romantyzmem. Do liceum już minie nie przyjęto, oskarżono o deprawowanie młodych dziewcząt. Była to zemsta. Żyłem więc nieskalany, a nawet przeniosłem się z Kioto do Kobe, gdzie często służyłem za tłumacza Amerykanom i Anglikom szukającym przygód na swoich jachtach. Czasem wiatry zanosły nas nawet na Okinawę. Ale nie

dałem się użyć do innych celów. Sztukę posiadałem dla swego narodu. I za to spotkała mnie nagroda. Wobec obcych mogłem być tylko gwałtowny, zaś wobec japońskich musume podniecający. Więc pan rozumie, że bliższy kontakt z Amerykankami groził mi utratą fortuny. No widzi pan! — I znów nosił się dokoła stołu naprzeciw mnie jak koń pełnej krwi, rozsiewając wspomnienia zapa<sup>^</sup> chów, jakie miał rozsiewać. Wietrzył i czekał.

— A nagroda? — spytałem, ponieważ ugrzązł w li- 'ryzmie i teorii.

— Otóż to! Przystałem być gnębiony przez wyobraźnię, piękne sny spełniły się, zostałem poproszony z honorami do wyższych celów. Tak, tak, to sprawiła Tojoko-cian, moja przyjaciółka i nauczycielka. Spotkała mnie w tramwaju. Chociaż nie przyznała się, to jednak wiedziałem, że mnie szuka.

— Etsuko-san, jest mi pan bardzo potrzebny. Właśnie pan. Prowadzę zakład dla najlepszych musume w Jokohamie. Nie wiem, jak dałabym sobie radę bez pana. Właśnie teraz, gdy one dorastają. Musimy przysposobić tein łąg do lotu w Miłość. Boję się, ponieważ niektóre parszają... Na przykład piękna Bajo, Płochliwa Sarenka...

— Ależ z niej jeszcze dziecko — przerwałem jej. — Nie ma jeszcze nawet piętnastu lat.. Czyżby zmieniły się zwyczaje podczas mojej nieobecności?

Tojoko-cian zgromiła mnie, i słusznie, i słusznie też powiedziała, że ona lepiej wie, a moje myśli mają się skupić na bezbłędnym wykonaniu zadania. Bez poślizgu, jak się u was mówi w języku przemysłu i planistów. Tojoko-cian, jak kwiat róży, zwiastowała swoją intuicją zjawienie się promieni ranka. Mówiła łaskawie do mnie... Tak, wyświadczyła mi łaskę informując:

— Codziennie asystuję Płochliwej Sarence przy kąpieli i widzę, co się dzieje... Harmonijne linie ciała, które rozkwita... ale ona jeszcze o tym nie wie i bije kopytkami, gdy się ktoś do niej zbliży. Był taki jeden bardzo bogaty Amerykanin, zelżyła go... No, no, raz tak zrobić to nawet wdzięcznie, ale drugi raz już za dużo, albowiem hoduję ją nie dla strat. Zobaczymy, ja ci się uda. Bo są u mnie takie, co pozornie wyrażają zgodę, a później cały pokój leci w drobny mak i płacę za czyjąś głowę, jakby była ze złota. Przekłęci biali. W dziewczynkę trzeba tchnąć boski dotyk, ale tak, żeby nie straciła niewinności. Ty będziesz stróżem i bogiem nowego wcielenia... na początek Płochliwej Sarenki.

Pan myślisz, w swojej niezmordowanej dociekliwości, że przygotowywałem... towar. Pfu! Nic podobnego. Ja tylko pomagałem Płochliwej Sarence wyjść z powłoki, jak motylowi, i osiągnąć szczyt powołania. Musume nie musi się modlić o to, ona modli się rytmem ciała, w ten rytm wprawiała kiedyś Bogini-Cesarzowa całą naszą świętą ziemię Jomato i cztery główne wyspy. Taką była także Płochliwa Sarenka. Twarzyczka zamy-

180

137

ślona, poważna i pełna nieopisanego uroku. Od pewnego czasu. Czyli czuła zbliżanie się powołania. Bo dawniej, gdy wypełzła z kolebki dzieciństwa, dała się poznać jako największa kręcicka w Kioto, ale jeszcze nie wiedziała, co ma i po co. Teraz już wiedziała, co ma — to miała, co sprowadza w serce mężczyzny słodki świt lub gorący zmierzch. Jej się nie spieszyło. Jeśli zaś spieszyło się, jako do rzeczy nieznannej, to spieszyło się nieobowiązu-jąco. Miałem załatwić to i dalszy ciąg także.

Nasze dziewczyny są smukłe, śliczne czarne różyczki na nieco krzywych łądyżkach, ale tego nie widać spod kimona. Wy zawsze na te nogi, oj, chłopcy, ogiery do klacz. (Wasza Delikatność nie zauważa wulgarności białych, prawda?) Są kruche i łatwe do potłuczenia jak porcelana. Białe, a przede wszystkim Słowianki, są jak krzemień! Dlatego do naszych są potrzebni bogowie, przynajmniej na początku. One chcą być tajemnicą, a nie tak od razu... Trzeba im pozwolić na to i otoczyć ramionami boga. (Tak, trzeba mieć cechy boga.) Pozwolić jej trzymać twoją głowę w dłoniach, pozwolić jej odsłaniać swoje i twoje uczucia, niepojęte marzenia, a potem już ona sama rozplecie włosy.

Śliczne były nasze musume, ale moja Bajocian była we wszystkim jak dziesięć do jednego.

Wstydliva do samoudręki. Zanim obnażyła kolano gładkie... niebiańskie... Jeszcze dziś robi mi się gorąco na wspomnienie. Co tu dużo gadać, przyjemnie spędziliśmy czas aż do punktu

kulminacyjnego. I potem też. Prawie tak samo jak kiedyś z Tojoko-eian, która teraz przed pójściem do kąpieli z musume odbierała ode mnie szczegółowe raporty z nocy. Myślę, że chciała z Płochliwej Sarenki uczynić coś więcej niż towar. Wszystko zależy od jakości. Jest na przykład słońce i słońce. Słońce jak placek z kukurydzy na niebie i słońce jak ananas. Jest śnieg do sankowania jak gruda i jest jak puch. Jest

188

obiad złożony z takich potraw jak suso i sukijaki, smakołyki, natomiast spod ręki innej gospodyni zwykle bryły ryżu pokropione sosem, a sukijaki jak rzemień z wołu. O rękę chodzi i serce, mój panie. (Pan zechce mnie uzupełnić, liczę na pańską dobroć.) Przyznam się, że wkładałem więcej uczucia, niż trzeba było do wywiązywania się z mojej roli. W końcu ona mówiła mi: cici, tato, a mnie łaskotało w sercu i dawałem jej jeszcze więcej, po ojcowsku. Nastąpiło między nami tak wielkie zaufanie, jak rozkosz bez reszty. Więc kiedy poprosiłem ją, żeby zrozumiała swoje powołanie, ona poszła je spełnić bez szemrania, z entuzjazmem, i pieściła każdego pana jak ojca. Tojoko-cian była ze mnie bardzo zadowolona i to traktowałem jako drugą nagrodę wynikłą z mojej wrażliwości i poczucia obowiązku wobec naszej płci i rasy japońskiej. Potem wskazywała mi nowe cele, spełniałem je ochoczo, pamiętając jednak o Płochliwej Sarence. Byłem jej potrzebny. Cici — pytała — czy ja mogę być żoną tego amerykańskiego dryblasa aż przez trzy miesiące? Cici, czy nie lepiej przysłać mi głaz do łóżka, zamiast tę szwedzką żabę? Uczyłem ją po ojcowsku i mama-san... (przepraszam, ona zawsze dla mnie Tojoko-cian) była ze mnie bardzo zadowolona, podwyższyła miesięczną gażę i powoływała do coraz nowych zadań męskich. Moja sława rozeszła się szeroko, zewsząd żądano mnie do pomocy, ale wszystko musiało się dziać za zgodą Tojoko-cian. To ona rozreklamowała mnie jako chwałę Japonii o wyglądzie i zdolnościach Buddy — hm... deflatora. Ja to robię po bo-sku, a nie tak jak niektórzy ryjąc po świńsku... Robię dużo ojcowskich względów dla porcelanowych mutsume i nie nadwerzę żadnej cząsteczki, żadnej tkanki. Pod tchnieniem tych względów drobna i krucha istota japońska nasycy się potężnie jak elektrycznością. Pierwsze słowo należy do drobnej istoty, chociaż nie powie pierwsza „chodź!”, jako dobrze wychowana. Wystarczy jej skwapliwa obecność. (Płochliwą Sarenkę przyzwyczajałem także skwapliwie, broń Boże, gwałtownie, chociaż jej własna gwałtowność podnosiła się już do wybuchu.) Nie można nic uronić ze smaku celebrowania, pamiętaj pan. (Chociaż tyle dawałem, że i gwałtowność by mi przebaczyła. Czyż ojciec czasem po ojcowsku nie zerznie dziecka?) Taki byłem i takiego mnie reklamowała Tojoko-cian. Jeździłem więc do tej krzyżówki architektonicznej, jaką jest Tokio. Jeździłem do Osaka i jeździłem do Nagasaki, zawieszono nad falami morza jak jaskółcze gniazda. Nigdzie nie zawiodłem nadziei. Dostawałem najwyższe honoraria, które Tojoko-cian poradziła mi składać w banku. (Sama przedtem otworzyła mi konto.) Urosło jenów bez liku. Ale mnie to nie cieszyło, tylko to, że moim dziewczętom aż tróilo się w oczach w tym współżyciu ze mną i z tym kapitałem przechodziły w objęcia innych... Czyż może być piękniejszy zawód niż mój?

Aż skończyło się to słodkie picie na żądanie Toj oko, w której dawnych kształtów już Etsuko-san nie mógł się doszukać. Swoją redukcję przypisywał temu, że To-joko nie mogła pozwolić na szastanie sił swego podwładnego. Okazała miłość twardą i brutalną. Zabrała go dla siebie, niepodzielnie. Jakże inaczej wytłumaczyć? Jego siódmym krzyżykiem na karku? Śmiechy. W nim był ciągle duch walki — Jomato damasi. We wszystkim. Umiał inaugurować w odpowiednim dniu picie gorącej sake i kielich nigdy nie został pusty. Kempei, kempei! Do dna! Aż się musume zakreśliło w dołku. Umiał likierem nacierać swój język Umiał wszystko.

Tak więc miłość twarda i brutalna... To j oko poprosiła go pewnego dnia do swojej willi, posadziła na ho-

190

norowym miejscu, usiadła naprzeciw, a córka jak gwiazda migocząca pięknnością usługiwała. Podała suso, a potem sukijaki, popijali zaś sake, a potem do ciastek przyniosła rikiuszu, likier. Kiedy Bajo schodziła do kuchni po nowe potrawy, Tojoko-cian mówiła:

— Bajo nikogo nie chce. Na jej piersi spoczywa kotara. Boję się, że któregoś dnia uderzy tym kordzikiem w swoje lub czyjeś serce.

Za drugim razem dopowiedziała:

— Bajó potrzebuje bardzo bogatego uczuciem pana. Opowiadał...

— Kiwałem głową i byłem bardzo przejęty. Gdyby nie zbieg różnych okoliczności, czekałbym na propozycję. Nie poważylem się na żaden gest zaczepny, zapragnąłem być u siebie w domu. Ale Tojoko-cian zdecydowała inaczej. Żebym został, ponieważ jestem pijany. Nie byłem pijany, tylko lekko podniecony, ponieważ jednak Tojoko zawsze miała rację, więc położyłem się w sypialnym na szerokim łóżku pod moskitierą. Nie wiem, jak długo spałem. Kiedy się obudziłem, było ciemno i usłyszałem głos Bajó, głęboki i ciepły, jak głos wszystkich kochających Japonek:

— Cici.

— Nani? Co się stało?

Leżała przy mnie cała jakaś musująca, jak sake.

— Ty jesteś bóg?

— Zdejmij kimono, prześliczna księżniczko.

— Oh, cici!

Od tego dnia płacę Tojoko-cian pięćdziesiąt tysięcy jenów miesięcznej pensji, ponieważ w tę noc Bajó została moją żoną i mama musi ją karmić i ubierać. Wie, że w banku są moje pieniądze zarobione szlachetnie. Goszczę u nich tylko raz w miesiącu, ponieważ mam wrażenie, że Tojoko-cian jest zazdrosna także o córkę.

Wstał i spacerował w zamyśleniu, jakby mnie nie

191

dostrzegał. Wyciągnął ręce do ogrodu, który był bardzo głośny na tle męskiej milczącej rozpacz, głośne były świerszcze, głośna trawa... Odwrócił się powoli, z niedowierzaniem spojrzął na mnie i wyszeptał:

— Ziemia też jest pełna suszy i oczekiwania. Milczeliśmy, prawda? Dawniej kiedy milczeliśmy w miłości, to zaraz budziliśmy się. Tojoko-cian wie o tym, ale mówi, że już mam kolki. Jaa? Tylko starzy dostają kolek. Wasza szlachetność raczy to przyznać...

Prężył się w proteście i muskał pieszczotliwie resztki siwych włosów na skroniach.

— Co się skończyło? — podniósł głos. — Pan to raczył powiedzieć, posługując się nieprzebraną skarbnicą myślenia?

— Nie. Jakżebym śmiał myśleć za pana?

— Ja nie myślę!

Nagle usiadł w fotelu w kącie pod Buddą i zaczął się rozbierać od ramion począwszy, zaparło mi dech, dla kogo on to robi? Jednak ani się poruszyłem, on też nie zwracał na mnie uwagi, uszczelniał się całkowicie i zapadał coraz głębiej w trans. Miał twarz króla ludzkiego stworzenia, który panuje nawet poza czasem i rozsądkiem, ba, wbrew światu, ponieważ sam z siebie stał się panem swoich zadań. Niezastąpionym. Nieważne, czy ktoś rozkazywał. Może istnieje także w próżni, to jasne, przecież funkcja jego została dana raz na zawsze — przerwa się nie liczy. Odmłodnieje w imię młodych zamierzeń. Pospępne znużenie tylko na moment go posiadało, precz przywidzenia! Właśnie w półśnie słucha muzyki dojrzewania dziewczynek i rozwijania się swoich męskich organów. Spełnia swoje zadania niezależnie od tego, czy jest ubrany czy nagi. Rozebrał się tylko do pasa, pokazując szeroką pierś z siwym włosem, z entuzjazmem wionął dłonią w dół i uśmiechnął się sam do siebie, bezradnie,

192

ale dłonie zaraz uczyniły taki gest, jakby składały kwiaty na ołtarzykach — tu, tam, tu, tam...

Powtarzał tysięczne nabożeństwo, bezinteresownie, chociaż za pieniądze, o których dziewczynki mogły nie wiedzieć. Nieskalany w rozpuście. Fotografia na ścianie pokazywała go w otoczeniu dziewczynek — wiosenek, śnieżyczek i jutrzemek, on był w centrum. Na pewno nie powiedziałby, kiedy to było, ponieważ on i teraz znajduje się w centrum, poza pamięcią. Tak wygląda wiara w wieczne istnienie.

Siedział półnagi na królewskim tronie; pomyślałem z uznaniem o szczęściu ludzi, których miłość do wybranego i zasmakowanego fachu, jakiegokolwiek, oddzieliła dźwiękoszczelną zasłoną od zła i małości, ponieważ tylko oni stanowią wzór porządku rzeczy i piękna. W zamian za szczęście mogą

nie myśleć.

X3 — Dziewczyny i chłopcy

Z kobietą jest jak z morzem

i

W mojej wsi, gdzie mieszkała rodzina marynarza, mówiono półgębkiem o jakimś dziwnym ożenku Marcina, baba mu złamała karierę (bo nigdy morze, ono było honorowane z poziomu niskich szans przedwojennej chałupy) i na dodatek zatrzymała za granicą. Nie chciało mi się też wierzyć w konwulsje uczuciowe Marcina, bo przecież to on wprowadzał niejedną dziewczynę w konwulsje — i często nienaruszoną zostawiał samą sobie. Ale po paru własnych tarapatach miłosnych doszedłem do przekonania, że do ubzduranego skarbu może prowadzić nawet głos wściekłego psa, i to w ciemną noc, więc w końcu dałem se radę z tym współczuciem dla Marcina. Niemniej — powtarzam — zawdzięczam i mu dużo. Póki co — dziesięć różnych obrazków przeświałało się w pamięci nawijanej na obroty fantazji.:

Budził we wsi sensację — wysoki, barczysty, mu-j skularny. Te szerokie spodnie, nie objęte jak sztandary. Dekolt u koszuli w trzaskający mróz, tak nosili się żebracy, pomyleni, ale wolni od wszystkiego. Fantazja, nedorzecznosc, bunt.

„...Szum jazdy, autostrada, aha, drzemię przy Mykole, który się ocknął, i teraz Demian wyjaśnia mi, na czym polega budowa i eksploatacja nowych autostrad przez

Amerykanów. Jadę z Rzymu z wileńskim dziennikarzem akredytowanym przy biskupach litewskich w związku z Vaticanum II i korespondentem PAP. Droga pod Monte Cassino, gdzie osiadł Marcin.

Przyплыw pamięci. No więc, Marcin Gas polubił mnie — przez wyróżnienie. Polubić w zrozumieniu bohatera służącego zawodowo w marynarce, ba, podoficera, co się udało jedynemu w całym powiecie chłopakowi, oznaczało łaskawość. On był morskim promieniem Neptuna na zgniłym ładzie. Szedł zamaszystym dwumetrowym krokiem do kolejki wąskotorowej, która przywiozła mnie z gimnazjum, i prawie ryczał: „Za-srańcy! Za-srań-cy!” Wiedziałem, że ktoś go obraził, a w jego osobie również potężny żywioł morski, maszynę morskich podróży, których nikt tu nie mógł sobie wyobrazić, więc wszyscy powinni sławić lub milczeć, gdy on sławi. Niepojęte dla nich? A dlaczego Boga chwałą, chociaż go nie widzieli, i także niepojęty? Zasrańcy! Zasrańcy! Nawet nie wiedzą, kto to Neptun.

Być może, sumę opisywanych potęg usiłował w sposób zbyt uproszczony przenieść także na siebie, i te pretensje nie mieściły się w ludzkich głowach. Zazdrościli szczęśliwym uchodźcom ze wsi, ale dopiero ważny był ich portfel. Innego kryterium nie znali. Dlatego Marcin szedł przez wieś i parskał: Za-srań-cy. Wybiegł z hałasem z domu pięknej, poduczzonej trochę w szkołach dziewczyny, u której zastał dwóch chłopaków wiejskich, na równi z nim goszczonych. Zasrań-cy! Chodź, mój jedyny, inteligentny kamracie, napijemy się w ta-wernie. Nie ma tawerny? Tfu! Tu nawet whisky nie ma. Zasrańcy. Chodźmy do knajpy na wódkę.

Na wódkę, a nie w pola, gdzie dziewczyny czekały w drzeniu. Tym większy czułem żal do zalotnicy, która chciała od Marcina tego samego, co inne dziewczyny.

„Pijmy”.

194

195

Twarze mieliśmy obaj czerwone, jak ogień. Z oburzenia? Marcin na pewno tak. Ja poza tym z obawy przed zemstą nieznanym potęg.

A więc Marcin nie miał usłanych przyjemnościami urlopów na wsi. Przyjeżdżał, bo kochał wieś. Zjawił się na Święto Morza, specjalnie, żeby uwspanialić uroczystość w osadzie. Miejscowi włodarze przywitali go na piątym miejscu, po takich szcurach lądowych jak ksiądz proboszcz, urzędnik z powiatu, komendant policji i wójt. Śmieszna hierarchia wobec potęgi potęg. Zeskoczył z trybunki i wpadł w wieś rodzinną pniąc się ze złości. Ach, trzeba było widzieć impet, zamaszystość wybuchające z takiej masywnej figury!

„To Święto Morza? Gówno nie Święto Morza. Za-srań-cy! Bałwany morskie są mądrzejsze. A wiesz ty, co to bałwany morskie? Posłuchaj”.

Sadził olbrzymimi krokami i opowiadał, gdy ja, ledwie nadażalem za nim. Brał mnie za rękę i

ciągnął, byle wydobyć się jak najszybciej z zasięgu gapiowatych oczu ludzkich i nie musieć odkłaniać się lub pokazywać językaj zasrańcom. (Zasraniec w jego słownictwie zajmował miejsce daleko za pogardzanym szczurem lądowym.)

...Gnaliśmy jak szatani. Wóz brał coraz częściej zakręty, na stokach wzgórz apenińskich rosły laski cedrowe, piękne i tchnące historią.

...W dawnych czasach komunizowania się chętnie porównywałem zdobywczego Marcina do wielkoluda z „Aurory”, zagarniającego ziemię nogami, a niebo głową. Przekonany o potencji buntu determinującej bliską rewolucję, szukałem jej i znajdowałem w krainach Marcina, bo na wsi było jej mało. Tacy ludzie jak on tupną i... Ileż razy w snach prowadził mnie w morskie niebezpieczeństwa, pokonywał je bez pasa ratunkowego, bez busoli i sekstantu, ponieważ on był tym wszystkim z przekonania i wyboru.

Przyjeżdżał często na wieś, mimo różnych rzeczywistych i wymyślonych afrontów. Tak czy siak, za każdym razem w jego rodzinie nastawała wielka radość. A jakie przygotowania! Brat, nieco starszy od niego, czyścił stare konisko, jakby chciał z niego wytrzeć biedę, koń wywracał białe oczy ze zdziwienia, gospodarz uspokajał go: Marcin wariuje za końmi, nie wyfrunąłby w świat, gdyby... Na wiosenną wodę puszczał okręciki, żeby się popisać czymś niezwykłym. Ech, tam nie ma koni, tylko bałwany. Mimo to uważa siebie za wyższego. Śmiech! Ja przecież wiem, że za dwie morgi oddałby całe morze. Ech, los chłopski! Ty, szkapo, bądź mu statkiem, może mój brat pojedzie na tobie. Następnie plantował bagniste podwórko i latał dach chylącej się ku ziemi stodoły. Marcin lubił porządek, zawsze dawał sto i dwieście złotych po to, żeby odpowiednio ochędożyć gospodarstwo. Niech błyszczy jak lustro słonecznego morza. Niech zasrańcy nie pokazują kpiarsko na dom, w którym gości marynarz. Nowy duch wstępował także w bratową Marcina, ale z innych względów niż w męża i innych domowników. Była to kobieta pięknych rysów i anielskiej dobroci, a jednocześnie, niestety, zaharowana. Dom z dziećmi, obora, pole... Cieszyła się wizytami Marcina, oznaczały dla niej urlop, zwolnienie od kuchni. Marcin demonstrował praktycznie, jak się gotuje i jada na okręcie. Część wiktuałów przywoził ze sobą, także patelnię oraz zmyślne naczynie do parzenia kawy i herbaty. Aż dziw, że taki drab kocha się w kulinarnych misteriach, przeważnie pogardzanych przez mężczyzn. Bratowa modliła się: Boży cku, niechby Marcina przenieśli do jakiegoś bliższego morza, toby mógł chociaż w niedzielę bywać u nas, poszłabym do kościoła, teraz nijak nie mogę, bo kto ugotuje obiad. Bogu być miłą nie sztuka, gdy w domu płacz i zgrzytanie zębów z głodu..

196

197

Cudowna kobieta.

No więc przyjeżdżał, a ja przychodziłem go powitać.

„Umiłowanie morza — kłamałem — coraz głębiej zapuszcza korzenie w naszym gimnazjum”.

Kłamałem, ale przecież, życzyłem sobie spełnienia tych marzeń. Przecież każdy nowy numer

„Morza” w kiosku już wywoływał żar w moim sercu.

Kwadratową, kościstą twarz Marcina oświetlał słoneczny uśmiech.

„Dziękuję ci; gdy my legniemy na dnie morza, straż obejmą tacy jak ty. Mogę już iść z podniesionym czołem między tutejszych zasrańców”.

Obowiązkowo, pożerając kilometry w ciągu paru minut, szliśmy do największego w osadzie sklepu z to\*-i warami mieszanymi, który Marcin prawie rozbijał za-j kupując różne drobiazgi i podarunki, najczęściej zaś| wszystko po kolei, żeby pokazać ludziom, że nie liczy się z forszą. Wiadomo: ten nie liczy grosza, komu nie brakuje. Potem puszył się: „Widziałeś zasrańców? Niech wiedzą, co daje wierne służenie morzu. Ale... — prężył się, rósł do nieba — na dnie twoim lec zawsze! Bo bez morza bylibyśmy śledziami w beczce. Bardzo tanimi. Rozumiesz? Ty rozumiesz. Bez dekoltu marynarka, rozumiesz? Wyobrażasz sobie pracę płuc bez powietrza? Człowiek prawdziwy dusi się, umiera, natomiast zasrań-cy wegetują”. Pozorował duszenie się i szliśmy w wądoły i w przestrzenne pastwiska, gdzie wiatr wydymał koszule, zabierał ciężkie myśli, a słońce rozsnuwało się bez przeszkód. Zdawało mi się, że targa nami i kształtuje nas jedną ręką natury, tej jedynej, którą wytworzył dla siebie Marcin. Na potędze morza roztaczała się muzyka: najpierw Hefajstos walił

młotem w uśpione w głębi młoty, a potem już tylko bębniem w bębny, by w końcu pływające gęsto ryby przemienić w niteczki strun i w ten sposób rozśpiewać cały świat. Głusi nie

198

słyszą, ślepy nie widzą, o Boże, Boże. Dlatego gniew i tym większy żar. Rozumiałem Marcina, ponieważ jechał morzem na koniec świata, a to dla mnie znaczyło tyle, co podróż do sprawiedliwości. Głusi nie słyszą kroków mocarnych, Marcinowych, kroków zbliżającej się rewolucji, ślepi nie widzą swojej nędzy na tej ziemi szarpanej kataklizmami. Dla mnie bunt Marcina był wówczas owocem świadomości.

I oto... Co dalej? Jedziemy wśród pasm górskich, a przed nami góry. Via Plinio 69 — Scavi Pompeani... Na skrzyżowaniu nędzne muły w zaprzęgu poszurały na lewo, Demian dał gaz, ległem plecami na oparciu i z podmuchem powietrza doszły mnie wyraźniej zachwyty Demiana nad Pompeją. Mykole ruszały się uszy od grymasów, potrząsał głową krytycznie, ale słuchał chętnie. Nienowy przykład purytanina. Demian bawił się jego rzekomym obrzydzeniem pomieszanym z niewiarą i dodawał coraz bardziej zdumiewające lub pikantne szczegóły. — Czy zbyt daleko — pytał — posunął się świat w technicznych rozwiązaniach cywilizacyjnych? W Pompei zachowały się nawet rury, które doprowadzały wodę do wodotrysków. Dwa tysiące lat. Domy solidne, planowo budowane.

Droga wiała się zakrętami, coraz ostrzejszymi, coraz gęstszymi. Dostrzegałem tylko szalasy winogradników wśród szeleszczących i usychających kiści winogron, zdawałoby się, że koniec z planową zabudową, słońce pożera ziemię, słońce stało w zenicie. I nagle dychawiczny Mykoła zapytał:

— Ten twój przyjaciel to wróg?

— Ale skąd wróg!

— To dlaczego nie wraca do Polski? Macie teraz dużo norza. — Przez Mykołę przemawiała teraz dusza eks--narynarza.

— Nie wiem.

199

— Będiesz go namawiał?

— Me.

— To po co jedziesz do niego?

— Mam interes, mówiłem...

— Zabierzesz go do Neapolu? — dopytywał się natarczywie. — Jeśli matros... Powinieneś... Może się czuć jak niemowlę wyrzucone na brzeg.

— Nie — odrzekłem niecierpliwie. — Zresztą nie wiem.

— Rzeczywiście, mamy mało czasu, jeśli chcesz w Neapolu zobaczyć te swoje szpiegowskie sprawy — powiedział Demian. — Teraz patrz, w którym punkcie może mieszkać ten nieszczęśnik.

— Gdy stanie tam — powiedziałem z wiarą — to go zobaczę i poznam. Przewyższy wszystkie te kuce.

W kotlinie, układającej się tarasowato, leżała wioska ulepiona z gliny, jak w „Fontamarze” Silonego, a przykrywała ją trzcina, prawdopodobnie ścięta w stawie, który zalewał środek kotlinki i wciągał pobliskie chaty na swe bagniste brzegi. Taplały się tam białe ptaki. Zostawiliśmy wóz i szliśmy niezgrabnie po trzeszczących kamieniach serpentynowej dróżki, kamieni chyba i diabeł tu naniósł w takiej ilości. Coraz wyraźniej wy-] kładały się szczegóły wsi i jej otoczenia, i charakteryzowały ją. Innymi drózkami zjeżdżały do zagród konie na dyszlach, chłopci kulili się na małych wózkach. Wszak to południe, czas na obiad. Gdzie indziej dzieciśka niosły obiad w kobiałkach na wysoko położone półka, gdzie czekali ojcowie, spragnieni przede wszystkim wody. Już rozróżniliśmy kamienne dzbanki. Mniejsze dzieci szły dłużej, bo bawiły się po drodze tym, co znalazły. Jak w Polsce. Wyglądały nędznie na tle nędznych pól, których przecież nie mogły specjalnie ozdobić ani zielone jaszczurki, pełzające na żółtawej trawie podobnej

200

do ich brzusków, ani też wyschłe łodygi kukurydzy bez kolb.

Zbliżaliśmy się, oznajmiały to wyraźniej ące w rzadkim zadrzewieniu zabudowania, jak i szczekanie psów oraz kury grzebiące się w kurzu. Prawie wypierzone. Myślałem coraz intensywniej o przyczynach, które uchwyciły w tak bezlitosne tryby drugą część życia Marcina. Nieprzenikniona zasłona. Nie patrzyłem na Mykołę, który głośnym sapaniem wypowiadał się bardzo wyraźnie. W końcu jednak spytał: — Czy on naprawdę był marynarzem?

— A co, wymyśliłem? — odparłem gniewnie, ponieważ mnie też denerwowała sytuacja.

Zupełnie... jakbym ja się skompromitował. Żałowałem, że pozwoliłem iść towarzyszom.

— No, zobaczymy — odsapnął Mykołę, zostawił mi furtkę do odwrotu. Och, gdybym mógł bezwzględnie, gorzką prawdę zamienić na żart. Na poczekaniu starałem się wymyślić jakąś tragiczną biografię eks-ma-rynarza, ale nadaremnie. A uzurpowałem sobie, że dostatecznie otrząsałem się ze sprzecznościami istniejącymi w ludziach.

Szliśmy cicho, jakby w obawie, żeby nie przestraszyć wielkiej tajemnicy. Rzadki sad, oliwki i zdziczałe cytrusy — opadłe liście zaszeleściły pod stopami, przystanęliśmy onieśmieleni, ponieważ na progu wystawionej do słońca chałupy z gliny, krytej źle wypalonymi dachówkami, zauważyliśmy zad, a potem plecy korpulentnej baby. Kształty wylewały się z rudej sukni. Przez ten moment zdążyłem zobaczyć flankę obórki chylącej się ku upadkowi na zabagnionym zapleczu. Miniatura gospodarki brata Marcina w rodzinnej wsi. Brak tylko wyliniałego łba końskiego, wyglądającego przez dziurę w ścianie, pomyślałem z goryczą, poruszony tą zbieżnością życia Marcina przed ucieczką z dzisiejszą jego

2011

sytuacją. Brak konia nie psuł jednak podobieństwa. My-koła węszył tu wyzysk człowieka przez człowieka, twarz mu nabrzmiała, ruszył z kopyta, i wtedy kobieta siedząca na progu zerknęła ostro przez ramię. Właściwie rzuciła głową do tyłu. Zorientowaliśmy się, że prowadziła z kimś zawziętą sprzeczkę. Na podołku trzymała wrzaskliwy tranzystorek i wprawiała go w mówienie, gdy trzeba było zagłuszyć czyjąś odpowiedź. W głębi zobaczyłem fragment siwych włosów, które kiedyś były krucze.

— Buongiorno — pozdrowił Demian ugodowo, gdy baba zgasiała nagle tranzystorek na słowie „Kennedy”.

— Salitas vitas — niemal zawarczał Mykoła po litewsku. My koła, podobnie jak Stefan czy też Spiritus, używał przy nas litewskich wyrażen tylko jako przekleństw, i to z wdechem, jakby do swojej wiadomości. Wyglądało na to, że rozsierdzony Litwin pragnie przerazić i stłumić babę niby wroga klasowego. Byłem wzruszony tą solidarnością z moim bólem i ja pozdrowiłem po polsku, niejako akordem zwycięstwa, podając linę ratunkową rodakowi zakutemu w dyby gdzieś w czeluści chałupy. — Dzień dobry.

To wszystko odniosło wręcz odwrotny skutek, baba zamiast zawyc z rozpacz zadrzała z radości, jakby usiłowała swoim szczęściem przygnieść ofiarę. Śniada, rozdęta twarz witała nas jak pomocników z piekła rodem, tylko tam panuje różnojęzyczny zgiełk.

— Guarda, vanno per prenderti! — wrzasnęła do kogoś we wnętrzu, odwróciła się gwałtownie, niemy tranzystorek upadł i zobaczyliśmy w jej ręku rondel, z którego coś wyjadała, i teraz temu komuś groziła tymże rondlem. I jeszcze powtórzyła: — Guarda! Idą po ciebie. Bierzcie go. Ferma los.

„Na widliska, do piekliska” — dopowiedziała moją

202

wyobraźnia, bo już zaczęły się dziać rzeczy iście diabo-liczne.

— On chce być gubernatorem — krzyczała i ciągle groziła rondlem temu komuś, głowa jej obracała się jak żarna, gruba szyja wyciskała pot. — Komisarzem nie będzie, brzydzi się komunistami. Santa Madonna. — Zerwała się dość zwinnie mimo swojej otyłości, żeby nie być stratowana przez Mykołę, nie okazała jednak paniki, stanęła teraz suwerenna, pewna siebie, usuwając dłonie pod brudny fartuch, i prawie zasłoniła drzwi. — On chce zostać tam białym gubernatorem — od nowa i z impetem pyskowała.

— Nu, charaszo... charaszo... — mitygował Mykoła, który pierwszy dojrzał mężczyznę opartego o niski piec. — Zostanie gubernatorem następnym razem — tłumaczył po włosku —

teraz zaś musi się ratować przed śmiercią. — Wpatrywał się uważnie, wyślepiał oczy, zaniepokojony niemą i bezwładną postawą faceta. I ja wreszcie przez szczelinę między pokrzywioną futryną drzwi a głową baby, rozchwievaną na dwie strony, zobaczyłem wysoką, lecz przygarbioną sylwetkę mężczyzny, zakończoną pod sufitem płaską twarzą, składającą się z samej skóry i kości. Za tamtych czasów umięśnienie wiązało twarz czerstwą i kształtną, czerwoną — gdy trzeba — jak ogień. A gdzie włosy, te twarde jak szceć końska? Marcina Gasa przypominał w pierwszej chwili tylko nikły uśmiech, pozostały po uporczywym marzycielstwie.

— Źle — powiedział Mykoła w związku z chorobliwym wyglądem Marcina i kiwnął głową.

—• Ja dla niego już jamę kazałam wykopać na cmentarzu — potwierdziła baba bez żenady.

— Jamę? Co znaczy? — Demian, blednąc, spojrzał na mnie.

— Grób. Murowany — wytłumaczyła. — Ale on nie

chce jechać obejrzyć. Niechby se przed śmiercią obejrzał. — Pokiwała głową. — Tego amerykańskiego prezesa zabili? Kennedy się zwał? No widzisz, nie takich diabeł bierze. — Lecz w końcu zrezygnowała z żądzy uśmiercania. Biernie poddała się swojej niemożności. — Jego siekiera nie dobieje. On tak chwalił się dawniej, i to się sprawdza.

— Marynarza nie dobieje — zgodził się z entuzjaz-

- mem Mykoła, mówił teraz po polsku i jego głos, po- • party zamaszystym gestem ręki, zabrzmiał rozkazująco. Na bratni zew oczy Marcina rozświeciły się, i on sam ruszył naprzeciw, ale tak powoli i ostrożnie, jakby polepa miała mu się usunąć spod nóg.

— Czy dobrze słyszałem? — zapytał, i czuć było drżenie w jego słowach. Głos uwiązał mu w gardle. — Polacy, i do tego jeszcze marynarze!

Baba wycofała się za próg, na pole, obawiając się kleszczy. Mocniej ujęła rączkę rondla.

— Prawie Polacy i prawie marynarze — szybko strzelał Mykoła. — Ale zawsze najważniejsze morze. Zalać się można.

— Czy to prawda? — jękliwie wydyszał Marcin.

— Jeden gra, drugi basuje — kpiła potężnie baba i zaskoczyła z lewej strony, jakby zamierzała udaremnić domownikowi wyjście na podwórko.

Miałem przed sobą ruinę człowieka, długie ręce, długi nos, omszała głowa, stopy ciemne jak ziemniaki — wykradające się z ruiny. A może to wrażenie rozkładu stwarzało i potęgowało ubranie podarte i zetłale, jak z odkopanego po latach trupa? Płakać się chciało.

— Zaleję się dzisiaj — wykrzyknął tragicznie Mykoła.

— Po kolei — usiłował porządkować sytuację urzędowy Demian.

Marcin patrzył teraz tylko na mnie, oczy zaginione,

204

zapadłe, jakby wypływały z oczodołów, otwierały się coraz szerzej, aż zaszły mgłą, mgła ta gęstniała, stopiła się w łzy, które poczęły spływać po policzkach. Z trudem przemówił: — Pan... aż stamtąd?... Poznałem — uśmiechnął się w radości, że jeszcze reaguje na słońce, prostował się, zerkając rzeczywiście na słońce. Lecz uciekał przede mną, mocował się z sobą — wygrał. — Szkoda zachodów. Ja tam nie wrócę.

Rozłożyłem ręce bezradnie. Źle zrozumiał i drgnął do tyłu.

— Rzuciłem rękawicę warszawskiemu rządowi. — I znów łzy popłynęły z jego oczu.

Baba powtarzała jego słowa wargami, cicho, ale z radością, suflerowała. — Nie mówiłam? To gałgan skończony, łotr, tylko jama mu się należy na cmentarzu, tu, nie tam, bo wasza ziemia by go wyrzuciła.

Schylił głowę jeszcze niżej, jakby się przyglądał czemuś. Usłyszałem: — Ona mnie przyzwyczajają do grobu, ale ja się bronię. To egoistyczne, prawda... proszę pana?

— Przeciwnie. — Zdawało mi się, że nareszcie odzyskam jakieś argumenty. — Egoizmem w tym wypadku byłoby właśnie nieustanne obserwowanie siebie umarłego, przyzwyczajanie się.

Potem nie sztuka umrzeć. Właśnie trzeba żyć do końca... i to starając się wybrać dla siebie jak najlepsze warunki. Pamiętam...

Przerwał mi w popłochu: — Ja nie wrócę. — I zaczął mówić coraz szybciej, jakby w obawie, że

mógłby nie powiedzieć tego, co jest treścią jego wegetacji. — Ja się tu nie nadaję do życia, ja wiem, że wy też może już wiecie... Ale ja byłem marynarzem na całego. Człowiek morza, kiedy wraca na ląd, musi się decydować na potworne warunki... nienormalne warunki. Ryba bez wody, bez przesady. Ale już dawno — pomarszczoną dłoń przyłożył do czoła, zmuszał pamięć — na początku tego wszystkiego — teraz zmęczonym gestem ręki ogar-

205

1

nał dookolną przestrzeń włącznie z zatęchłą izbą — tego wszystkiego... Tak. Rozkazałem tej — zastanowił się, poruszał wargami — gospodyni, żebyśmy rozpoczęły walkę. Na śmierć i życie. Ona ma być rządem warszawskim, który powinien mnie gnębić i odbierać chęć do powrotu. Robi to z wielką ochotą, potrafi dręczyć. Bo... dręczyć umiała także w miłości.

— A może i teraz dręczy z miłości? — zapytał zafrasowany Demian, który miał jakieś smutne przejścia z narzeczoną. Zaraz wsadził między zęby kawałek gałązki wina i przez dłuższy czas nic nie mówił, zda się przeszkadzała mu owa gałązeczka, ale po ożywionych oczach było widać, że brał udział w rozmowie, bardziej niż przedtem.

— Może i teraz dręczy z miłości? — Marcin powtórzył pytanie. W sceptycznym tonie już była odpowiedź przecząca.

— Miłość? — wrzasnęła baba i wzięła się pod boki. — Z kim? Ze skwaśniałym octem?

Marcin Gas skurczył się, przyszedł mu z pomocą Mykoła, i dzięki temu znów odzyskał godność i odwagę. — Nie zawsze był chyba kwaśny jak ocet. To się stało powoli... Czulem się jak odcięty...

— Miłość? Może była, ale ja nie pamiętam — warczała dalej kobieta. — Chodził co wieczór nad staw, nad ten śmierdzący staw — wionęła ręką za siebie — i mówił do tej śmierdzącej wody jak do kochanki. Mnie już nie widział...

— Namiastka wody... — usprawiedliwiał się pokornie Marcin.

— Słusznie — potwierdził Mykoła — właśnie woda jest gdzie indziej. Jedyna woda... Morze.

— Straciłem życie — wyznał Marcin. Nie spojrzął na babę, ale wiadomo było, komu przypisuje swoje nieszczęście.

— To ja straciłam.

— Patrzcie, widzieliście kurwę, prawiczka! — Trzeba było nie lada wysiłku, żeby szczątek człowieka zdobył się na taką definicję.

— Pomyłony na wieki — złorzeczyła baba, napompowana żółcią. — Nie chciał robić w polu, chociaż podawał się za syna rolnika. Po co kupowałam to gospodarstwo? Wyciągnęłam od mamy oszczędności, i moje oszczędności też poszły...

— To były moje dolary — zaprzeczył.

— Twoje pieniądze? Te resztki? Stały się moimi — sprostowała z oburzeniem. — Zapracowałam na nie!

— Przyznajesz się, że od początku byłaś ladacznicą — powiedział.

— Nie byłam nigdy! Wszystko dawałam za darmo, dopóki wierzyłam w twoją miłość i wierność. Ale odkąd zrozumiałam, że zdrada kryje się w tobie od początku, to policzyłam sobie od początku za te twoje przyjemności... Wszystkie noce. Dwie i trzy noce, nawet cztery noce za jedną noc. Tyle używałeś. Nie miłości ci trzeba było, lecz zapomnienia. Swój cel przypomniałeś sobie nad tym śmierdzącym stawem. — Złapała się za głowę z rozpacz. — Ci panowie zawieźliby cię do szpitala wariatów, gdyby wiedzieli, co robiłeś. — Po kolei popatrzyła na nas, zmuszała do baczniejszej uwagi. — Narobił okręcików, włożył z nimi do wody, nurzał się po pepek. Przyprawił im żagle. Dzisiaj żagle... — zakreśliła palcem kółko na czole.

Obraziła Marcina, zareagował. — Na stawie prawie zawsze jest sztil, cisza. To raz. A po drugie, kto by tu odnalazł mały okręcik? Proch. A żagle dojrzy jedno niebo. Jedno niebo.

Wpadła w jego melancholijne słowa: — Bardzo się cieszył, gdy żagle kierowały się na zachód, ale zaraz

206

207

1

obracał je na północ. — Niebo — mówił — kiedyś orientowało się na żagle...  
 — No a co było na morzu? Tylko żagle!  
 — A po co mu to było?! — zakrzyknęła. — Bo tęsknił nie do mnie, lecz... Dzieciństwo w głowie staremu facetowi. Obłudnik. W gębie był taki... a sercem inny... Tak?  
 — Tak... Nie! Ja zawsze przeciw rządowi warszawskiemu, bo nie mogłem wrócić do Polski.  
 — Koło okręcików — krzychała dalej — robił pianę. Płynął. Kradł mi mydło.  
 — Niebo szuka żagla zawsze — oświadczył z prze-, konaniem i oczy błyszczały mu dziecinną radością.  
 i — Ciebie szuka — zakpiła.  
 — Tak!  
 — Zdrajca!  
 — Tak. — Schylił głowę.  
 — Szuka i znaleźć nie może — znów szydziła.  
 — Widzi, widzi! — zaręczył. — Niebo jest wszędzie. Nierychliwe, ale sprawiedliwe. Boga może nie ma, ale ono jest.  
 — Zdrajca, zdrajca! — Zatoczyła rękami łuk i brała nas na świadków. — Mnie wziął dla oka, wytworzył sobie inny cel.. Czekanie. Czekać mógłby także w grobie. W jamie. Wykopałam.  
 — Ona też ma hyzia — powiedział Demian szeptem.  
 ! — Trupa nie będę trzymać w domu — piekliła się.  
 — A ja nie chcę mieszkać z kurwą.  
 — Musisz, bo poszukują cię karabinierzy. Jakie masz nazwisko prawdziwe?  
 Spuścił głowę, z trudem przełknął ślinę. Ale jakby zażenowany znów przystąpił do ataku: —  
 Złodziejka! Ukradła moje okręty.  
 — To ty złodziej. Ściągnął ze mnie jedwab na żagle! Ko-cha-nek!  
 Zaskakiwali na siebie wyzwiskami, jak ludzie strasz-

208

nie obnażeni. On, wymokły, wyprany z kolorów, rozpałił się na twarzy, ona zaś napęczniała, bliska pęknięcia. Myślałem, że rzuca się na siebie. Ale nie. Po chwili, kiedy odzyskali dech, lżyli się wzajemnie z impetem, baba opanowywała się w miarę przekleństw, które były krótkie, uderzały twardo, ba, strzelały.

— Święta złodziejka. Madonna!

— Judasz. Za trzydzieści srebrników sprzedał..

Marcin złapał się za serce, jakby upadał, ale wyprostował się wbrew dolegliwościom i odpowiadał cichym, rwanym głosem, chociaż w dalszym ciągu zamierzał na odlew. Zaciskał pięści. Tak trwało przez parę minut. Najbardziej ruchliwa wyobraźnia nie mogłaby nadażyć. Zda się, ta zasobna w siły baba nauczyła w walce... — przeciw komu? „rządowi warszawskiemu?” — nauczyła go, jego słabego, nie składać broni i teraz zbierała opaczny plon.

W ferworze starcia między nimi wylaniały się kontury jałowych zwycięstw mojego krajana, które były klęskami. Najpierw... Kiedyś... myśl uparta i dramatyczna, żeby uciec od kraju, za pośrednictwem kobiety, przypuśćmy — bardzo zabójczej. Ta myśl okazała się nie mniej maniakalna niż myśl ucieczki od ziemi i przegranego losu na wsi, ciągle jednak powracającej do niego. Tak samo maniakalna, jak globalne marzenie o morzu — świecie bez miedz. I oto szczeł na nic w nowej nadziei wytrwania. Upadł i nie mógł się wyzwolić z samotności. Skrucha nie dźwigała go, lecz wiązała w supeł, na zawsze, i rzucała go we wstrętą zgryzotę. Nie do zorania. Ugór. Wił się w niemożności zagłębienia się w tym ugorze. Trwał więc w atmosferze sprzeciwu wobec swojego upadku i jednocześnie z nadzieją przetrwania, chociaż żadnej nadziei na to nie było. Natomiast baba miała wszelkie szansę przetrwania jego i cały świat nawet w najgorszej egzystencji,

14 — Dziewczyny i chłopcy

209

może właśnie przede wszystkim dlatego, bo ona będzie żyła, gdy Marcin Gas szczełnie na amen. Żyli — przynajmniej od paru lat — pod jednym dachem w zawziętej nienawiści, nie dało się

rozwiązać to współzycie, cementowały je przekleństwa, niejako uzewnętrzniały, aż wreszcie dziś dostąpiły mocy przebudzenia starych buntów w postarzałym przedwcześnie mężczyźnie, wyzwolenia ich dzięki tym samym przyczynom, które kiedyś włożyły mu jarzmo.

Marcin już dzwigał je lżej, powiedziałbym, bez zobowiązania, i poznać to było po jego stylu wyzwisk i przekleństw. Wydzielał je z siebie bez emfazy, coraz celniej, przestał się szamotać — ofiarnik zgryzoty. Baba w lot zorientowała się w zachodzących w nim zmianach, zamknęła na moment swoje czarne ślepia, cwaniara, i spróbowała odciąć swojego współdo-mownika od odsieczy, od nie uświadomionej jeszcze nowej nadziei. Poróżnić z sobą sojusznicze strony...

— On już pisał raz do Warszawy, że tęskni i chciałby wrócić, ale musi kogoś tam zabić. Jak wczoraj Kenne-dy'ego. Z ambasady przyjechał jeden taki i poradził mu, żeby se wybił z głowy na wieki wieków amen.

Była przekonana, że spełniła zadanie po mistrzowsku, teraz cofnęła się o pół kroku, wbiła pięści w otłuszczone biodra. Byłbym wytrzymał i ten obuch diabelskiej baby, nie uznałbym go, gdyby nie pokorne, zażenowane schylenie głowy Marcina. Na domiar złego Demian wlepił we mnie swoje oczy, te laskowe orzechy po obraniu z łupiny — na coś czekając? Z zębów wypęzła mu winna gałązeczka.

— Dużo się zmieniło na świecie i w Polsce. Słyszeliście przecież. — Ni to tłumaczyłem, ni uspokajałem, niepewny, jak się mam zachować. Do diabła, przecież nie mam innego celu niż ten, z którym przyjechałem. Niech se łby urywają. Ale strasznie mi było żal Mar-

210

cina i chciałem z niego zdjąć część winy. — Ludzie są inni, każdy człowiek się zmienia.

Marcin ocknął się, podniósł głowę, obejrzał nas, tworzył jakby drugi front. — Nie byłoby mi i teraz lepiej.

— Ale na pewno inaczej. Rozumiem was, ruina...

— Co to znaczy? — prawie warknął. — Ładnie, pięknie... ale nie zamydlicie mi oczu miłością ojczyzny i nową demokracją. Jak feniks z popiołów, tak? Cha cha. — I coś jeszcze tam mówił w tym duchu, podrwiwał, a ja czekałem prawie zrezygnowany i usprawiedliwiony, aż się uspokoi i będę mógł mu powiedzieć, z czym przyjechałem. Natomiast babsko, już całkiem uspokojone, śledziło starcie, które było jej dziełem. Tylko oczy smoliste, które rozgorzały, zdradzały mściwość, niejako dalszy ciąg namiętności, bez której umarłaby. Nienawiść i zepsucie, szczątkowe może, pomieszały się w niej i stworzyły grozę życia. Mykoła złapał się za głowę i powiedział półgłosem do Demiana: — Ja bym takiej babie wsadził rozżarzony pogrzebacz. Kiedyś musiała wciągać do brzucha jak lwica. Biedny ten... Gdzie sława marynarska, Boże mój!

Pilnie baczyłem, kiedy Marcin skończy, a skoro to zrobił, oznajmiłem urzędowo i smutno: —

Marcin, nie przyjechałem tu nikogo kaptować, wstąpiłem po drodze do Neapolu, żeby przekazać prośbę waszego brata. Chodzi o to, żebyście się skwitowali ze swojej części ziemi, bo bez tego brat nie może teraz rozdać dzieciom. Jak? Napisać... po prostu napisać... — Myliły się słowa, bo szachowały mnie oczy Marcina, otwierające się szeroko, zdumione, jak na zew zgasłego przed chwilą słońca.

— On ma jeszcze ziemię?

— No pewnie, że ma.

— Nie odebrali?

— Nikomu nie odebrali.

14\*

211

— Ale bieda, konia nie utrzyma, co? O komunistach czytałem kiedyś, że odbierają narzędzia pracy, żeby uzależnić od państwa...

— Gdzie tam, ma dwa konie.

Załamał się, zaruszał rękami bezwiednie, jakby szukał tego, czego nie ma.

— Wariowałem na punkcie koni — wyrzucił cicho. — Potem na morzu grzywy to były grzywy.

—r Moja narzeczona — odezwał się nagle Demian — nie chce przyjechać do Polski, bo mało u nas

koni...

— Nasz Sekretarz by Spadł z krzesła, gdyby to usłyszał — powiedziałem ja.

— Tak — Demian bronił dziewczyny — ale jej ojciec ma na stepie argentyńskim tysiące koni. Nawet nie wie ile...

— Kiedy morze mnie wyrzuciło, chciałem mieć przynajmniej konia. Nie udało się — tłumaczył Marcin, nieszczęśliwy, i nagle w rozpaczliwej determinacji pociągnął nas za sobą, zaganiając niejako w powietrzu, i już staliśmy na progu glinianego chlewika bez drzwi. Chlewik był przesiąknięty amoniakiem, jeszcze dotliwał tu nawóz koński.

— Konika musiałem sprzedać — powiedział. — Za mało ziemi. Nie mogę już dorobić na konia.

— W Polsce dorabiają na konie — powiedziałem. Pomedytował i orzekł: — To znaczy, że nie jest źle.

Ale nie honor wracać. — Znów zamedytował się. — Napiszę to zrzeczenie się z mojego kawałka. Po co mi ten kawałek — mówił prędko. — Przecież nie wrócę. Niech mają, żeby nie dorabiali na konia, koń żywi się swoją robotą.

— Brat ma dwa konie — przypomniałem trochę przekornie. Ale Marcin nie słuchał, chyba nie chciał słuchać, żeby nie popsuć sobie jakiejś decyzji.

212

— Napiszę i... wobec tego poproszę was o zabranie mnie z sobą do ambasady. Od razu potwierdzą.

— Wpierw jedziemy do Neapolu.

— Wiem... — wahał się. — Do Neapolu nie muszę.

— Nie? Do morza nie?

— Tak już postanowione, że nie. Na wieki wieków. — Gmerał teraz nogą w gnoju, jak koń.

— Ale my musimy.

— Skoro tak... — Jakby odetchnął, i znów poprowadził nas do chałupy. Baba czekała na nas twardo. Zakomunikowałem jej decyzję Marcina co do Neapolu i ambasady w Rzymie. Byłem trochę zażenowany, bo postanowienie Marcina zaskoczyło mnie. Ale nie zauważyła mojej słabości.

— Nie kłamie ten pan? — krzyknęła do niego.

— Nie kłamie — odpowiedział i ruszył do niej kołyszącym krokiem. Jak marynarz. Ech, zmartwychwstał. Zapomniał się? Ona krzyknęła i całe jej obfite piersi jakby bełkotały pod wypłowiałą suknią.

— Tyś parobek, jesteś na służbie. Jeszcze nie odrobiłeś za jedzenie. Kiedy odrobiłeś? Nigdy nie odrobisz.

W tym momencie Mykoła groźnie zasapał i wytargał z zanadru dwa olbrzymie banknoty po pięć tysięcy lirów.

— Masz za parobka! Wystarczy na kilka dni! — Baba cofała się, on następował, z zamieszania skorzystał Marcin i wpadł do izby, w tę stronę rzuciła się baba, ale nie po to, żeby go gonić i przeszkadzać mu w szukaniu znośnego ubrania i całych butów. Wepchnęło ją do izby jakby samo oburzenie, kiedy poczuła w dłoni te My kołowe banknoty, które parzyły, długo nie mogła ochłonąć, stała na środku izby, gwałtownie gestykulując, bez słów, oddechem mieszała stęchliznę. Marcin mógł bezpiecznie przewidzieć się. Zauważyliśmy, że baba już nie ma tych banknotów w dłoni, i pokazały się znowu wtedy, gdy

wybiegła za uchodzącym z izby Marcinem. Miała jednak zamiar gonić nie jego, lecz Mykołę. Litwin zawiercił się siarczyście i babska wściekłość skrupiła się na mnie. Wytargała liry z zanadru i wmusiła je w moją dłoń. Banknoty były ciepłe. I jednocześnie krzyknęła: — Ale niech wróci cały... Ja pod tym warunkiem. — Niby że pod tym warunkiem się godzi. — Po co kazałam kopać jamę na cmentarzu?

Boże mój, ledwie dwadzieścia godzin temu wyjechałem z Warszawy, a już tyle rzeczy się wydarzyło. Najgorsze to, że niespodziewaność wypadków rodziła niepokój o dalszy ciąg wydarzeń. Niespodziewane oznacza czasem tyle, co niewyczerpane.

Marcin Gas wycofywał się między nami przez sadek, jak krab, ciągle świadom wzroku diabelskiej baby, która stała przed chatką pochylona do przodu i jakby żądna zaczarowania zdrajcy. Dopiero za

sadkiem obrócił się i spróbował biec. Zasapał się bardziej niż Mykoła, zaraz przystanął i zwrócił się do mnie: — Mówi się jeszcze tak na wsi, że lecę w dyrdy?

— Pewnie, że się mówi. Ale tylko starsi— odpowiedziałem.

— Tu nie ma do kogo pyska otworzyć — zwierzał się Marcin już przy samochodzie na wzgórzu; poznać było po jego głosie, że cieszy się swoim zdumieniem, które bynajmniej nie chce być ani entuzjazmem, ani wiarą.

Uśmiechnąłem się i powściągliwie pouczyłem: — Skoro pan się tu замуrował...

Oparł chudą dłoń na masce limuzyny, skupił się, zwarł w sobie, wyglądał jak jeź nastroszony wobec słońca.

— O, nie sam jestem winien. Może uda mi się opowiedzieć. Jeśli mi się uda...

— Wsiadacie czy jechać bez was? — postraszył Demian i nacisnął starter. — Bo nie zdążymy przed zmrokiem.

— Jeśli mi się uda — przypomniałem Marciniowi, kiedy wóz już był w dobrym pędzie.

Milczał, a po chwili grymas cierpienia przebiegł po jego Wychudzonej twarzy. Ta twarz była zaprzeczeniem tamtej „przedwojennej” twarzy, (opalonej, energicznej i dobroduszej) przytwierdzonej do ciała Apolla. Wzruszył ramionami, głęboko przeżywał ten ruch, powtórzył go i w ten sposób naigrawał się z siebie. Mrugał oczami, może chciał wydobyć trochę łez, zapłakałby nad swoim losem. Ale nie umiał. Naigrawał się z siebie.

— Jeśli mi się uda... — znów przypomniałem.

— Powiedział język, nie ja. Przecież nie można żyć od nowa — obruszył się, smutny.

— Jesteście żonaci?

— Nie. Rozwiedziony.

— Z tą klempą — spytałem, dobrze wyważywszy to słowo.

— Nie. Ze światem. A klempa śliczna była, aż strach! — Pomyślał i dodał: — Teraz jadę do Neapolu chyba się utopić.

Znów się uśmiechnąłem z tłumionym współczuciem.

— To znaczy, że chcecie żyć, tylko lepiej... Podciąg-niecie się, potem nowa kobieta... Cuda! — Spodziewałem się wszystkiego najlepszego po sporach Marcina ze światem i było mi wesoło.

Pod tym względem, co wy myślicie, to ja w zasadzie bardzo mało użyłem. Szarpało się na prawo i lewo, ale one nie dawały mi szerokiego oddechu, takiego jak morze, i dlatego bałem się, że przyniosą mi tylko chaos.

214

215

Kobiety to w ogóle chaos, a sukienki oraz różne f atala-szki jeszcze bardziej pogłębiają ten fakt. Honor marynarski, wierność dla jednostki morskiej były przeciw dziewczynom na poważnie. One przeszkadzałyby dalekosiężnym podróżom. Widocznie zostałem poświęcony przez los, skoro wieś... hm... nie mogła dać takich romantycznych możliwości. O, nie zaprzeczajcie, także na morzu wiatr rozsypuje się dopiero za horyzontem, a jak jest sztil, to widnokrąg замуrowany upałem jak w pszeniczne żniwa, tylko promienie brzęczą. Tam kosy śmigają, tu latające ryby. Przeznaczył mnie los na wyjście w świat, bo jakże inaczej mógłbym oswobodzić brata na wsi od siebie? Wierzyłem, że nasze polskie sadzawki są ledwie punktem wyjścia do nieograniczonych wód i horyzontów. Na całego zanurzyć się i zaprzedać. Już dawno, bardzo dawno, gdy koszulę nosiłem w zębach, z naszych pól płynęły wiosną strumyki do morza. U mojego taty padł koń. Gdy padnie chłopu koń, to już nie ma świata. Płakałem okropnie. Na sezonowym potoczku polnym próbowałem innych skrzydeł. Mój dziadek był na wojnie japońskiej, płynął okrętem pół roku i mówił, że tam ludzie lepiej żyją z morza niż my z pola. Pływałem na wielu statkach, naszych i nie naszych, alianckich. Pływałem także na „Batorym”, przerobionym na transportowiec i pomalowanym na szaro, w pasy. Kabiny padły i zamieniły się w barakowe mieszkania. Spotykaliśmy „Dzika” i „Sokoła”, i „Ślązaka”, co włączył się w konwojach do Egiptu i z powrotem do Włoch. Aha, to już rok czterdziesty trzeci na czwarty. „Burza” czatowała na jednostki niemieckie koło Balea-rów. No więc zobaczyło się kawał świata, i dla mnie ważne było to, a nie miny na morzach, u-booty i

bombardowania. Ciągłe jednak brał strach, że myślenie o sobie byłoby niewdzięcznością za mój los i przeznaczenie, prawda? Dziewczyny mogły być tylko dziwkami.

216

Porty, knajpy, alkohol, przyćmione lampy na ulicach, otwórz okno, wyrzuć dziwkę, gdy za wiele myśli o sobie. Krzyczały? Co je dręczyło? Nie zastanawiałem się. Nie wykrzyczy się wszystkiego, i to jest tragedia. Ja zaklinam świat, żeby mi dał poznać wszystko. Co? Czasem u-booty trzymały nas w zatokach jak w norach. Koty miauczały na dachach, one nie bały się niczego. Najwięcej poznałem pływając na angielskim statku. Duże i małe wyspy na otwartych morzach, półkoliste plaże. Ale wszędzie były dziwki, niezależnie od koloru skóry. Pomieszane z krabami, krewetkami i żabami, i tyle warte. Słońce przesywało na wylot, i na odmianę koło fiordów siekły twarz zimne i słone bryzgi. Niektórzy tego nienawidzili. Dlaczego? Przecież to wszystko nasze. A pas ratunkowy trzeba było mieć zawsze przy sobie, tak czy siak. My wiedzieliśmy, jak to jest. Fale biją o barki i składaki, albo o samotnego człowieka płynącego o kilometr od tonącego statku tak samo, jak o nabrzeże. I zaraz pojawiają się delfiny, jak gdyby nigdy nic. A na oceanicznych przestrzeniach rekiny — to wiadomo, z celem. Za węchem. Ale ja miałem pas ratunkowy tylko dlatego, że wyraźnie był taki rozkaz. Dufny byłem w swoje przeznaczenie, i Bóg skarał mnie za to. Tak się mówi, nie zastanawiamy się nad Bogiem, ja się nigdy nie zastanawiałem, bo miałem cel ustalony, raz na zawsze, czymś musiałem imponować zasrańcom, którzy mi zazdrościli i afrontowali. Różnić się czymś doskonałym i naturalnym... Zza każdego relingu czyhała zagłada, ale nie na mnie. Do mnie mogła się tylko śmiać, bo ja będę żył. No więc... Morze Śródziemne... Ciepły wiatr, nie sirocco... A snią mi się wody Polinezji. Albatros, albatros... a naprzeciw rekin... ślepia aż strach...zęby jak noże... Albatros, albatros... Chyłkiem wysunąłem leżak na pokład i zagłębiłem się w tym leżaku. Zdawało się, że nic nam nie zagraża prócz lekkiej

217

w

bryzy i nudy. Nawet najwrażliwsi przestali fantazjować, jakie jest dno morskie. Aparaty wykrywające wysledziły chyba ostatnie u-booty tuż na wysokości Rabatu. Bomby głębinowe z fregat zniszczyły dwa. Chyba ostatnie. Minęła doba od tego czasu. Było spokojnie, bezpiecznie w kolumnach. Kucharz krzyczał, żebym się zbudził, gdy będzie gotowa kolacja, właśnie skrobał ryby. Teraz śniły -mi się kwiaty rododendronu i Hiszpania, tam nigdy jeszcze nie byłem. Albatros... albatros... a naprzeciw rekin. Szedł konwój, sunęliśmy, usypiający ruch i usypiająca samotność w ruchu. Bo wyobraźnia przecież pracowała. Nie tylko dlatego, że albatros i rekin... Ale zgodnie ze światłem zachodzącego słońca, które tak pięknie osnuwało moje nogi czerwoną mgiełką. Była przecież późna jesień. Ileż takiej krwi, nie słonecznej i nie jesiennej, pochłonął ogień, widziało się... Będą dziwki... Wypadło zaś, psiakrew, jak w tej anegdocie, w której baran mówi do owcy: spóźnię się, cholera, na randkę. Gdybym nawet nie zapadał w spanie, to czyż miałyby to jakieś znaczenie? Dla odwrócenia biegu mojego losu? Czy zastanawiałem się na serio, po co są te szlupbelki? Że do podnoszenia i opuszczania szalupy? Moja nowa świadomość już pluskała w morzu. W tym Śródziemnym. Niedaleko stąd... Na jakiej wysokości jesteśmy? Takie limuzyny nazywają krążownikami dróg, prawda? No więc wtedy płynąłem na zwykłej desce z kolegą nazwiskiem Józef Szatan. Ale był przystojnym blondynem i zmiękczyliśmy jego nazwisko na Szatański. Deska walczyła na morzu ze szkwałem. Nareszcie coś nie z rutyny. Ale skąd te nagłe zmiany? Torpeda trzepnęła nas blisko przylądka Sportivento, w Zatoce Tarenckiej, lecz nie o to chodziło. Wojna nie wybiera, poczucie bezpieczeństwa hodowałem wszak tylko na użytek wewnętrzny. Natomiast skąd ten nagły szkwał? Taki koniec? Podróż w nieskończoność? Wiatr zrywał chmury, przyginał jak łopiany za tą stodołą, pamięta pan... panie... Ale nie mogło być więcej jak pięć-sześć stopni, inaczej nie wyratowałyby nawet delfiny. Przy-bój wyrzucił nas na brzeg Kalabrii. I znów coś bardzo łatwego i jednocześnie zrozumiąłem mnie naszło, jak dufność w przeznaczenie. Ukląknę na mokrym piasku w wyjąca noc i powiedziałem: Wywiodłeś mnie, Panie, z przedsonka śmierci, i teraz jestem zobowiązany sam siebie strzec. Chłopcze, naprzód!  
— Odetchnij pan, panie Marcinie — powiedziałem, patrząc ze współczuciem na eks-marynarza, któremu od wysiłku wyrosły worki pod oczami.

Zanurzył się na chwilę w kołnierz marynarki i zaraz wychynał, gwałtownie. — Muszę szybko — zaprotestował — bo Neapol niedaleko.

Nie mogłem się oprzeć przeświadczeniu, że zbiedzony Marcin korzysta tylko z chwili odwagi i nie chce stracić okazji. Nie posłuchał Demiana, który kłamał, że widzi Neapol bardzo blisko, i z kopyta przystąpił do opowiadania o swoim pobycie w Neapolu na przełomie roku czterdziestego trzeciego na czterdziesty czwarty. De-mian zerknął na tylne siedzenie i dodał gazu.

— No więc zamieniamy się słuch — powiedział, gdy Marcin już dobrze ciągnął swój tragiczny zyciorys. Właśnie przebył stukilkunastokilometrową drogę z Kalabrii do Neapolu. Dziwnie określił tę drogę: „skały były gołe, ale krzaczaste”. Poeta. Demian jeszcze wypytywał: — Jakie tu były wtedy stosunki?

— Ogólnie armiami alianckimi dowodził angielski Alexander. W Neapolu królowali Anglicy. Neapol miało się raz zobaczyć i umrzeć. W piosenkach w ogóle panuje głód śmierci i miłości. Na przemian. Nie umarłem. Przy wlokłem się tu jako poszukiwacz floty, przecież musiało być jakieś biuro etatów wojskowych, a tymczasem stałem się skazańcem... I to z jakiej gestii! Pa-

219

nowie jeszcze nic nie wiedzą. Szukałem takich biur etatowych, nie było czy też nie mogłem znaleźć. Jediną zorganizowaną instytucją polską, na jaką się na początku natknąłem, to była stołówka, w której za dwa lub trzy liry dostawało się skromniutki obiadek, chodziliśmy tu z Józkiem Szatańskim, ale tylko w celu szukania polskiego towarzystwa. Mieliśmy dolary i funty na 'dobre obiady, mieszkaliśmy w hotelu, dużo czytałem, a wieczorami pędziliśmy na zabawę. Zapić robaka, bo jak na złość w porcie stawało do zaciągu więcej marynarzy, niż przybywało okrętów. Tyle, co soli morskiej człowiek nabrał w siebie. No więc zostawały dziewczyny... Te same, co zawsze, standartowe. Różne. Nogi zależnie od figury — krótkie, długie, cienkie w pę-cinie lub grube. Znałem się na kłaczkach, bo to było moje marzenie za młodu, i mieć dużą przestrzeń pól, bawić się w kozaka. Podśpiewywałem: Ej, ty na szybkim koniu, gdzie pędzisz, kozacze? Czyś zoczył zająca, co na polu skacze? Ale tu dziewczyny. Różne, ale standartowe. Nawet te najbardziej lekkie szybko odczuwały ciężar miłości i osiadały na pośladkach. Ma się rozumieć, najpierw żarcie, wódka i taniec. Przychodziły przeważnie szukać mężów. Włoszki mają wyższy cel w grzechu, ten cel od razu rozgrzesza. Wielu Włochów było w niewoli, trochę wsadzano do więzień za faszyzm. Nie mogłem wytrzymać zbyt długo w przybytkach wypełnionych kwasielizną i potem. Czuję się rybą wyrzuconą na brzeg. Gardziele w portach nadziane torsjami. I czuję się jeszcze upokorzony tą rozkoszną łatwością, z jaką dochodziło do łóżka. Gdzie się dało. Niektóre to ledwo dotykały żarcia i już wpierały się we mnie. Te mówiły, że nie standartowy, i marzył im się wieczny spoczynek przy mężu. Wiele widziałem, ale nigdy dotąd nie spotkałem się ze stosunkami tak naturalnymi i zaraz potem jak najbardziej dziwnymi.

Potulność czasem konkurowała z agresywnością. Ech, wojenne anomalie. Ta łatwość musiała się zemścić, wiązały się z nią trudności na przyszłość. Okaże się to niebawem. Zdarzyła się jedna, co nie chciała, przyszła z koleżankami, żeby się rozerwać, nie wiedziała, co to znaczy. W knajpie. Nic nie wskazywało na jakąkolwiek grę. Chociaż początkowo myślałem... Dorodna. A talia taka, jakby była odcięta od krągłych piersi i bioder.

Marcin na moment urwał, trzepnął się palcem w wargi, przemógł jednak zażenowanie i brnął dalej. Śmieszły go dawne sukcesy.

— Ale nie chciała dać. Mówi się teraz jeszcze tak po prostu? Wobec tego język w Polsce się nie zmienił. Nie chciała dać. Może ci się nie podobam? Na to moje odezwanie w tańcu pocałowała mnie nieumiejętnie, a z taką namiętą pokorą, że... nie pamiętam, kiedy byłem tak zaskoczony. Chyba wtedy, kiedy ta podkształcona dziółcha we wsi zrównała mnie z zasańcami, zwykłymi szcurami lądowymi. Ale to był inny wymiar zaskoczenia. Ta zaś w Neapolu powiedziała, że szalenie jej się podobam... bom nie standartowy i chyba jestem z hrabiów, bo przecież przed bolszewikami uciekali sami bogaci ludzie. Nie dała sobie wytłumaczyć, że tam hulają Niemcy. Czarny, słodki dzióbek... A teraz? Widzieliście panowie: pysk od starego czajnika. Czarownica, tortury. Bóg mnie skara! A czuję, że nareszcie dorastam do naprawdę męskich spraw, w rzeczywistości zaś dorosłem do klęski.

Nie uprzedzamy jednak faktów. Dziewczyny poprowadziły nas do lokalu ustronnego, bez huku muzyki i torsji. Ulice puste i ciemne. Głód obezwładniał. Zdawało się, że całe życie, wszystka krew spłynęła do nocnych spelunek. Znaleźliśmy się w pośrednim miejscu. Trzy dziewczyny, trzech mężczyzn. Dwa pokoje z dywanami i obrazami, nocne lampki, podmuch wiosny,

220

nie zimy. Po chwili dziewczyny były przebrane, zjawilo się wino. Ale jak były ubrane! Tu już nie miało się do czynienia z bezimienną masą mięsną, ciała miały twarze. Ta moja była najdorodniejsza. Suknie rozcięte do pasa i od pasa w dół, nogi...-no cóż, wytworne, gdy prezentowały się w jedwabnych pończoszkach. Ta moja czarnulka wkładała jednak ręce między nogi. Nadaremnie ją namawiały... A ona jeszcze głębiej pchała te dłonie i szczebiotała niewinnie: „To dla ochłody”. Taki chaos, takie bezprawie... gdy patrzę z oddali — a ja myślałem, że to niewinność. Mojej siniorinie było za rozpustnie i zbyt tłumnie nawet w tym skrajnym odludziu, wyciszonym i półciemnym jak przed wschodem słońca. Niestety we mnie już grały ambicje, jakbym znalazł przeszkodę hamującą podróż w przyszłość. No i zaprowadziła mnie do swojej mamy. Roztkliwia-jące. Ja mojej mamy prawie nie pamiętam, może dlatego bawiłem się w dobrego synka u bratowej na wsi. Początkowo nie chciałem. „Czemu nie wchodzisz? Może się boisz, że tu kościół i ktoś chodzi z tacą? Ale ty się nie powinienes bać, bo hrabia nie cierpi na brak dolarów”. „Hrabia, co psy obrabia — mruknąłem do siebie. — Ty nie wiesz, kochanie, że ja żyłem oszczędnie, jakbym składał na powrót do ojcowizny”. Ale czego się miałem bać? Ciemnej bramy, ciemnych schodów? Wszedłem w ciemną paszczę. I to już była miłość, to był początek mojej ruiny. Zapłata za ruiny, jakie wyrządzali dziewczynom moi koledzy i inne andrusy. „Jestem w ciąży”, płakała. „Z kim?” „Z tobą”. „No to co?” Zabierali się i szli sobie precz. Czasem oberwali ode mnie — lewy prosty w szczękę — ale widocznie to nie stanowiło wystarczającego świadectwa oburzenia, bo przyszło płacić z nawiązką. Przepraszam za jakies takie chrześcijańskie rozważania, ale chcę tylko uzmysłować wam ogrom nieszczęścia, jakie mnie spotkało, dla któ-

222

rego nie widzę przyczyny... Mogłaby być jeszcze jedna przyczyna: zdrada romantycznych wyobrażeń, zdrada w postaci dojrzewającej miłości do kobiety. Już rozpoczynał się odwet. W przybytku rodzinnym siniorina znów całowała mnie z bałwochwalczą pokorą. I dłonie już zostawiała przy kolanach. Ciągle była niewinna w moich oczach. Piersi jak różki Dawidowe. Czytało się coś niecoś. W kuchni pod obrazami siedziała matka sinioriny zasuszona, roztargniona, słyszeliśmy jej westchnienia pełne rezygnacji, jakby w odpowiedzi na nasze rozkosze. Ale to były westchnienia podobnie nienormalne, jak obronne gesty córeczki. Ciągle widziałem jeszcze stożki z okresu dojrzewania, rozkwitające w moich dłoniach, widziałem i czułem tylko złocisty miód, i wlałem... zda się z kopytami... jak w dionizyjskich wierszach. Startowałem, osiągnąłem cel niegodny mojego przeznaczenia. Mściłem się za to brutalnością kozła? Jednak chyba można zapisać na plus odwrót miłosny, który się we mnie podświadomie dokonywał. Znów wolałem przesiadywać nad morzem, zlizywać z warg sól morską, nie miód... I jakby mi los tym razem sprzyjał, bo któreś nocy angielscy żandarmi wojskowi otworzyli kopniakami drzwi do mieszkania kochanki, chyba ktoś mnie wydał. Nie bronilem się, nie bardzo protestowałem, że jestem dezertorem, choć to przecież mijało się z prawdą. Z latarką i automatem przy głowie pomaszerowałem w nocy do jeepa. Siniorina wiała się w krzykach rozpacz, zareczyła, że Bóg nas jednak połączy, a ja kiwałem głową. Poniosłem konsekwencje.

Dezertarów polskich, nawet w cudzysłowie, w ten czas posyłano do obozu szkoleniowego w San Basilio koło Tarentu. Ćwiczyli nas różnie. I ani mowy o okręcie. Nie tylko za karę. Nie było miejsca. Kroila się piechota. Najgorzej przedstawiały się jednak noce. Szła wiosna, miauczały koty. Powracały głupie tęsknoty. Przykładałem policzki do deski, która się rozgrzewała moim własnym tyłkiem. Zagarnąłbym byle babę, byle dziwkę z ulicy, niekoniecznie jedwab i miód ciała si~nioriny. Ale ona wiedziała, gdzie jestem, i wiedziała, że takim jak ja tylko przez miesiąc nie wolno wychodzić z koszar. W trzydziestym pierwszym dniu wypadła niedziela i moja siniorina przyfrunęła z Neapolu i już czekała u bram koszar. Aż wstyd powiedzieć, jak mnie ścisłała i marniała. Wstyd odczuwałem także przed kolegami. Oni wydawali mi się ciągle

normalni, bo miłość u marynarza uważali za łajdactwo. Ale nie było rady. Marcowym przedpołudniem pojechaliśmy do Bari. Niedaleko. Trochę spaceru, kilka drinków. Potem spacer w parku koło fontanny. Każdy z nas miał swoją dziewczynę. Jaki piękny księżyc! Manuelo, znasz poezję Puszkina o miłości? — Znow uderzył palcem w wargi. — Znam. No to kładź się. W tę porę napatoczyli się... ni mniej, ni więcej, tylko oficerowie sowieccy. Z uniformów nie poznałbym, skądże! Ale mowa, bliska. Wojskowa misja sowiecka zakotwiczyła się z końcem czterdziestego trzeciego roku właśnie w Bari. Byłoby wszystko w porządku, gdyby jeden z nich nie umiał dość dobrze po polsku. Na nasze głosy odezwał się. Akurat mnie spytał, skąd pochodzę. Fontanna płomienia się w odbłasku czerwonego księżyca. Ni w pięć, ni w dziewięć moja siniorina zaszczebiotała, że ja nie jestem standartowy, ja jestem hrabia. Sowiet przysunął się do mnie, patrzył z ciekawością, twarz miał szerniałą, bojową, a oczy bezstronne. „Nie wygląda — powiedział. — Ale i tak stare czasy dla Polski minęły”. „Przecież tam jeszcze Niemcy”. On na to z pryncypialnością politruka: „Ale będzie wyzwolona, lada dzień”. Mówił o tym kategorycznie, ale niedbałym tonem. Nie silił się. Dlatego przyjemnie się słuchało. Nawet powiedziałbym, że jakaś otucha wstępowała w moje serce. On w ogóle nie dopuszczał możliwości, że ktoś inny zadecyduje o wyzwoleniu Polski oprócz nich, Ruskich. „Lada dzień zostanie wyzwolona.” Nikogo się nie bał, czuł się w prawie. To także imponowało. Inni oficerowie wyrażali się powściągliwie, ale pewnie. Jeden zaś z tych czterech zachowywał się jak szczygiełek. Wesolutki. Zerkał na nasze dziewczyny, na jedną, na drugą. Moją specjalnie adorował. Ale siniorina zwracała uwagę tylko na mnie. Ona już wyczuwała, że ja się kumam z oficerami. Zebrało się jej na tulenie. Jakby w obronie, że mnie straci. Wtedy szczygiełek zażartował. Co, nie można was rozdzielić? Spróbował rozdzielić. Siniorina oderwała się i zrobiła coś, co robią tylko szaleńcy lub prowokatorzy. Ja wtedy wierzyłem w iszaleństwo, Józek Szatański twierdził, że szatanowi zdarzają się szaleństwa. A więc i on akceptował w połowie to, co się stało. Moja siniorina pobiegła na drugą stronę czaszy z migocącą wodą i w mig rozebrała się. Szast prast, jakby płonęła. Chyba nawet częściowo po drodze, bo szybko pokazała się nam całkiem naga. Za zasłoną kropinek wirującej wody. Ale widziało się dokładnie, jak wyciągała ręce, w księżycu ciało lśniło, zachęcało. Trochę przypominała Senegalkę. Co wyrażała? Zachłanną czułość, rozpacz? Nie zastanawiałem się, siniorina dostarczała mi wtedy tylko zabawy. Miłość już wypompowałem, starczyło na to czasu od południa. I nic by nie było, gdyby nie pochyliła się nad wodą (zresztą najwyżej po pępek przy zanurzeniu) i nie krzyknęła: „Ratunku, ratunku!” I jeszcze raz: „Ratunku!” Głos się rozległ daleko, wyciągnięte ręce wskazywały na sowietów. Ci zaś ruszyli z kopyta ratować kobietę... tonącą, ale w szaleństwie. Na przedzie szczygiełek, za nim bojowy wiarus. Dwie inne sinioriny popiskiwały i zasłaniały obłudnie oczy. Trwały w miejscu, notliwe, ale w łokciu. Mówi się tak jeszcze na wsi,

224

— Dziewczyny i chłopcy

225

f

proszę pana? Sami sobie zawinili tą gotowością... Już wyciągali ramiona. A właściwie nie winiłbym ani Ruskich, ani nas, byliśmy podchmieleni i szarmanccy, z tego zapalność. Ona była winna bez reszty. Podbeehtała, wzięła nas pod włos, krzycząc: „Polacy, bolszewików się boicie? Marcin ratuj!” Uderzyła mi krew do głowy niczym ogierowi i postąpiłem zupełnie po wiejsku. Tego imponującego oficera, który umiał po polsku, popchnąłem ja do wody, a dwaj moi kumple od razu trzech pozostałych. Ulegli, bo nie spodziewali się na~ paści. Większa hańba niż szkoda. We wsi wepchnęliśmy raz do gnojówki jednego gulona z osady, który się zapuszczał do naszych dziewcząt. W nowym ubraniu. Tu chodziło jednak o hańbę. Ruscy wyciągnęli rewolwery, i zanim wygramolili się na cembrowany brzeg, cztery -i,, ,,,,,,ictr7p: Bylibyśmy trupami, gdyby swoje jjuau,..... ..,

trze i koniec na tym. Ciszą się znów ov,^, „... .. prysnęliśmy. Rejon parku omiotły reflektory, zawróciły nad gmach uwieńczony flagami alianckimi i sowiecką czerwienią. Siniorina uwiesiła się mojego ramienia, na-guśka biegła jak ta... w „Zmorach”. Pod drugim ramie-fatałaszk. Uszliśmy. Ona, chociaż uszczęśliwio-• --i,, „^ ^Drn S^R skuma} z bolsze-

ze!

wikami. Będzie miaia. wiu.^ .-----^ „

uratowała moją duszę. "TMr"^\n znów w szal. ty... wierzysz, że będzie ci guz,ic \*\*.L—., -ja o czymś głębszym myślałem, rozmawiając tak jaźnie z tym topornym oficerem? Coś we mnie c "o, to prawda. Przyczyna tkwiła w oddaleniu od Chłopska T----u" "warh się we

wy za nami. Misja sowiecka upominała się o honor swoich oficerów. Z incydentu zrobiono normalny napad o politycznym, antyradzieckim smaku. Co ja byłem winien, że oni nie czuli do siebie miłości? Żandarmeria brytyjska rychło wpadła na trop, od nitki do kłębka. Droga prowadziła do naszych koszar. Nie wiadomo, jak znaleźli się nawet w posiadaniu naszych nazwisk. Dowództwo obozu szkoleniowego zataiło. Owszem, tacy byli, ale takich już nie ma. Właśnie w ową feralną niedzielę byli po raz ostatni w obozie. Wyszli i już nie przyszedli. Żandarmi nie bardzo wierzyli, misja sowiecka widocznie nalegała. Dowództwo nie mogło nas dłużej trzymać w ukryciu, z rejestrów zostaliśmy wykreśleni i figurowaliśmy jako poszukiwani dezertery. W końcu odebrano nam dowody i wydano nowe na fikcyjne nazwiska. Odtąd miałem się nazywać Kapusta.

Poczęstowano nazwiskiem jak namiastką kary. Jestem pewny, że gdybyśmy tak Amerykanów umoczyli, to by nas nie ukrywano. Karano za to, żeśmy nabawili władzy kłopotów. Marcin Kapusta. Imię zostawili, dobre i tyle. Poza tym kazano zapomnieć o jakiejś innej formacji niż piechota. Czym prędzej wyekspediowano na północ. Ósma dywizja piechoty. Wtedy waliły środkiem półwyspu brygady pancerne. Ale my piechota... Całość ciągle pod marszałkiem Alexandrem, VIII brytyjska i V amerykańska armia.

Wśród naszych jednostek ciągle szukano Marcina Ga-, Józefa Szatańskiego i Kazika Babera.

Przymyka-

Ino oczy i szukano. Wtedy nauczyłem się na serio my-

pleć o tych oficerach sowieckich z Bari. ~

wąpominać. Co t© za wiosna co opaczność... Parzyła nawet chorina

ciągle płomienia!©. Księ- | niłbym się do porzucenia

może... Ale w atmo-

nie

Ha. Pilnowała, ^

chwilą tego me za

taka markietanka. Oprócz uął»g

choć ani dla mnie wygodna, dawała moc in-:o dzięki tym

: ulzyj

zamknięta. Albo ^emfen^ta P Korpus rozformowano w marcu c k Od zakorkzema wW^teg

i

to być

Korpus roz roku. Od zakorkzema rina zdążyła dobrzej tury, wejść w machlojta w iaJazedł handel,

z N stko z myślą o przyszłość ,

d0 trzeciej -i^-2" i w totrygantką. WszystKo za

intenden.

mi... Wiecie?

Robiła wszy]

\_m6wiła - i rozwin i

te hytem

musz

„ stała się panią. ^aSem trze\* łem ją w mordę. Ciekła krew u->ta \

iem smak nawet do klótni wniało - -

^j^r^^^Sr^St:

obrazem mojej wsi rodzinnej M m' ^ •\* ^ wartym na masztach. Ale c~ ~ aC °'

przeciwko tej babie. Lepsze

"" u niej. Dlatego zelzałem w BtOiSunku rZądu war. '• Och, jak bardzo wolałby TM.u.,>i los

józka

nie  
potężnych desan-w - — ^ k decyduj sam  
nieni od decyzji. A potem ] nie ^  
Mnie odebrano prawo do decyzj  
228

|lę h  
? Róż-  
? Oczy mam otwarte, \_ ru CQ ^  
\_ uezczęśda. gmierć ,--.....  
|, natomiast moja śmierć przybawia mi bo\_  
229

leśnej pamięci. Nie, nie powrócą. Historia niech mnie tu dokończy, nie tam. Nikt mi nie przebaczy i ja nie mam nic nikomu do przebaczenia. Baba wykopała już dla mnie jamę na cmentarzu.

Słyszeliście przecież.

Dał nam orzech do zgryzienia ten Marcin Gas vel Kapusta. Nie mieliśmy czasu obserwować krajobrazu za szybami samochodu, bo patrzenie na człowieka, od| wewnątrz, było ważniejsze. Kto wie, czy każdy^ z nas nie mówił: Ślepcy, patrzyliście na siebie i nic nie widzieliście, dopiero teraz, być może, sięgacie także dc swoich gruzów.

Tylko koło Cassino, gdyśmy popatrzyli zza zakrętuJ ponad dachami domów miasteczka, na czarnozieloną plamę lasu przykrywającego cieniami cmentarz — na I moment zapadła cisza w samochodzie. Na krótki moment Marcin odskoczył od tematu swojej piekielnej baby i wyszeptał z gniewnym smutkiem w głosie: — Boże, dwadzieścia lat temu... Co tak cicho, panowie? Po bit- , I wie też tak było. Jak na morzu po sztormie. Żadnego żagla. Żaden ptak nie zaśpiewał. Od tej pory, zdaje ni; się, nigdy już nie słyszałem ptaka. Śniły mi się tylkc albatrosy. — Przyłożył dłoń do czoła, zdawało się, jakby białe albatrosy, szlachetne, oficerskie ptaki mórż zatoczyły łuk nad jego życiem, oto znalazły się ns głównym punktem cierpień Marcina. Więc dodał bardzę filozoficznie i poetycznie: — Z kobietą jest tak jak z mc rzem. (Przemyślałem to.) Na początku jesteś pewny, że obejmiesz całe morze, kobietę też... zdobywszy pierw szy pocałunek. A potem, kiedy uda ci się dotrzeć już d< samego środka, to znaczy, gdy wjechałeś od brzegu n szerokie wody, to rychło się zorientujesz, że sprawa ni

230

ma początku ani końca. Początku też, bo nie robisz po raz pierwszy tego,, co robisz, i nie ty pierwszy robisz. Ciągniesz, bracie, łańcuch.

W ogóle Marcin mówił bardzo emocjonalnie. Irytował się bez przerwy. Więcej na siebie njż na babę i świat. Ogarnął go śmiertelny smutek po katastrofie, namiętnie milczał o tym przy babie, tak się wyraził, natomiast uciekłszy z chałupy, zaczął analizować. Wytwarzał się w nim ruch. Żelaznym ostrzem wspomnień odgrzebywał ranę, otworzył ją. Będzie jątrzył do końca. Boże, niech nie doprowadzi do gangreny. Żył nienormalnie. Odkąd zdało mu się, że dorósł przy dziewczynie.

Pchnął go ku niej wypalony żar wewnętrzny, przedtem wyładowujący się na morzu. Nie żadna miłość. Matka sinioriny siedziała pod obrazami w kuchni, nie wierzyła w hrabiowskie perspektywy życia młodych, zażądała legalizacji związku i dopiero wtedy zezwoliła na łóżko. Sprawił siniorinie welon ślubny, codziennie przed spaniem ubierała się w ten welon, bo matka zapominała, że wzięli ślub w kościele. Wszystko to potrafiłem sobie wytłumaczyć. Nawet upokorzenie sinioriny, która nie wiedziała, co oznacza dla Polaka ciosanie historii z nieużytego kamienia. W odwecie za upokorzenie, za niewolnictwo, chciała kochanka nie tylko całkowicie posiadać, ale jeszcze ukształtować na podobieństwo właśnie niewolniczych swoich marzeń. Tu jej się nie powiodło.

Marcin próbował patrzeć w pełni blasku przez góry na morze. Oboje dogorywali w rozbiciu, chociaż baba udawała diabła. Każde z nich miało swoje racje. Ale w czarownicy z rękami na obfitej piersi, miotającej się na progu zaklętej chałupy, nie potrafiłem widzieć dziewczyny wciętej w tali, z piersiątkami z „Pieśni nad pieśniami" i upadającej w pokornej miłości. Widocznie czarowała. Już dłuższą chwilę pędziliśmy autostradą. Słońce rzu-

231

cało się wprost na maskę samochodu. Droga stała otworem, pusta, ponieważ o tej porze Włosi siedzą w domu i jedzą makaron lub robią to samo nad rowami przy limuzynach, a potem śpią przez godzinę. Tak więc wokół unosił się nastrój leniwego wypoczynku.

— Sinioirinie coś tam obiecywał pan — powiedziałem.

— Przecież nie ukrywam — zachnął się. — Miałem być gubernatorem.

— Dlaczego gubernatorem? W Polsce nigdy nie było gubernatorów.

— Inaczej nie rozumiała.

— I dlatego teraz gniecie.

— Z góry przyzwoliłem. Teraz już przywykłem. — Przesunął dłonią po portkach w dół i dodał gniewnie:

— Niczym jej tego nie zastąpię. Nie chciałbym. Jeszcze j bardziej zdradziłbym siebie.

— Jedziemy na Neapol — oznajmiłem, żeby wreszcie cie Marcin mógł wypocząć i zapomnieć na chwilę o wy-j rzutach sumienia.

Marcin spojrział na mnie ukradkiem, w końcu spy-j tał: — Przez Neapol, myślicie, można wrócić do kraju?'

— Można — potwierdziłem.

— Bez dorady wiem — powiedział znów gniewnie.]

— Można wrócić, ale janie wrócę.

— Nie wróci pan — stwierdziłem z premedytacją! Potakiwałem i ta zgodliwość rozzłościła Marcina na do-j bre. Nie wyczuł fałszywości, ni rezygnacji, tylko przy-zwolenie.

— Przysięgła na swoją dupę — wysyczał — że nie pojedę. I nie pojechałem. Jak ona potrafiła wciągać w bebechy! Zapomniałem, zdradzałem wszystko.

— Na co poprzysięgła? — spytałem gwoli rozgrze-i szenia Marcina i omal się nie uśmiechnąłem. Przecież to połamane chłopisko, uwalniające się, choćby częś-j

232

ciowo, od winy, podświadomie dąży do wolności. — Na dupę poprzysięgła? Nie słyszałem o takiej formie.

— Miała tę formę jak na zamówienie. — Machnął ręką, przycisnął dłoń do serca, niech przestanie pompować truciznę przeszłości, patrzył przez szyby na uspokajającą terazniejszość drzew za siatką przy autostradzie, na kwiczoły chybotące się w winogronach. Uwierzyłbym, że Marcin nie drży, gdybym wierzył jednocześnie w bezpieczeństwo worka z dynamitem. Ale poza tym udawaliśmy wszyscy, byle pozbyć się ciężaru, byle dobić do Neapolu.

— Chyba nie zdążymy wrócić do Rzymu. Zanocujemy — uprzedziłem.

— W Neapolu dużo okrętów? — zagadnął Marcin, wtedy, gdy na horyzoncie ponad drzewami zamajaczyły wieże kościołów i zamków, a dalej pasmo górskie Vo-mero. — Port się rozbudował? A Gdynia jak?

'233

Dziewczyna z Museum del Prado

i

W połowie listopada — pod rozsiąpionym niebem madryckim... Aż strach tak powiedzieć o niebie malarzy. Będę tu tylko przejazdem. Po cóż zmieniać kraj, skoro aura taka sama? Tam daleko na północnym; wschodzie koguty dopiero przepiały ranek, z pól suną przasne zapachy, koło chałup miesi się błoto, z ty" błotem zszczepia się mgła.

Ziąb stłamsił wzruszenia. Chwała na wysokości zai to, że na obcym bruku — ślizłym i mało znanym — nie upadam przed ojczystymi roztopami. Złościłem się na siebie.

Na szczęście pojedę dalej.

I jeszcze złościłem się z zupełnie innego powodu, cie-f leśnego powodu, Na obszernym dziedzińcu przed mo-j numentalnym i rozłożystym gmachem Museum delj Prado, ciężko wstępującym w ziemię — zdawałoby się, j coraz głębiej i głębiej — dreptaliśmy tylko w dwójkę;! — oboje isobie nieznani. Kamienna pustynia. Samochody tłoczące się ©bok na ulicy, przy krawężniku, nie mogły tu wjechać, ponieważ parking był zastrzeżony dte zwiedzających muzeum. Przemówiłem d©

dziewczynj

234

w przepisowo krótkim paletku i kapturku na głowie, spod którego wyczierała śniadawa twarzyczka o regularnych rysach, wyszczypana przez wiatr. Nad czarne, nieco skośnie wykrojone oczy sfruwały granatowe frędzelki.

Chciałem ironicznie, wyszło inaczej:

— Madrid es una ciudad muy bella, verdad? Madryt jest prześlicznym miastem, prawda?

Zahamowała w miejscu, na moją zaczepkę odpowiedziała zbyt wdzięcznie, na domiar złego — poufale.

— Si, Madrid, es una ciudad muy bella. Les pala-cios! Pałace! Ależ ci hrabiowie rozkoszowali się! Jeszcze nie oglądałam Museum del Prado. Ty także nie oglądałeś?

—\*- Nie widziałem... ale coś za bardzo opóźniają się z otwarciem. Nie mam siły czekać. Pójdę... —

Zląkłem się, że liczy na moje towarzystwo. Od kilku lat, czyli od czasu, w którym zaczęło mną rządzić wyrachowanie, w zasadzie nie próbowałem rozmawiać z kobietą, jeśli nie interesowała mnie jako kobieta. Kiedy mówiła, mało zwracałem uwagi na jej słowa, interesował mnie wykrój ust. Ona o swoich uciążliwych podróżach — jaka się czuje umęczona — ja zerkałem na jej nogi... Ona o odkrywaniu niezapomnianych widoków w świetle — ja w jej oczy — tygrysie, kocie, jaszczurcze, egipskie, greckie, czuwaskie, i miodne, piwne, bławatkowo-oj-czyste. Co mnie upoważniało tym razem do czczego gadulstwa? Jaka przygoda? Rachunek czasu nie pozwalał na nic więcej niż galop przez Muzeum i odjazd w daleki świat.

— Do widzenia.

— Ja także nie będę czekała — oświadczyła, marszcząc brwi, i dopiero teraz rozwinęła nad sobą parasolkę, gestem podkreślającym odwrót i powrót; gnę-

L35

wnie kroczyła w stronę taksówek. Nogi giętko unosiły się na giętkich obcasach. Jakby mnie za coś winiła.

Co robiłem przez cztery godziny, zanim znalazłem się na dworcu lotniska? Kłaniało mi się tysiące ciągle kwitnących oleandrów i mimoz, młode drzewka szły giętkim krokiem — dokąd? rany, rany, dokąd? Do nikąd. Bo ja nie chciałem gdziekolwiek. Kiedy fermentują soki, dla drzewa nie wstaje słońce ani nie zachodzi. Zdążyłem tylko wstąpić do kawiarni, wypić wino na stojąco i zauważyć, że przygląda mi się, gryząc suchy obwarzanek, księżulo w sutannie sfatygowanej i strasznie rozwlekłej oraz w kapeluszu takim, jaki moja mama podrzucała kurom do znoszenia jaj. Nie byłem ubrany zbyt wykwintnie, krawat zgubiłem, tu robotnicy szeroko odsłaniają piersi, pomyślałem, że mój anioł stróż kaptu-je mnie do reportażu w nielegalnych komisjach robotniczych, które są szkołą współpracy katolików i komunistów, dużo słyszałem; ale i prowokacja ma różne przynęty, nie ma głupich; zagłębiłem się w czytaniu wiadomości w „El Mundo”. Na rozległej płachcie moje oczy utkwily na notatce bardzo lapidarnie obrazującej spotkanie starych faszystów w rocznicę śmierci Primo de Rivery, założyciela ich „Falangi”. Szli, nieliczni, jak wywnioskowałem, śpiewając swoje pieśni. „Do incydentów nie doszło.” Hm, hm. Tkwilem i tkwilem na tym zadrukowanym kwadraciku aż wreszcie pofolgowały fermenty we mnie, rozluźniło się i zrozumiałem, to znaczy przypomniałem sobie: na wiosnę policja puściła w ruch pałki na starych wiarusów, którzy chcieli zbyt manifestacyjnie i publicznie świętować rocznicę założenia „Falangi”. Czasy się zmieniają... czasy się zmieniają...

Zniknęło gdzieś księżę kuszenie... O czym ja myślałem przez te cztery godziny? Przepłynął deszcz, przyplłynęły szybkie obłoki, stały się leniwe, na mokrym

asfalcie zapadły się odbicia, zniknęło odbicie dziewczyny w kapturku z frędzelkami nad kubańskimi oczyslsa-mi — obdarzonej prężnymi nogami na giętkich obcasach.

Na lotnisku nazwanym transkontynentalnym — już słońce! Smażą się białe skrzydła samolotów. W rozległych hallach mrowisko różnojęzyczne. Wystarczająca ilość Latynosów i Afrykańczyków. Dzieci z czarnymi kręconymi włoskami wdzięczyły się, jakby szukały fotografów. Nadsluchiwałem sygnału do wyjścia ze szklanego pomieszczenia i do odlotu. Żeby mnie coś nie przy-capiło. Moje oczy zachwyciły się widokiem stewardes w czerwonych pelerynkach. Wychynęły z głębi

zapatrzenia na normalne igranie. Z jakiej racji te czerwone pelerynki? Wtedy, przerywając się przez skłębione grona ludzkie, potrafiła mnie ta spod Muzeum — na giętkich obcasach. Jeszcze nie wiedziałem, że to ona, ale widocznie już stała się wyczuwalna, skoro nie szydziłem: gdzie masz oczy — nie w głowie? Przeciwnie, obserwowałem chód dziewczyny, ruchy bioder — była tylko w zakieciku stewardesy, dobrze przypasowanym. Nawet się nie odwróciła, nie zobaczyłem jej twarzy. Dopiero teraz napadło mnie olśnienie. Jednak odczucie było o wiele cięższe. Słyszałem bicie serca tak głośne, drażniące, że zupełnie skutecznie wtórowało wszystkim odgłosom w hallach, rejwachowi i grzmotowi silników na zewnątrz, a nawet chwilami górowało. Próbowalem się ratować, byle jak...

— Can I help you? — Czy mogę pani w czymś pomóc? — spytałem kształtnej pani w średnim wieku dźwigającej dwie walizki. Zaprzeczyła energicznie głową. Osłabiony poszukałem miejsca na szerokiej, wyginanej ławie ze średniowiecznym oparciem. Miałem wypocząć, dowoli zatrudniając się i planowo gubiąc się w rozbełtanym wirowisku ludzkim, Dispeczer karta-

236

237

czowymi informacjami a zegar wskazówką ciągle omijali Hawanę, ku której się kierowałem. Dlaczego tyle baskijskich beretów? Uciekają przed falangistowskimi łapaczami? Niebawem proces przeciw grupie narodowych rewolucjonistów Euzkadi. Ale przewieźli ich do Burgos. Łaknałem potępiających odruchów w sobie. Chwyciło na moment. Przeszkadzały oczyska pięknego faktu ludzkiego. Jeszcze nawinęła się jedna taka ubrana czarno i z czerwonymi wypustkami, niby torreador, tylko że w obcisłych butach z żółtego tworzywa i wysmarowana farbami jak nieboskie stworzenie. Przy niej drugi potwór, w portkach niby balony, w których telepało się sto dwadzieścia kilo, wyfio-kowana na niebiesko od brwi po długachne pazury, w lewej dłoni szpicruta z niebieskim kutasikiem z główką pod serdecznym palcem. Poznać po słowach, że Amerykanka, zaharowała męża na śmierć i teraz przyjechała wydawać dolary pod słońcem. Zapamiętałem się w poczwarności niewyzycia niewieściego, tego było mi trzeba — przykryć uniesienia. Lecz oto przez maleńką szczelinę wcisnęło się wspomnienie, którego w ogóle nie mogło być. Uśmiechnąłem się pobłaźliwie, lekko, lecz wyszło chyba mocno, że zaczerwieniłem się z daleka, przez mgłę. Widziała? Kogo? Usiłowała się także uśmiechnąć, lecz sprzeciwiłem się... Nie, nie zakocham się! Myśli jak strzały runęły na biedniutko ubraną kobietę w średnim wieku, której trzymała się za fałd sukni jeszcze biednej ubrana dziewczynka. Córeczka? Mama dzierżyła w rękę niedużą wytartą walizkę, a w drugiej bilet „Iberii”. Na pewno jadą odwiedzić męża i tatę we Francji lub w NRF, albowiem z pięknej ojczyzny wyгнаło go brzydkie bezrobocie. Będę miał temat do reportażu opartego na kontrastach. Hiszpański Balcer u bauera lub w grubie... Tysiące czytelników w Polsce będzie się czuło uratowanych od złego losu. Odpreży-

łem się narodo-wo, nerwy już już ułożyłyby się do wypoczynku, gdyby jedno takie czarne diable nie krzyknęło — Habana, Habana... Tłum w rozległej recepcji roztrajkotał się, natomiast zegar na ścianie milczał w sprawie Hawany, wiadomo było, że coś dokręcano w samolocie „Cubana”, dispeczer oniemiał złośliwie, na wet napastowany milczał, i wtedy rozwarła się dla mnie istna przepaść bez ratunku, albowiem wśród zgiełku wytrysnął głos dziewczyny spod Museum del Prado, jakby znany od lat, nawoływał do spokoju, „Cubana” jeszcze nie poleci, rozległo się zgodne wołanie — a kiedy? — odpowiadało miękkie dzwonienie głosu dziewczyny, dla mnie przeznaczone, albowiem tłum nie reagował, brzegi skłębionych żywołów rwały się niewdzięcznie, i tylko ja czułem wdzięczność, zanurzając się w miękkie dzwonienie. Wsiąknąłem. Wielkie i różowe zasłony tamowały wejście do restauracji, mógłbym się napić piwa lub aperitif. Byłem poświęcony miejscu, do którego płynęło srebrne dzwonienie... Kiedy, kiedy? Tłum jak nakręcony mrugał mokrymi od złości powiekami. Machał bez przerwy rękami. Kiedy? Kiedy? Idioci. Przecież nie o to chodzi! Upominał się o siebie stary dobrowolny wyrok głoszący, że nie wolno mi się zakochać i zaczynałem mu nie wierzyć. Albowiem widziałem już nie tylko oczy dziewczęce, ale całość obnażoną i uosobioną w moim zachwycie, jak podpełza na dwóch łapkach.

było przejrzyste. Tym bardziej budziłem niepokój, że usiadłem na przejściu z trapu, chociaż dalej dość było wygodnych miejsc w obie strony. Jakbym nie miał siły zrobić kilka kroków na prawo czy lewo. A może wyczerpałem się? Cztery

238

239

stewardesy równie pieczołowicie nalewały w kieliszki koniak, gdy tylko samolot osiągnął przepisową wysokość, i nieumówione skierowały się do mnie. Cztery spieszyły jakby na ratunek. Odmówiłem. Została TA. Ale momentalnie przegnał ją władcym spojrzeniem kierownik pojazdu w białej koszuli i czarnym krawacie spiętym dużą broszką. Wszystkie musiały ubrać liliowe fartuszki. Sposobiły się do podawania obiadu. Zawonia-ło mięsem z zebu. I tym razem odmówiłem. Dlaczego denerwowałem się?

W przejściu przy lodówce i zmywaku dyrygował kierownik, przystojny i dobrze zbudowany, ze spój rzeniem doświadczonego mężczyzny. Kawał chłopca. Wypełniał tylko swoje obowiązki, czujnie wskazywał cele dziewczętom. Rzeczowy. Ale prześmiech rozdymał mu nozdrza.

Samoapel do rozsądku nie skutkowało, ośmieszyłem się, ponieważ zacząłem krzyczeć wewnątrz siebie, wtedy przysiadł się do mnie ksiądz, autentyczny. Zwiędły, dobroduszny, łysy i z kosmyczkiem nad czołem. On mnie udobruchał, nie tylko dzięki podobieństwu do owego szperacza z kawiarni madryckiej. Po prostu ubawiła mnie łatwizna, z jaką księża pragną zbawiać i nawracać lub tylko pocieszać strapione dusze ludzkie. Jakby udawało im się jednym gestem podnieść zasłonę tajemnic i szyfrów, których człowiek przez całe życie nie jest zdolny rozwikłać. Zadufki... ponieważ całe pokolenia biedoty ludzkiej powierzały wszystkie bóle i nadzieje poświęcanym głowom. Oto chrząknął... i — Segun su opinion... Jaki człowiek jest brzydki? ! — O prawdę chodzi czy o konwersację?

— O konwersację.

— Brzydki jest człowiek z zadartym nosem. Con na-vis roma...

— Nie. Brzydki jest człowiek smutny.

— Dlaczego?

— Bo widocznie niczego nie kocha. Nic mu nie rozjaśnia przyszłości.

— Nie trafił ksiądz...

— Naprawdę nie?

— Ja przecież udaję.

— Dlaczego?

— Miałem być księdzem.

— Dlatego smutek?

— No pewnie! Moja miłość miała być inna, nie z tego świata... Tak uczycie? Od tej pory wszystko popsuło się.

Za okienkami ginęło słońce. Przy zmywaku dziewczyna spod Museum del Prado studziła mleko dla jakiegoś niemowlęcia w głębi samolotu i dziwnie się uśmiechała. Kierownik pojazdu nacisnął guzik przy drzwiach i w głębi nad kabiną pilotów ukazał się sztuczny firmament niebieski, a wśród igielek gwiazd — czerwone napisy wyjaśniające nasze położenie nad Atlantykiem. Potem zjawił się fragment olbrzymiego wodnego basenu i czerwona chorągiewka. Zbliżaliśmy się do Shannon w Irlandii. Może za dziesięć minut będzie lądowanie. Nagle ksiądz spytał z nie udawanym współczuciem:

— Pan ma żonę?

— Niech będzie tak.

— Zdradza pana? Przepraszam...

— Nie wiem... Ale to nie ma znaczenia.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

W tym momencie dziewczyna zaczęła się zwierzać szefowi ze swoich marzeń, półgłosem, ale zupełnie do-słyszalnie. Przysunął się do niej łokciem, frywolnie. Odepchnęła go lekko i z chłodem

na twarzy. Mówiła dalej o swoim marzeniu. Zatkalem uszy. Od wewnątrz

16 — Dziewczyny i chłopcy

241

— protestem strachu. Jeśli ONA mówi, że jej mężczyzna powinien mieć duże piwne oczy, pełne wargi... Włosy szpakowate... Ręce niewymuskane... Jeśli ona tak mówi... Nie słuchałem. Zwierzała się i charakteryzowała długo. Widocznie zmuszałem ją, nie mogła nad sobą zapanować. Bogowie! Plucha w Shannpn przyjęła mnie niczym rozgrzana ziemia. To znaczy, czułem tylko zdobywanie, a Więc załamałem się doszczętnie. Zostałem rozpoznany. Chuda i rudawa dziewczyna z obsługi lotniska w zielonym kostiumie uśmiechała się wątpiaco wręczając mi talon na podwieczorek, na pewno — wiedziała — mój Spragniony, organizm wymagał innego ukojenia. Złowieszco patrzyła druga dziewczyna, także zielona i ruda, podsuwając prospekt propagujący latem kąpiele w Waterford wśród nieustannej zieleni, zamków i baszt, nie spodziewała się już żadnych niespodzianek z mojej strony. Tym bardziej nie przynęci mnie skansenowe osiedle w parku Bunratty. Dziewczyna spod Museum del Prado, znów w kapturku z frędzelkami nad oczami, przejrzała się w lusterku na tle wystawy damskich kreacji w magazynie wewnątrz dworca portowego; zda się narzucała na siebie różowe, przejrzyste jedwabie i muśliny, zaraz jednym machnięciem dłoni zrzuciła, młodej ponętnej Kubance nie przystoi ozdabiać się sztu-J cznością — natomiast ze sztuczną obojętnością powie-1 działa w przestrzeń pod wysokim, zimnym sklepieniem:!

— Wszystko to dla czarownic. — Spojrzała na mnie. j Jakby się zreflektowała. — Może następnym razem coś i kupię.

Przytaknałem, spełnię jej życzenie. Zląkłem się, że; zauważy i obrazi się. Ostatecznie mogłaby być moją córką. Słodką córeczką na ojcowskich rękach.

— Czuję, że w Gander nasi lotnicy znów będą repe-

242

rować samolot. Muszę iść przede wszystkim do fryzjera. Jestem rozzochrana, prawda?

— Nie widać.

— Co mężczyzna widzi? !^ A potem co?

W drodze do Gander także nie chciałem jeść mięsa zebu, ani sztokfisz. Przez chwilę podejrzewała, że niedobrze rozumiem po hiszpańsku i zaczęła szczebiotać po ro^ syjsku, nemnożko... pa ruski... spasio... Rosjan dużo na Kubie, porozumiemy się lepiej. — Potrząsnąłem głową, nie o to chodzi. Wobec tego karmiła mnie słonymi mi~ gdałkami i kazała popijać słodkawym sokiem pomarańczowym. Wzdrygałem się — ona cierpliwie wmuszała.

— Pij, pij, u nas coraz więcej pomarańcz. Pojedziesz na Isla de Pinos, na wyspę Sosnową, wyspę Młodzieży — to zobaczysz. Pij, pij. Jedz. Nie lubisz kontrastów? Kontrasty dobre dla fantazji. Jesteś poetą, jak nasz własny Nicolas Guillen. Czuję to. Nawet wiem...

— Wiesz? -™M zakpiłem.

— Wiem.

— Ho ho...

Spódniczkę między udami wparła w poręcz fotelika tuż pod moimi oczami, poeta obwiódł piórem kształty, wyśnił lśnienie skóry. Zniknęła wraz z czerwoną chorągiewką w głębi firmamentu nad kabiną pilotów. Odśloniłem firaneczkę na okrągłym okienku, niech się otworzy i wysie. Błękitna gwiazda wabiła. Do przodu, do przodu!

Zaraz lądowaliśmy w Gander, w Nowej Funlandii. W gradowej zamieci. Dziewczyna zniknęła wśród śniegów, potężnych świerków i reniferów. Potem kupiłem taką widokówkę na pamiątkę. Tymczasem zatrzymywała mnie zbyt długo kontrola sanitarna, lekarki badały żółtą książeczkę antyepidemiczną, czekając aż inny urzędnik — barczysty i władczy — skończy oglą-

16\*

243

danie mojego paszportu socjalistycznego. Przy mnie czuwał ksiądz w rozwlekłej sutannie, szeptał modlitwy i zdawał się błogosławić moje męki. W pławiącej się w blaskach sali restauracyjnej jeden punkt był ciemny. Poszedłem tam i usiadłem. Stewardesy i dwaj piloci wybierali potrawy do woli,

zajadali z apetytem, wszak zanosilo się tu na kilkugodzinny postój, natomiast mnie podano tylko czajnik z herbatą. Dwie panie w okularach, zza których wycierało ostre spojrzenie... Wyschnięty przelyk domagał się piwa, ale nie stać mnie było na siedemdziesiąt centów.

Ożywiłem się dopiero, gdy po wielu godzinach przebiliśmy się przez mglistą powalę nad chmury, niebawem samolot dzielnie szybował w kąpieli słonecznej, ale ciągle nad chmurami. Już myślałem co będę robił na ziemi. Stało się widno. Dziewczyna nie próbowała mnie karmić nawet solonymi migdałkami. Patrzyłem osowiały na poręcz fotela... Jakież zostawiła tu ślad? Prawie błagała o uznanie jej statusu. Ona tu będzie tylko uosobieniem mocnych wzlotów i niewinności w stosunku do obcych mężczyzn. Przysunęła się, żeby coś wyjaśnić Niemcowi w syberyjskiej czapie — po rosyjsku. Dostałem prztyczka, ale wreszcie udało mi się uwiezić jej oczy i poprowadzić na rozslonecznioną ziemię w środku błękitnej wody okalającej olbrzymią jaszczurkę — Kubę. Proponowałem? Potrząsnęła głową tak mocno, że aż oblużowała się wstążka ściągająca jej włosy, czarne i podpalone od spodu.

Dopiero przy opuszczeniu samolotu na lotnisku w Hawanie podeszła do mnie stanowczo, aż za stanowczo — prawie wyzywająco, objęła mnie za głowę, po siostrzanemu, i ucałowała w oba policzki.

Nad sobą już miałem świat klujący głowę promieniami słońca, a serce rozterką. Ale światłem męczyła także ONA.

244

Szedłem przez lotnisko w objęcia przyjaciół, którzy czekali pod królewskimi palmami, i wołałem: niech żyje Cuba! — a przegrany facet we mnie wywijał koziołki przed dziewczyną spod Muzeum. Już się nie pozbieram, chociaż przyjaciele i towarzysze nie szczędzili wysiłków — na Kubie, w Meksyku, w Hiszpanii — żeby mnie pocieszyć, a może udobruchać, przecież nie wiedzieli co się ze mną dzieje. Ba, a czy ja wiedziałem co siedzi we mnie? Wplotło się, zaplątało, nie do podważenia, jak śmierć. Czasem wyrwałem się sam z siebie i siadałem, na przykład w fotelu, naprzeciw tego oszołomionego wewnętrznego faceta i badałem co jest... Trwał nieporuszony i na tyle przekonywający, że przesiadałem się na jego miejsce. Jakże mogłem wyglądać!? Wyobraźcie sobie. Już na lotnisku hawańskim — pod żarem słońca — zanim dosięgłem przyjaciół — moja blada twarz tak odcinała się od powszechnej ogorzałości, że bladość słusznie została poczytana za przygnębienie i rozpacz zawinioną przez ludzi. Przeto jeszcze raz przysunął się do mnie ksiądz w rozwlekłej sutannie i zapytał:

— Senor, czy pana naprawdę nie zdradza żona?

— Jaka żona?

— Nie wiem. Może ta w samolocie...

— Ona zamężna?

— Nie wiem.

— Dziękuję.

— Za co?

Machnąłem ręką chyba obraźliwie. Przecież nie wiedziałem za co dziękuję. Może za nadzieję? A ku czemuż dążyłem? Jeśliby dziewczyna była Meksykanką,

245

intencje rysowały się wyraźniej — w Mexico, a jeszcze bardziej w Veracruz i Ooxaca dziewczyny bardzo są podatne na namowy, mięknią i jędrnieją pod ręką, pod pocałunkiem, zgodliwie i entuzjastycznie przystają na wszystko najintymniejsze i rozkoszne — pod jednym małym warunkiem: ale ożeń się. Całuj w srebrny krzyż na piersiach i obiecuj, przysięgaj, jednak to nie wystarczy, poczekaj do jutra, pelżaj do ołtarza, dziś naciesz się po wierzchu, liż cukier przez szybę. Ożeń się... Pewien wigorny profesor krakowski zabawiający się ze śniadą Izabellką w wagonie sypialnym pociągu biegnącego do Acapulco już trzymał jedwabne dessus w rękę — już, już... i zdenerwował się usłyszawszy stanowcze żądanie: ożenisz się zaraz. — ! A figa! — Propozycja była tak nieprzystojna, jak komiczne ruchy na tle naukowych ksiąg pana profesora. Zresztą profesor w każdej sytuacji był zdecydowany i dowcipny. Mnie na egzaminie z prawa karnego dał zegarek w depozyt, a po kwadransie spytał, która godzina, zajrzałem do tego

zegarka — popełniłem przestępstwo. Obląłem. Ale tu jeszcze nie groziło mi oblanie, natomiast książdz w rozwlekłej sutannie rozrzucił jakby taśmę udreki na całą moją podróż — tą jedną uwagą p czekaniu dziewczyny na bohatera. Prostuduszna uwaga — taśma owijała mnie wszędzie, krępowała i ponaglała do powrotu — dokąd? Jedno jest pewne: czułem żarliwy oddech dziewczyny na swoim policzku. Niepostrzeżenie wszystko splotło się z nią, przeszłość i terażniejszość okazały się przyszłością. Uparcie leżałem na wznak, czekałem, chociaż z biegiem dni stawałem się coraz bardziej ruchliwy.

Rzeczywista, o alabastrowej twarzy Izabela Calvados spodobała mi się już wtedy, gdy pełniła rolę tłumaczki w Instituto de Ciencia Animal blisko Hawany. Szczerze podziwiałem wyniki działalności byka-bohatę-

246

Ta; z tym Rosate Siquet Fidel robił sobie zdjęcia, a po śmierci postawił mu mauzoleum i pomnik przy drodze właśnie do Instytutu Zwierzęcego.

Izabela opierała się piersiami o biurko w gabinecie wicedyrektora, tak jakby chciała odwrócić uwagę od dobrodziejstwa sztucznego zapładniania krów. Piersi wydobywały się z różowej, rozdekoltowanej bluzeczki i toczyły się ku mnie, jak rozedrgane kule — jędrne kule z samego mięszsu ciała i krwi. Musiały się zbliżyć, ponieważ same słowa zbliżały się ku mnie.

— Zwierzęta mają dorodne dzieci, ale przyjemności żadnej — zauważyła.

— Z powodu tego szklanego byka?

— Tak się nazywa?

— W Polsce tak.

— Źle się dzieje.

— Boże — westchnąłem solidarnie — żeby tylko nauka nie usamodzielniała kobiet na to podobieństwo.

— Biedne krowy.

— Biedne kobiety.

— To nie od nich zależne — obruszyła się, ale dalej uśmiechała się do mnie, protestowała piersiami, na pewno pragnęła usunąć innych bohaterów. Wicedyrektor — kobieta w lekkim, zielonym mundurze, chuda — jakby nie Kubanka — także się uśmiechała do naszego szczęścia i coraz szcudrzej propagowała zalety powszechnego zapładniania.

Bogiem a prawdą nie rozumiem dlaczego Izabela ma bladą karnację, i jest jakby przywiedła, jednak wszystko nadrabiają piersi, była bardzo dziewczęca, gdy szliśmy ramię przy ramieniu, nie dostrzegałem tego, że trochę odpycha nogami i że nie lubię skóry koloru wosku. Górowały piersi — można powiedzieć — pulsowały w przyszłość, wieczorem wyrwą się z muślinowej klatki.

247

I

Po paru dniach znaleźliśmy się w Los Caneyes w środku wyspy blisko Santa Clara. Wróciliśmy z występu przed studentami na młodym uniwersytecie wśród palm i oleandrów, gdzie najbardziej interesowano się podobieństwami rewolucji kubańskiej i polskiej zaraz po wyzwoleniu. W tym wypadku na pewno chodziło o rozgrzeszenie kłopotów gospodarczych. Nie szczędziłem analogii. Ludzie w Polsce ciężko przeżywają chwilę obecną, robotnicy zaciskają zęby lub burzą się po cichu. Niebawem docwałowaliśmy polskim fiatem do osady wypoczynkowej, turystycznej, obliczonej niewątpliwie na dewizy, tymczasem jednak z powodu amerykańskiego okrażenia oddanej do użytku nowo zawartym małżeństwom celem spędzenia miodowych dni. Także w ten sposób premiuje się młodych przodowników pracy przez dwa — cztery tygodnie. Mieszkanie i wikt na koszt państwa. W okrągłych drewnianych cabanie-ros — kilku lub jednomieszkaniowych. Krytych strzechą. Po murzyńsku. Oplatanych czerwono-żółtymi krzewami, zaludnionych cykadami, émami i jaszczurkami. Obok na przestrzał otwarta restauracja pod wypukłością dachu jak sobór. Wewnątrz rozjarzona elektrycznie, dygocąca od jesiennych przewiewów interioru i rozgrzana wiadomościami o wygranej Kubańczyków w piłkę nożną z Kolumbiężykami, za kilka dni na pewno wygrają w baseball z Jankesami. Po twarzach widać, że młodzież życzy sobie zwycięstw na wszystkich frontach.

Upływa kilkanaście minut i rozległa sala zapełnia się grupami zwartych i mocarnych sportowców. Być może, są wśród nich bokserzy, pięści unoszą się w powietrzu jak obuchy, mięśnie w sportowych koszulkach obracają się niczym żarna. Pochylam się w stronę Izabeli — zda się skamieniałej.

248

— Czego się napijemy?

— Czegoś mocnego.

— Ale co?... Pani zdaje się niedomaga na woreczek żółciowy.

— Ach, co tam! W takiej chwili!

— To na korzyść Kubańczyków... czy na złość Kolumbi językom?

— Lepiej nie mówmy... Ale jeśli już upierasz się, mój drogi, przy tym idiotycznym pytaniu, to można także odpowiedzieć trochę inaczej... Akurat wypiję za druzgocące zwycięstwo Kubańczyków nad Amerykanami.

— W ogóle?

— Tymczasem w baseball.

— A nad desantami? Zapowiadają nowe.

— Zaraz pomówimy. Proszę koniak. Francuski... Może być gruziński.

Zamówiłem. Dla siebie stolicznaja i piwo, mrożone — aż cierpkie. Nie czekaliśmy długo. Sala się coraz bardziej nagrzewała. Izabela Calvados nie brała mnie w tej atmosferze sportowej zapaści, tym bardziej że odwracała uwagę od siebie, rozwodząc się na temat desantowych gróźb komitetu emigranckiego w Miami — na początek stycznia zapowiedzieli atak w sile dwóch dywizji, pomszczą klęskę na Playa de Giron przed ośmiu laty. Nic dziwnego, że nieustannie tu pogotowie. Pocięczałem ją, że desanty lotnicze wyłapią chłopci, zapewniał mnie o tym zadziorny, w drelich ubrany przywódca Drobnych Rolników, osobisty przyjaciel Fidela, i na sprawdzenie zawiózł mnie do robotników na plantacji kawy — oni, łamiąc trzciny, odporne laski demonstrowali co zrobią z inwazorami nawet przy pomocy samej świadomości politycznej. Desanty na długachnym, niezamieszkałym wybrzeżu zapłaczą się z desantowym sprzętem w gęstym, koleczastym si-

249

i !

\

I

zału posadzonym na szerokości wielu metrów akurat nie z myślą o włóknie dla fabryk, ale dla przychwycenia inwazji, dopóki nie ściagną milicjanci, a za nimi żołnierze. Tym razem już nie pieszo, radziecka pomoć zatriumfuje nawet w komunikacji.

Izabela Calvados coraz bardziej pulsowała piersiami, nie zauważyłem, że to w związku z nowymi męskimi, widokami. A potem, ssąc cierpliwie koniak, zadumała, się — chyba znudzona rozmową, niepompna swojej inicjatywy w wyborze tematu.

— Ja chyba zapiję się — oznajmiła nagle, pyszał-kowato, i jej spojrzenie groźnie pomknęło w stronę: bufetu pełnego trunków.

— Proszę bardzo.

— Ale wypiję tę — pokazała palcem na butelkę dwu i półlitrowego hiszpańskiego fundatora, wyglądającą także pyszałkowato.

— Ejże!

— Nie rozumiesz... — 'Niestety...

Znów zadumała się, ja szukałem oczami kelnerki. Wśród stolików obwieszonych swetrami, pulowerami i łapami sportowców uszło mi kontretne zapatrzenie Izabeli na prawo, lekko przez ramię. Jakby dojrzewała, musiała tym pochwalić się, musiała nareszcie sformułować swoje credo miłosne, ale obrała drogę pośrednią. Jeszcze nie orientowałem się, gdy zapytała niby mimochodem:

— Jaki jest twój wzorzec kobiety?

Namyślałem się. Pragnąłem utrafić w jej ambicje i miłość własną. Znała pożądanie swoich piersi i białej karnacji wśród ciemnych Latynosów. Zniecierpliwiła się.

— Tak trudno ci się zdecydować? Na ślepo to czyniłeś?

Zdecydowałem się. Ale odpowiedziałem aforystycz-nie. Coś hamowało język.

— Dziewczyna jak ty. Przybyła zza siódmych gór, zza siódmych rzek.

Pokręciła głową, nie zadowolilem jej, i przeskoczyła przez moją dyplomację.

— Ja nie jestem łatwa do zdobycia.

— Tym bardziej zachęcające! Ciągłe powtarzam, że dopóki mężczyzna nie zrezygnuje z kobiety, będzie jego.

Znów kręciła głową w puszystych jasnych włosach.

— Ja lubię sowizdrzałów, awanturników, niebieskich ptaków.

— Trudno o takich?

— Wbrew sobie.

— Prawidłowo. Kobiety rzadko są logiczne.

— Wiem, że na takich nie można liczyć. Dlatego, kiedy widzę, że już już mnie rzuci, a przedtem sponiewiera, ja pierwsza otwieram drzwi: precz! Compa-nie-ro!

— Jak trutnia.

— Jak trutnia. Żeby nie stać się igraszką w jego rękach. — Przymknęła oczy. — Słyszałeś? Ręce...

One u mnie ważne. Potężne. Przy potężnym ciele.

— Wasz wódz?

— O, nie. On ma ręce małe. Przez dwa dni tłumaczyłam przy nim na uniwersytecie, kiedy uparł się, żeby tłumaczyć zagranicznym delegatom wyższość młodej nauki kubańskiej, pożenionej z praktyką. Na przykład na biochemii trzeba produkować sery, jogurt i konserwy. Zresztą bardzo smaczne. Amerykanie przy ewakuacji zabrali recepty, ale potem pomogli Bułgarzy, trochę Polacy... Wzbierał we mnie bunt. Przypomniałem:

— Ręce... Proszę określić. — Napierałem. Ale swoje ręce chłopskie schowałem pod stół. Przez moment szukała ich, jakby zatrwożona i skruszona. Wreszcie wy-

251

chynałem tymi rękami na serwetę, żeby prawicą ścisnąć szklankę z piwem. Izabela przymknęła oczy przepaszająco. Zacisnąłem zęby. To się źle skończy... Zgniotę szklankę. Ale czy tylko szklankę? Przez moment naszła mnie myśl, że wymierzę jej policzek. Chyba by ją to nie zaskoczyło. Lecz wystarczyło, że i ja na chwileczkę przymknąłem oczy i wyobraziłem sobie mężczyznę Izabeli — sążnistego drągała o szerokich zwalistych barach i gorylich łapach.

Koniecznym prymityw umysłowy. Wystarczyło, żeby taki nie był konkurentem.

Otwieram oczy, widzę, że Izabela patrzy na mnie przepaszająco, głaszcze moją dłoń, przepasza, że wpadła w szal, ale w sumie lubi mnie, cabanierę ma przestronną z wybiegiem na ogródek. Z kolei ja kręcę głową i nagle dźgnąłem jak dzida, spozierając przez ramię dziewczyny.

— Taki! — Miałem na myśli olbrzymiego murzyna, sportowca w znakach kubańskich.

Nawet nie odwróciła głowy i przytaknęła ni to dumnie, ni to pokornie. Teraz zorientowałem się, jaki był sens jej zadumy.

— Ależ on ma ręce jak dobrze wypieczone bochny.

— Ależ to brzydkie.

— Przecież nie chodzi o same ręce.

— Powiedziałaś, że ręce ważne...

— Tak... ale chodzi o proporcje. W tym wszystkim tylko ręce są jawne.

Teraz nastąpiło we mnie wielkie rozjaśnienie, i bardzo mi się chciało śmiać i równocześnie czułem się cudownie ocalony. Już nie muszę nawet współczuć sobie, natomiast wszystkim spodziewanym jej związkom tak, i zakrzyczałem w kierunku szczęśliwca a potem wprost do oczu Izabeli:

252

— Nie wiedziałem, że lubisz maczugę. Tam i nazad maczugą... Gratuluję.

Odsunąłem lekko dziewczynę i patrzyłem wyzywająco na czarnego drągała z bochnami rąk już tylko po to, żeby stwierdzić, iż na pewno nie podobałyby się dziewczynie spod Museum del Prado. Ona ma delikatne gusta. Wystarczyła sama myśl. Już nic nie pomogły umizgi z mojej strony i ze strony Izabeli nawiązujące do tego samego celu. Na nic się zdały nowe koniaki, rozdzielał nas

samolot. Właśnie samolot. Uwoził mnie.

Izabela coraz bardziej zdziwiona podeszła pod same drzwi mojego samodzielnego cabaniero. Obok pasła się na trawie krowa rasy zebu i raz po raz ryczała do księżycyca. Powiedziałem:

— Dużo ryczy, mleka daje mało. Przydałby jej się szklany byk, żeby się zrehabilitowała dziecieniem. Szklany byk...

— Brr — Izabelą zatrzęsło.

— Maczuga?

Odeszła obrażona, a przed nią biegly światełka księżycowe, spełzały z piersi i kapąły się w rosie.

Wsiąkały. I ja też. W rzeczywistości zły byłem na siebie samego, bo rezygnowałem z tego, co już samo układało się w rękach wbrew poprzednim fanaberiom — zaś niczego nie zyskiwałem. A więc znów coś działo się poza mną.

Tak było, niestety. Potwierdzenie nastąpiło w czasie chłodnej nocy, pod bielutką moskitierą wydmuchaną nad łóżkiem jak balon; założono ją pod moją nieobecność, przy wejściu zląkłem się jej niby ducha unoszącego się w ciemności. Ale prawdziwą grozą jest to, co niezgodne z naturą. W nocy wpełzła pod moskitierę a potem pod koc dziewczyna spod Museum, najpierw zrzuciwszy czepeczek, fartuszek i żakiet stewardesy. Została w liliowej owłóczce, która niebawem pękła w zbliżeniu ze mną i narodził się oliwkowy motyl roz-

253

1

dzierający ciało skrzydłami. Była stroną czynną, to niespotykane i... prawie dyskwalifikujące moją praktykę. Została zachwiana równowaga w równouprawnieniu. Aktywność dziewczyny degradowała mnie do pasywności. Istna deprawacja. Zawsze poznawałem kobietę nawet przez sam uścisk, tej nocy nie. Natomiast może ona odgadła moją niemoc, moje zagubienie. Protestowałem i ruszałem się coraz gwałtowniej. Nie wiem jaka ona jest, o rety, o rety. Nigdy się nie dowiem, jeśli nie zostanie przywrócona równowaga, i odejdzie w objęcia innego mężczyzny. Deliberowałem. Nigdy tak nie pragnąłem powrotu kobiety, szybciej... szybko... bo jeśli spóźni się, to nie będzie ta sama, będzie podrabiana, wymieni ją złośliwe boginki. Wierzyłem, że następnym razem dostosuje się do prawidłowego stosunku między mężczyzną i kobietą, wynagrodzi dzisiejszą bezczelność, pomyłkę, i swoje umiejętności ofiaruje bezgranicznie. Boże, jeszcze pod tą moskitierą!

Czy dziwić się, że czekałem na nią? Jeszcze w gorącej ciemni południa na zasłoniętym balkonie hotelu w Cienfuegos, gdzie dopilnowywałem ładowania cukru koloru miodu — luzem z cukrowni wprost na statek, i gdzie z radzieckimi matrosami malowałem na białym molo sceny z dzieł rosyjskich klasyków, iżby inni nie mogli tu bazgrać sprośnych wygłupów — na przestrzeni dwóch kilometrów. Niedoznawana dotąd siła niczym muzyka dęła z kierunku Hawany. Zresztą jakaż siła jest bardziej bezgraniczna niż kobieca?

Czekałem na nią wśród pól ryżowych, wprowadzonych dopiero niedawno za rewolucji, żeby młodym małżeństwom, które w tym kraju abnegacji zwyczajów religijnych wzięły ślub po chłopsku, czyli pod krzakiem — no więc, żeby asystować studentom z Hawany w namawianiu tych ludzi do ślubu na piśmie. Niech się ubiorą odświętnie na tę uroczystość! Mieszczkańsko odkrywa\*

254

ły się zamiary, bawiliśmy się w prawno-moralne dysputy, zaś myśli coraz bardziej krążyły koło rąbków halek. Młode twarze wędły na oczach, skóra łuszczyła się, w tym przymuszonym świecie wargi do warg się niosły spękane. Załatwiali rzecz szybko, żeby pozbyć się mądrali spalających się w słowach i wzdychaniach, i wracali pod krzaki, iżby nabrać sił po swojemu. Wiedziałem, że to oni, nie my, pokazują prostą drogę do miłosnych dokonań.

Objawiła mi się w nocy pod rozśpiewanym krzakiem czechory. Tyle się napatrzyłem rodzinnej atmosferze młodych małżeństw, że spałem i tarzałem się jakby z całą ludzkością, zewnątrz wszystko w porządku, skóra przylgnęła do skóry, szept ten sam — żeby nie zrobić jej krzywdy — dysząca ciemność rozkoszy i udręki — lecz po wszystkim, a więc po powtórzeniu gwałtownego rytuału nie wiedziałem, kto mi się wymknął z objąć, i ona nie miała pojęcia, komu się oddała po trzykroć. Chociaż nie zmieniła czepeczka stewardesy, ani ja nie zmieniłem znaku rozpoznawczego w postaci wiecznego pióra w kształcie sputnika. A więc niezależnie od spania i ściskania, gdyby

nawet „ciałem się stały”, naprawdę jej nie dotknąłem. Dalej dręczyła.

Nie odsapnąłem także po wizycie w średniej szkole koedukacyjnej w PLAN-ie bananów koło Artemisy, gdzieś sto kilometrów za Hawanę. Część godzin dziennych młodzież poświęca pracy na plantacjach. Akurat zółkły liście bananowców, wysypywały się także strąki. Było duszno. Powietrze stało jak mur, na niebie gromadziły się chmury. Hiszpanie jednak tak umieją budować pawilony, że wewnątrz jest przewiew nawet w twardy upał. I w tym wypadku życzyłem polskim architektom nie naśladownictwa, lecz zmysłu architektonicznego i geograficznego. Do poszczególnych klas na piętrze wbiegaliśmy kierowani rzeźwymi powiewami.

255

Wokoło salwowały bananowce, bujnie, zwarcie, górnice. Do ich pionu prostowała się młodzież w ławkach — biała, mulacka, kreolska, murzyńska, pomieszana pod kopyścią dziejów, jak groch z kapustą — i na przywitaniu skandowała niezmiennie, lecz z przejęciem: „Gdy się rodzi komunista, umierają wszystkie trudności”. Wzniosie! Spieszyło mi się do gabinetu dyrektora, urządnego po spartańsku, gdzie czekała na mnie dziewczyna z kawą, kropla w kroplę podobna do stewardesy. Zbliżałem się do stanu maniakalnej szczęśliwości. Jutro zaczeję na ulicy każdą jedną i spytam jak długo jeszcze przyjdzie mi cierpieć męki niespełnienia.

Dwudziestoparoletni dyrektor, w źle pozszywanych portkach i dresie na grzbiecie, upadający ze zmęczenia i czujności, czekał z utęsknieniem na mój powrót, kawa budziła w nim nadzieje, kawy się tu nie podaje na każde zawołanie, wszyscy piliby co pół godziny. Dziewczyna przy kości, ale wysmukła, z czarnymi włosami na głowie rozpołowionymi zbyt widocznym przedziałkiem, czekała z dzbanuszkami, żeby mnie pierwszego uraczyć.

— Niech kompaniera także siądzie. Pozwolicie, com-paniero dyrektor? Wy nauczycielka czy studentka?

— Studentka czwartego roku liceum.

— Będziecie bananowce opryskiwać wodą z rozpylacza?

— Nie. Pójdę na medycynę, na pediatrię.

— Dlaczego na pediatrię?

— Lubię dzieci.

— Powinniście rozpocząć od własnych dzieci — byłem arogancki, nie wiem za co się mściłem.

Przecież i ja mógłbym mieć z nią dzieci, skoro tak tęskniłem za sobowtórąmi. — Dyrektorze, jesteście żonaci?

— Nie.

256

11

— To dobrze, mogą być z was ładne dzieci. Wierzę przede wszystkim w kompanię.

Zapłonila się i zakryła dłońmi oczy i rumieniec. — O nie, o nie! — Głupiemu znów zabełtała się nadzieja, jak po rozmowie z księdzem na lotnisku hawańskim. Ona niezamężna, i nie chce nikogo, ponieważ skompromitowałyby się przede mną. Moje maniactwo. Pycha.

W nocy krucze włosy rozpiechły się po całej poduszce. Ale jeszcze nie chce przewracać się z boku na bok, daje do pocałowania tylko ucho, ^wentualnie policzek. Nie wstydzi się obnażenia piersi, powoli, właśnie widać tylko nasadę, ale to nie ma dla niej znaczenia. Jeszcze nie dojrzała, usta rozchyła — owszem — niestety dziecinne, nie do rozkoszy, i oddycha regularnie, nie do grzechu. Pięknie rzeźbiona, szkoda zmarnowanej nocy. Po chwili podciągnie prześcieradło aż do szyi, chociaż gorąco... Widać ją długą i smukłą, jak rzeźbę. Zamknęła powieki. Dla niej czas nieważny, przelecimy jeszcze Atlanty.

Aż się dziwić nie chce, że tylekroć posiadałem w czasie owej podróży, a nigdy nie mogłem posiadania uznać za stan faktyczny.

Dwojakość przeciągnęła się także na Meksyk. Niedługo tam byłem, i nie mogłem się wywikłać z kontrastów, przede wszystkim w samym ośmiomiliono-wym Mexico. Wspaniałe City z drapaczami chmur oraz ekskluzywna dzielnica willi plutokratów i ministrów, willi okolonnych, zamkniętych dla ludzkich oczu jak u zazdrosnych mahometan, a z drugiej strony nory obudowane puszkami po piwie — tu piwo jest dobre i nawet kobiety żłopiają — i dzieci demokratycznie sprzedawane i

wywożone w bagażnikach do Stanów Zjednoczonych. Spariasowani Indianie i Indianki dążące boso lub w łapciach ze swych odludzi nad rzekami i wśród skał, żeby po jednodniowej podróży sprzedać za dwa-

17 — Dziewczyny i chłopcy

257

dzieścia czy trzydzieści pesos swoje jaskrawe malunki wykonane na płatach rozplaszczonej kory drzewnej, i obok nich na placu Garibaldiego societa pławiąca się w muzyce; winie i całowaniach, o ich hojnych rękach świadczyli wyszamerowani muzykanci z srebrnymi guzikami u spodni. Jechałem tam samochodem z Tlatelo-lco, z placu Trzech Kultur od trzydziestu miesięcy mrozącego grozą krwawych wspomnień. Kilometry ulic były obwieszane różnokolorowymi lampionami, na ulicy przewalały się istne tęcze, dekoracjom rozwieszonym na cześć przysięgi nowego prezydenta przedłużono żywot ze względu na zbliżające się Boże Narodzenie. Gęsto pomykali obfici w ubiorach mikołaje z workami podarunków na plecach. I tak wpadliśmy w ogrywanie puzonami, klarnetami, i jakimiś azteckimi gwizdałkami pośrodku domów dumnych z trwałości, z oknami wygaszonymi, lekceważącymi plebejskie rozkosze dawane forsiastym panom i pannicom. Wtedy właśnie rozdrażnieni niedoskonałością namiętności w nas, pożądamy przenikania od naskórka w głąb, doszliśmy z Marią do porozumienia. Wydawało nam się, że w tłoku uroczu schowanych barów zdobędziemy się na doskonałość. Zamówiliśmy to samo co młoda parka obok, meksykańską bimbrową tekilę, którą zakąszaliśmy okrawkami piekielnej chili i łagodiliśmy czerwonym winem. Dorodnej parze łaskocącej się obok przez ramię już dogodziło to piekło wlewane w siebie. Po pocałunkach coraz częstszych, różanolica panienka odeszła na chwileczkę i wróciła w seledynowej muślinowej sukience, wyświetlającej wszystkie wdzięki wyraźnie nie zakazane ustawą. Przezornie chłodziła się wachlarzem. Dorodny chłopak z namarszczonym czołem nie wiedział co zrobić z rękami. Gryzł palce. Różanolica łagodnie odsuwała ręce chłopca od piersi, natomiast ustom pozwoliła się zbliżyć, przy tym mówiła stanowczo, choć słodko:

258

— Zatrzymaj się na jedną noc. Cóż znaczy jedna noc wobec całego życia. Moja mama ma znajomego księdza, jutro weźmiemy ślub. Niejeden mężczyzna czeka wiele miesięcy. Zamyśliłem się, myśli szybowały, Maria już nie zdołała wywołać we mnie wrzenia. Różanolica posiadała ambicje czekania. Nie dałem się sprowokować, że to niesprawność w stosunku do powolnej mi kobiety.

Dzięki przyjacielowi z Ambasady przerwaliśmy się nową limuzyną przez czterystukilometrową trasę do wspaniałego uzdrowiska w Acapulco nad brzegami Pacyfiku. Rozbudowanego dla Amerykanów. Jechaliśmy krętą drogą, na wysokości której na łysawych wapiennych górach płaczą się drzewa ledwie większe niż nasza kosodrzewina. Gdzieś tam prześwitywał seledyn. Natomiast niespotykanej wielkości kaktusy z ramionami jak świeczniki przekreślały wszystkie niedostatki widoków. Przyjaciel opowiadał ciągle o kontrastach, o kukurydzy i bananach, które Indianie na plecach znoszą do miasta, żeby w sklepie wymienić na sól, nici i naftę. Chatki pochowane w głębi gór. Maria pragnęła wpleść fragmenty czegoś piękniejszego, kolory i gwałtowną miłość prymitywu. Obiecywała, że w pięknej willi w zatoce, którą nam podarowano na kilka dni, wstrzyknie w nas ogień życia. Nie, tymczasem nic z siebie. Na początek wystarczą okrawki chili przysmażane w jajecznicy. Po zjedzeniu w człowieku burzy się krew.

W nocy bardzo się dziwiła, że wystarczy nam woda w basenie na krawędzi skał oblewanych burzliwymi falami Oceanu. Potem pamiętam blask światła z pokoju Marii, który wdzierał się do mojego pokoju, nie mogłem spać, wraz z odbłaskiem kołysała się naga postać Marii, przepływał wiaterek... Przejdzie po parapecie do mnie. Wiem, jakie otrzymała polecenie w Mexico. Musiałem ją uspokoić, przysiągłem sobie, że w ten sposób szukam

17\*

259

I

innej, spenetruję, jutro wpelnę do gotowego; lecz posmakowałem tylko zewnętrznego wyglądu. Nad ranem odszedłem do siebie, niesyt i rozczarowany, szczerze zapuściłem story i dopiero kiedy

zasnąłem, przysłała TA, ubrana dość obficie, jakby obronnie, ale nawet nie trzeba było z-nawstwa odzienia i bielizny damskiej, wystarczyły pocałunki, żeby unicestwić wszelkie przeszkody i żeby ją zobaczyć od wewnątrz. Oświeciła nie lampa elektryczna lecz pragnienie. Jakie proste!

Nazajutrz wybraliśmy się z Marią na przejażdżkę statkiem po zatoce. Oparty o dygocący reling, patrząc na wyłożone nogi dziewczyny oparte o barierę, mówiłem:

— Zdaje mi się, że w nocy coś przybliżyłem do siebie. Dziękuję ci.

Uśmiechnęła się wyrozumiale, przestała patrzeć zawistnie na zgrabne, wysportowane dziewczyny w czerwonym negliżu i marynarskich czapkach na głowie. Potem na Play Revolcadero, kawałek za Acapulco, opryskana słoną wodą Pacyfiku, rozłożona na rozgrzanym piasku kazała mi smarować siebie oliwą, i odwrócona twarzą do mojego przyjaciela upomniała:

— Przestań mówić, zagłuszasz... Och, ileż więcej mówią palce.

Przyjaciel odparował, chroniąc się pod strzechę palmową:

— Tobie głupstwa w głowie. On tego ma na kila wszędzie. Nie może wyjechać stąd bez znajomości stanu rzeczy, za coś opłacają mu podróż. Przyjechałaś właśnie na rozpoczęcie nowego sześciolecia demokratycznej dyktatury prezydenckiej, która nie może być krytykowana, natomiast jest złagodzona korupcją.

Pomyślałem: ona jest przekonana, że została opłacona nie na darmo.

260

Dziewczyna z Museum del Prado szepnęła jeszcze na lotnisku w Hawanie, że co dwa, trzy tygodnie pełni służbę na linii meksykańskiej, na pewno czekają ją przynajmniej trzy kursy, zanim rząd meksykański wprowadzi swoją groźbę w życie i zabroni lotów. Miałby to być odwet za porwanie samolotów na Kubę. Póki co, ona da znać w Mexico, że jest i czeka, lub sama mnie będzie szukać. Tak kobieta dobrze wychowana odpowiada mężczyźnie na natręctwo i zdawałem sobie z tego sprawę. Ale pod różnymi postaciami ucieleśniały się marzenia i przyjemności. Z kolei gryzłem palce i zapadałem się w suchym, kurzliwym interiorze. Ocknąłem się naprawdę, kiedy musiałem wracać.

Droga powrotna prowadziła przez Kubę, co wcale nie oznaczało, że ją spotkam. Czy rzeczywiście jej nie spotkam? To po co objechałem pół świata? Choroba tęsknoty czyli nieziszczenia rządziła się mitami, już niebotyczne się stawało moje poświęcenie. Robiło mi się zimno i gorąco z żalu. Do siebie i za czymś utraconym. Dlaczego nie rzuciłem przepisanych podróży zajęć i nie czatowałem na trasach jej przelotów? A może się tuła po drogach i miastach nie zwiedzanych przeze mnie? Do kogo powinien mieć pretensje mężczyzna, który odkłada osobiste sprawy na noc, przez co w rzeczywistości wywyższa się nad kobietę przez dzień? Kłamie skamląc i tęskniąc, ponieważ pod płaszczykiem obowiązków — siebie szacuje wyżej. Niech więc nie dziwi się, że w konsekwencji spotyka go gorzka zapłata.

W prawdziwym świetle zostały zaznaczone proporcje spraw, kiedy w czasie przedłużającego się czekania na lotnisku w Hawanie na odlot do Madrytu, dowiedziałem się z szybko mównych ust przedstawiciela prasy polskiej o podwyżce cen na artykuły żywnościowe

261

W naszym kraju. Zawodliwe były głosy moje, Ambadora i Radcy, w których pogodzie ducha przeglądałem się do dziś jak w lusterku, i równocześnie hartujące na najgorsze. Ziemia pod nami zatrzęsa się tam. Na ślepo szukaliśmy przyczyn. Na tę skalę nikt się nie spodziewał zaskoczenia. Może towarzysze decydujący o wszystkim w zadufaniu swoich sukcesów uznali, że rodacy zniosą wszystko — zaczarowani Układem z NRF, mimo że nieratyfikowanym. Uwolniono ich od atmosfery wojny, nareszcie będą wolni od strachu, i z wdzięczności zaspokoją się chlebem i fitką. Skrajnie ocenialiśmy, ale to — powtarzam — hartowało. I znów tylko siebie widziałem na tym pochmurnym tle. Nie byłem zdziwiony tym, że Ambasador i Radca szybko uścili należność w dewizach za nadwagę bagażu (do którego zresztą sami się przyczynili), ponieważ chcieli mieć swojego wysłannika w ojczyźnie. Uściskali mnie krótko i zobowiązująco. Ale — jeszcze raz powtarzam — cier-pkość przeczuć globalnych oddzielała mnie od ciągłot za rajem osobistym. W tym rozdzieleniu zostawała przy mnie połowa starsza.

Ale gdy tylko ją zobaczyłem witającą na zewnątrz trapu „Cubany”, momentalnie znikły narosty polityczne i przygarbienie psychiczne, odmłodziłem, poczułem się zdolny do różnych nieprzewidywanych czynów. A kiedy się uśmiechnęła po trzykroć i zobaczyłem w jej oczach podcienionych frędzelkami z czepeczka, błysk wyrzutu i tęsknoty, to nawet stałem się dufny. Te same głosy w niej żyły, te same głosy pieściły co mnie, ba, może jej głosy były modelowane przez moje. Właśnie błyski w jej oczach powiedziały o tej modelacji. Niezwykła mocarstwowość rozprzestrzeniła się we mnie — jakże inaczej, wszak wbrew przestrzeni można być pewnym zgodności dwóch istot. Można hulać do woli. Ten sam en chief, chłopisko, zdawało mi się poprze-

262  
dnio, że nieprzyjazny i kpiący, teraz uśmiechał się ulegle; a więc zwyciężyłem. Przeważnym krokiem pomaszzerowałem do wskazanego mi w samolocie miejsca, bardzo ustronnego i zaciszego. O, dzięki wam. Już nie myślałem, że ja się wplątałem, ona się wplątała. I on, ten niedoszły kurator zaplątał się, czego dowiódł przynosząc mi cygaro plecione na kształt warkoczyka, wyrabiane w hawańskiej fabryce ze starą wyspecjalizowaną kadrą robotniczą. Skoro tylko samolot wystartował i wypadły światełka ostrzegawcze i wraz z tym zapadł mrok ledwie ledwie rozświetlony pojedynczymi żaróweczkami przy fotelikach — do mnie pierwszego przysłała z wonną gorącą kawą. Wmiesiła się spódniczką w poręcz fotela jak trzydzieści parę dni temu i znów wabiła kształtami. Nie widziałem, ale wiedziałem, przecież nocnych marzeń nie spędziłem z nią daremnie. Nie tylko słowami ją modelowałem. I nawzajem. Wszak teraz powiedziała:

— Stwardniałeś na twarzy.

— Bogu dzięki. Muszę być twardy, nie wiem jakie nieszczęścia czekają nas w kraju.

— Słyszałam. Dlatego należą ci się specjalne względy.

— Jakie względy?! — oburzyłem się i łyknałem gorącą kawę haustem, parsknąłem.

Monitowała:

— Nie sparzyłbyś się, gdybyś nie był zadufany.

— Dlaczego zadufany?

— Jesteś wściekły, że o względach powiedziałam tak w ogóle.

— No pewnie! Na względach w ogóle nie zależy mi.

— To moje względy.

— Więc dobrze. Gdybym był cynikiem lub dobrodusznym naiwniakiem, cieszyłbym się tak jak pewien nasz obywatel pochodzenia żydowskiego, porządny to-

263

I

II

warzysz, zresztą mój przyjaciel, który w czasie karcenia syjonistów w Polsce głośno się wyrażał: to i może lepiej dla mnie, że się tak dzieje. Moja żona Polka teraz jest czulsza, bo boi się, że i mnie coś grozi. A co może grozić porzadnemu człowiekowi? Ale niech się boi, niech odkrywa miłość, którą dotąd przyciszała. Gie-roj, co? Rozumiesz?

— Przecież wiesz, że umiem niemnożko pa ruski. Względy cię upajają, bardzo upajają? W oznaczonych dniach, o oznaczonej porze czekałam na ciebie w recepcji dworca lotniczego w Mexico.

Zamiast ją ucałować, choćby w dłoń, wpadłem znów w korkociąg zadufania i zazdrości. Tym razem straciłem poczucie przestrzeni i przyzwoistości wobec wolnej osoby.

— A dlaczego nie czekałaś w każdy dzień, w każdą godzinę tylko w określonych dniach o określonej godzinie? Co robiłaś między tymi dniami i godzinami?

Szarpnęło jej istotą wolną a jednak już pętana, wyszeptwała z naciskiem:

— W jakim sensie to mówisz? Pochlebiasz mi. Nie jesteśmy małżeństwem.

Speszyłem się w duchu, ale wobec dziewczyny wy-dzierżyłem.

— Tęsknić nie można? Och, żebyś wiedziała...

— Jednak pochlebiasz mi... Ale nie pytaj za dużo, bo wtedy wszystko skończone.

— Dlaczego?

— Jeśli się już nie jest ciekawym kogoś drugiego, to od razu przekreśla przyszłość. Kiedyś za dużo

wiedziałaś. Ty nie pamiętasz.

— Nie kończ! Ja bez złej myśli...

— Wiem.

Odeszła cichutko w stronę kabiny pilotów, a ja nie mogłem się otrząsnąć ze zdumienia i oczarowania tym,

264

co może się stać. Krytykowała zachłanność. Gdyby jeszcze była przy mnie, ściągnąłbym ją z poręczy i głowę złożył na jej piersi. Byłem już zdany na obsługę innej stewardesy i niespokojne myśli. Dziewczyna spod Muzeum ukarała mnie. Dopiero kiedy się rozwidniło, przyszła wraz z zielonkawym świtem garnącym się od niebios i od wód, i oznajmiła, już nie korzystając z poręczy:

— Zbliżamy się do Santa Maria.

— Tylko tyle...? — nie tałem wyrzutu.

— Chcesz więcej? — Uśmiechnęła się wszechwie-łząco. — To wyspa portugalska jeszcze na Atlantyku. Do Madrytu stąd około czterech godzin lotu.

I znów odeszła nagle; wyjrzałem — była w tych samych pantofelkach na giętkich obcasach co trzydzieści parę dni temu pod Museum del Prado.

Serce zatłukło się w piersiach.

Zakołowaliśmy nad zieloną wyspą. Kudłate gałęzie brzoź, palm i topoli chowały się tym razem w niebieskiej wodzie, a z kolei przykrywały białe wille i pałacyki na kremowych wzgórkach. Na ich tle niebo wydawało się szafirowe.

Na ziemi opływało wiosenne powietrze, w Polsce w tym czasie władą mróz a nawet śnieg. Gdzieś zgrzyta żelazo. Na horyzoncie pasły się krowy i owce. W restauracji jak zajazd sprzed wieków popasaliśmy niedługo, ponieważ śniadanie portugalskie było marne. Zostawało jeszcze z godzinę czasu do odlotu do Madrytu, więc gapiąc się na wystawę pamiątek ze słonymi cenami w kioskach wewnątrz recepcji, powoli rozwijałem plan podróży po Hiszpanii. Bo przecież ONA — skoro tak prychała — każe mi czekać kilka dni na decyzję, do przylotu następnej „Cubany”. Powtórzę widoki. Zacznę od północy... U wejścia do Barcelony od strony Atlantyku — pomnik Kolumba; na murach ślady kul

265

faszystów, jak po ospie. Albo nie — od razu rzucę się na południe, gdzie jeszcze dogorywa jesień, niebo ma kolor cyny, kobiety szczycą się wyższymi piersiami i gęściejszymi włosami, a arystokratki mają mniej cienkie twarze. Inne niż u Goyi. Rzędy pomarańczy rozsiewają złoty kolor, zaś migdały i oliwki srebrny. Dużo starych kobiet w mantylach, dziewczyny pociągnęły za młodzieńcami, którzy pofrunęli do miast lub za granicę do roboty. Pod gołym figowcem niedaleko za Toledo w stronę Saragossy rozłożyli się chłopcy na samodzielnym kocach, pamiętam... Czarne berety na głowach, na grzbietach także koce w kształcie peleryn. Częstowali mnie winem ze skórzanych sakiew, ja zaś odwodziłem się polską kielbasą. Także szli w świat za chlebem i mówili tęsknie, że w mieście za zapomogę rządową stać każdego codziennie na obfity talerz z dymiącą fasolą. Na wsi ciągle posucha, oliwkami i winem nie można zapełnić żołądka.

W pewnym momencie zachnąłem się. Kogo ja kłamałem? Między rzędy agaw i w sady pomarańczowe, w których owoce zbierali chłopcy w czarnych fartuszkach, a dziewczynki w czerwonych — wjeżdżałem nie sam. Zachnąłem się, ponieważ długo czekała, zanim do mojej świadomości dotarła jej propozycja.

— Vamos a ver Museum del Prado.

— Si. Pójdziemy zobaczyć Museum del Prado. Cuan-do? Kiedy?

— A mediodia. Zaraz! W południe.

— To dobrze, że zaraz. Czekają na mnie w kraju. — Znów wróciło mi dyktujące zadufanie.

Rzeczywiście tuż przed południem wylądowaliśmy w Madrycie. Z hotelu wprost podążyłem do Muzeum. Czekala. Była ubrana „na cywila”, w jasnym płaszczyku i szaliku na głowie. Szedłem z tyłu. Wiaterek i mój oddech muskały płowy puch na karku dziewczyny.

Wchłaniały nas półcienie w dużych salach, w których intensywnymi barwami przetaczało się tysiące obrazów. Kilka sal z Goyą. Dużo Chrystusów, dużo aniołeczków. Rubensa odczytaliśmy po

obfitych kształtach kobiet. Piersi i piersi, które rozświetlają nawet mroki średniowiecza, inkwizycji i karmią nie tylko maleństwa. Wino w dzbankach, czarne oliwki marynowane, dużo pergoli, na słońcu i wietrze rozpięte pieprzowce i róże — oraz kruki i psy chłęczące ludzką krew na ludowych pobożowiskach przeszłości. Objawił się Cranach — malarz okrutny. Nagle swobodny wiatr zatrzasnął za nami wiekowe drzwi wykuwane razem z głowami ludzkimi, i zostaliśmy sam na sam, i wtedy już na pewniaka postąpiliśmy jak do czystej winiarni po schodkach między migdałowcami w pianie kwiecia, właśnie jak do winiar-nianego zacisza, przypominającego alkołę, i tu uklękliśmy, i tu po raz pierwszy zbliżyliśmy się po ludzku. A stało się to przed obrazem Alfonso Cavo z XVII wieku. „San Bernado e Virgo”. Dobra mi dziewczica!, Starzejący się Bernado w białym habicie klęczy i ze słonecznej piersi Dziewicy z dzieciątkiem na ręku ssie mleczne promienie z odległości kilku metrów. Otworzył szerzej usta, zachłysnął się rozkosznym strzykiem. Szepnąłem do dziewczyny w objęciach:

— Widzisz, jakie się cuda działy ze świętymi... Bądźmy i my świętymi. To znaczy, niech będzie jak zawsze... Inaczej nie mogę. Nie chcę pozorowanych i daremnych nocy.

Musnęła palcem moje wargi.

— Nie mów za dużo. Przecież nie jesteś mi obcy i nowy. U mnie w szafie są twoje krawaty. Pamiętasz? A mówią, że nic nie wraca.

Stała się cyfrą osobliwą w moim życiu. Nigdy nie wtopiła się w liczbę ogólną. Chyba także dlatego nie wtopiła się w wagon ciał, że niebawem bez protestu

287

odprowadziła mnie do samolotu dążącego do tragicznych wydarzeń w moim północnym kraju. Ba, jakże dziwnie, bo po nowemu, po kubańsku zabrzmiały jej słowa:

— Jesteś przede wszystkim mężczyzną. Wracaj.

Lecz także nauczyła się wierzyć po nowemu i czekać z zegarkiem w ręku.

Spis treści

KONIEC

NATASZA..... 5

ŻYDÓWKA . . . . . 12

JADWIGA..... 26

MAHMUD . . . . . 46

NEFER Z DŻUNGLI..... 81

NA SUMATRZE..... 98

JAK ŻYC?.....171

DEFLORATOR..... i 182

Z KOBIETĄ JEST JAK Z MORZEM..... 194

DZIEWCZYNA Z MUSEUM DEL PRADO .... 234

POLECAMY NASZYM CZYTELNIKOM!

WŁADYSŁAW BARAN

Związek bezimiennych

„Śląsk” 1973, str. 322, brosz, z obw., zł 22.—

Książka ta zawiera kilka opowiadań o mrocznym klimacie, ukazujących dramatyczne konflikty między ludźmi: niebezpieczeństwo moralnego upadku grożące kobiecie skrzywdzonej przez męża, tragiczne skutki niedostrzegania indywidualnej odrębności człowieka, czy bezlitosną chęć panowania nad ludźmi i niweczenia ich indywidualności. Akcja tych opowiadań toczy się w środowisku małomiasteczkowych domów i pijackich melin.

STANISŁAW BROSZKIEWICZ

Takie buty

„Śląsk” 1973, str. 273, brosz, z obw., zł 22.—

Krótkie opowiadania znanego nowelisty dające humorystyczną wersję niektórych mitów i wydarzeń historycznych, groteskowy opis obyczajowości współczesnej, spraw wojny, a nawet zjawisk egzotycznych. Wszystko to przedstawione w sposób skondensowany, ale krzywe zwierciadło parodii rozładowuje grozę wydarzeń.

JAN PAWEŁ KRASNODEBSKI

Dużo słońca w szybach

„Śląsk” 1973, str. 156, brosz, z obw., zł 15.—

Książka jest ambitnym debiutem młodego pisarza. Zawarte w niej opowiadania rzucają nowe światło na problemy moralne, obyczajowe i emocjonalne współczesnej młodzieży.

LEON WANTUŁA

Wycieczka z narzeczoną

„Śląsk” 1971, wyd. II, str. 166, brosz, z obw., zł 16.—

Książka znanego pisarza-górnika zawiera kilka opowiadań, w których autor główny akcent przenosi na analizę psychologiczną swych bohaterów oraz na refleksje dotyczące egzystencjalnych losów człowieka.

Wszelkie prawa zastrzeżone Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1973

Wyd. 2. Nakład 39145 egz. Ark. wyd. 12,2. Ark. druk. 17,0. Format 12,3X18,5 era. Papier druk. sat. kl. V, 70 g, 82X104. Przekazano do składania 10. 3. 1973 r. Druk ukończono w październiku 1973 r. Symbol 318223. Cena zJ 20,—

Łódzka Drukarnia Dziełowa, Łódź, ul. Rewolucji 1905 r. nr 45.

Zam. 671/A/73. M-II.